



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Żnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwie.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

PG7158

.S4

P6

1888

t.4

THE PENNSYLVANIA STATE
UNIVERSITY LIBRARIES



1051



12561
100

THE PENNSYLVANIA STATE
UNIVERSITY LIBRARIES

P I S M A

HENRYKA SIENKIEWICZA.

TOM XIII.

P O T O P.

TOM IV.

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1888.

HENRYK SIENKIEWICZ.

P O T O P.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

WYDANIE DRUGIE.

TOM IV.

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1888.

Дозволено Ценаурою.
Варшава, 5 Мая 1888 г.

KRAKOW.
Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarządem Jana Gadowskiego.

ROZDZIAŁ I.

Kmicica i Kiemliczów szparko konie niosły do granicy szląskiej. Jechali ostrożnie, by się z jakim podjazdem szwedzkim nie spotkać, bo jakkolwiek chytrzy Kiemlicze mieli „passy“, wydane przez Kuklinowskiego, a podpisane przez Müllera, jednakże żołnierzy, nawet zaopatrzonych w podobne dokumenta, poddawano zwykle badaniu, takie badanie zaś mogło źle wypaść dla pana Andrzeja i jego towarzyszków. Jechali więc śpiesznie, by granicę przejść jaknajprędzej i w głąb cesarskiego kraju się zasunąć. Same brzegi graniczne nie były także od „grassantów“ szwedzkich bezpieczne, a częstokroć i całe oddziały rajtarów zapuszczały się na Szlązk, by imać tych, którzy się do Jana Kazimierza przebierali. Ale Kiemlicze, przez czas postoju pod Częstochową zatrudnieni ustawicznie łowami na pojedynczych Szwedów, przeznali już nawskróś całą okolicę, wszystkie graniczne drogi, ścieżki i przechody, na których połów bywał najobfitszy i byli jakby we własnym kraju.

Przez drogę opowiadał stary Kiemlicz panu Andrzejowi, co słychać w Rzeczypospolitej, pan Andrzej zaś zamknięty przez tak długi czas w fortecy, słuchał

tych nowin chciwie i o bólu własnym zapomniał, gdyż były one nader dla Szwedów niepomysłne i zwiastowały bliski już koniec panowania szwedzkiego w Polsce.

— Wojsko już sobie przykrzy szwedzką fortunę i szwedzką kompanią, — mówił stary Kiemlicz — a co dawniej żołnierze gardłem hetmanom grozili, gdyby się nie chcieli ze Szwedem połączyć, tak teraz sami do pana Potockiego instancje wnoszą i deputacye wysyłają, żeby Rzeczpospolitą z opresyi ratował, przysięgając wszyscy do gardła przy nim stać. Niektórzy też pułkownicy na swoje ręce poczęli Szwedów podjeżdżać.

— Któraż pierwszy począł?

— Jest pan Żegocki, starosta Babimostski, z panem Kuleszą. Ci w Wielkopolsce rozpoczęli i znacznie Szwedów konfundują, siła mniejszych oddziałów jest w całym kraju, ale nazwisk przywódców ciężko wiedzieć, gdyż oni umyślnie ich nie powiadają, a to dlatego, by swoje rodziny i substancje od pomsty szwedzkiej uchronić. Z wojska pierwszy się podniósł ten pułk, któremu pan Woyniłłowicz pułkownikuje.

— Gabryel?... Tożto mój krewny, chociaż go nie znam!

— Szczery to żołnierz. Onto partyą zdrajcy Prackiego starł, która Szwedom służyła i samego rozstrzelał, a teraz ku góróm srogim poszedł, które za Krakowem leżą; tam oddział szwedzki zniósł i górólów ratował, w ucisku od Szwedów będących...

— To zaś i Górale Szwedów już biją?

— Oni najpierwsi zaczęli; jeno, jako to głupie chłopstwo, chcieli zaraz Kraków siekierkami odbierać, których jenerał Duglas rozprószył, gdyż oni w równinach eksperyencyi żadnej nie mają, ale co w góry za

nimi kilka partyj posłali, to z tych żaden człowiek nie wrócił. Teraz pan Woyniłłowicz ono chłopstwo wspomógł, sam zaś do pana marszałka do Lubomli poszedł i z jego się wojskami połączył.

— Zali pan marszałek Lubomirski przeciw Szwedom stoi?

— Różnie o nim gadali, że się i na tę i na tę stronę namyślał, ale jak już poczęto w całym kraju na koń siadać, tak i on się na Szwedów zawziął. Możliwo to pan i siła złego może im uczynić! Sam on jeden mógłby z królem szwedzkim wojować. Powiadają też ludzie, że do wiosny ani jednego Szweda w Rzeczypospolitej nie będzie...

-- Da Bóg, że się to stanie!

— Jakże ma być inaczej, wasza miłość, skoro za oblężenie Częstochowy wszyscy się przeciw nim zawzięli. Wojsko się buntuje, szlachta bije ich już, gdzie może, chłopstwo się w kupy zbiera, a do tego Tatarzy idą, idzie chan z własną osobą, który Chmielnickiego i Kozaków pobił i obiecał ich zeszczętem zetrzeć, chyba, że na Szwedów ruszą.

— Ale i Szwedzi mają jeszcze znacznych stronników między panami a szlachtą?

— Ten się ich jeno trzyma, kto musi, a i tacy pory tylko wyczekują. Jeden książę wojewoda wileński szczerze do nich przystąpił, to też na złe mu to wyszło.

Kmicic aż konia wstrzymał i jednocześnie za bok się uchwycił, bo go ból srogi przeszył.

— Na Boga! — zawołał, stłumiwszy jęk — gadjże mi, co się z Radziwiłłem dzieje? Zali ciągle siedzi w Kiejdanach?

— Wieżo z kości słoniowej! — rzekł stary — tyle ja wiem, co ludzie gadają, a Bóg wie, czego nie gadają. Mówią jedni, że książę wojewoda już nie żywie; inni, że się jeszcze panu Sapieże broni, ale ledwie tchnie. Podobno na Podlasiu się ze sobą mowali i pan Sapieha zmógł, bo Szwedzi nie mogli księcia wojewody ratować... Teraz prawią, że w Tykocinie przez pana Sapieę obleżon i że już po nim.

— Chwała Bogu! Zacni tryumfują nad zdrajcami!... Chwała Bogu! chwała Bogu!

Kiemlicz popatrzył zpode łba na Kmicica i sam nie wiedział, co ma myśleć. Przecie wiadomo było w całej Rzeczypospolitej, że jeżeli Radziwiłł zatryumfował z początku nad swemi własnymi wojskami i nad szlachtą, która szwedzkiego panowania nie chciała, to stało się to w znacznej części dzięki Kmicicowi i jego ludziom.

Lecz z tą myślą stary nie zdradził się przed swym pułkownikiem i jechali dalej w milczeniu.

— A co się dzieje z księciem koniuszym? — spytał wreszcie pan Andrzej.

— Nie słyszałem o nim nic, wasza miłość — odrzekł Kiemlicz. — Może jest w Tykocinie, a może u elektora. Teraz tam wojna i król szwedzki osobą własną do Prus wyruszył, a my tymczasem naszego pana wyglądamy. Daj go Bóg! bo niechby się tylko pokazał, wszyscyby co do jednego człeka przy nim stanęli i wojskoby zaraz Szwedów opuściło.

— Pewnież tak?

— Wasza miłość! ja wiem tylko to, co ci żołnierze mówili, którzy ze Szwedami pod Częstochową stać musieli. Jest tam grzecznej jazdy na kilka tysięcy pod

panem Zbrożkiem, pod panem Kalińskim i innymi pułkownikami. Śmiem powiedzieć waszej miłości, że żaden tam z dobrej woli nie służy, chyba grassanci Kuklinowskiego, bo ci chcieli się skarbami jasnogórskimi obłowić. Ale co zacni żołnierze, to tylko lamentowali i jeden przed drugim narzekał: „Dość nam tej służby żydowskiej! Niech jeno pan nasz nogą granicę przestąpi, wraz szable na Szwedów obrócimy, ale póki go niema, jak nam poczynać, gdzie iść?” Tak oni narzekali, a po innych pułkach, które są pod hetmanami, gorzej jeszcze. To wiem pewno, bo przyjeżdżali od nich deputaci do pana Zbrożka z namowami i tam sekretnie po nocach radzili, o czym Müller nie wiedział, chociaż i on czuł, że źle koło niego.

— A książę wojewoda wileński w Tykocinie oblężon? — spytał pan Andrzej.

Kiemlicz znów spojrzał niespokojnie na Kmicica, bo pomyślał, że go chyba gorączka chwyta, skoro dwa razy każe sobie jedną i tęż samą wiadomość powtarzać, o której dopiero co była mowa, jednakże odpowiedział:

— Oblężon przez pana Sapiechę.

— Sprawiedliwe sądy Boże! — rzekł Kmicic. — On, który mógł potęgą z królami się równać!... Nikt-że przy nim nie został?

— W Tykocinie jest załoga szwedzka. A przy osobie księcia wojewody tylko się pono trochę dworzan co wierniejszych zostało.

Kmicica pierś napełniła się radością. Bał się pomsty straszego magnata nad Oleńką, a chociaż zdawało mu się, że tej pomście pogroźkami swemi zapobiegł, ciągle przecie trapiła go ta myśl, że lepiej i bez-

pieczniej byłoby Oleńce i wszystkim Billewiczom mieszkać w lwiej jamie, niż w Kiejdanach, pod ręką księcia, który nigdy nikomu nie przebaczył. Teraz jednak, gdy on upadł, musieli tem samem przeciwnicy jego tryumfować; teraz, gdy go pozbawiono sił, znaczenia, gdy był panem jednego tylko lichego zameczka, w którym życia własnego i wolności bronił, nie mógł przecie myśleć o zemście; ręka jego przestała ciężyc nad nieprzyjacioły.

— Chwała bądź Bogu! chwała bądź Bogu! — powtórzył Kmicic.

I tak miał głowę zaprzątniętą tą zmianą radziwiłłowskich losów i tem, co się przez cały czas jego pobytu w Częstochowie zdarzyło i tem, gdzie jest ta, którą pokochało jego serce i tem co się z nią stało, że po raz trzeci spytał Kiemlicza:

— Mówisz tedy, że książę złaman?

— Złaman zeszczętem — odpowiedział stary. — Czy wasza miłość nie chory?

— Bok jeno piecze. Nic to! — odrzekł Kmicic.

I znów jechali w milczeniu. Strudzone konie zwalniały stopniowo kroku, aż wreszcie poczęły iść stępą. Jednostajny ruch ten uspił znużonego na śmierć pana Andrzeja i spał długo, kiwając się na kulbace. Zbudziło go dopiero białe światło dzienne.

Obejrzał się ze zdziwieniem dokoła, bo zdało mu się w pierwszej chwili, że wszystko, co tej nocy przeszedł, to był tylko sen; wreszcie spytał:

— To wy, Kiemlicze? My zpod Częstochowy jedziem?

— A jakże, wasza miłość!

— A gdzie jesteśmy?

— Oho! już w Szlązku. Już nas tu Szwedzi nie dostaną!

— To dobrze! — rzekł Kmicic, oprzytomniawszy zupełnie. — A gdzie nasz miłościwy król rezyduje?

— W Głogowej.

— Tam też pojedziemy panu do nóg się pokłonić, służby ofiarować. Ale słuchajno, stary!

— Słucham, wasza miłość!

Lecz Kmicic zamyślił się i nie odrazu mówić począł. Widocznie coś w głowie układał, wahał się, rozważał, nakoniec rzekł:

— Nie może być inaczej!

— Słucham, wasza miłość! — powtórzył Kiemlicz.

— Ni królowi, ni nikomu z dworskich nie pisać, ktom jest!... Zwę się Babinicz, a jedziem z Częstochowy. O kolubrynie i o Kuklinowskim możecie mówić... Ale nazwiska mego nie wspominać, żeby tam moich intencyj nawspak nie wzięto i za zdrajcę mnie nie poczytano, bom ja w zaślepieniu księciu wojewodzie wileńskiemu służył i jeszcze mu pomagał, o czem na dworze mogli słyszeć.

— Panie pułkowniku! Po tem, czego wasza miłość pod Częstochową dokonał...

— A kto da świadectwo, że to prawda, póki klasztor obleżony?

— Stanie się wedle rozkazu.

— Nadbieży czas, że prawda na wierzch wyjdzie, — rzekł jakby do siebie Kmicic — ale pierwiej musi się pan nasz miłościwy sam przekonać... On też da mi później świadectwo!

Na tem urwała się rozmowa. Tymczasem uczynił

się dzień zupełny. Stary Kiemlicz począł śpiewać godzinki, a Kosma i Damian wtórowali mu basem. Droga była uciążliwa, bo mróz trzymał trzaskający, a przytem ustawicznie zatrzymywano na drodze jadących i wypytywano o nowiny, zwłaszcza zaś o to, czy Częstochowa broni się jeszcze. Kmicic odpowiadał, że się broni i obroni, lecz pytaniom nie było końca. Gościńce roily się od podróżnych, gospody wszędzie po drodze pozajmowane. Jedni chronili się w głąb kraju z pogranicznych ziem Rzeczypospolitej przed uciskiem szwedzkim, drudzy pomykali ku granicom po wieści z kraju; raz wraz spotykano szlachtę, która mając dość Szwedów, jechała tak, jak i Kmicic, służby wygnanemu panu ofiarować. Czasem trafiały się i poczty pańskie, czasem większe lub mniejsze oddziały żołnierzy, z tych wojsk, które bądźto dobrowolnie, bądź na mocy układow ze Szwedami przeszły granice, jak np. wojska pana kasztelana kijowskiego. Wieści z kraju już były ożywiły nadzieje tych „exulów“ i wielu gotowało się do zbrojnego powrotu. W całym Szlązku, a zwłaszcza w księstwach Raciborskiem i Opolskiem, gotowało się jak w garnku; posłańcy latali z listami do króla i od króla, do pana kasztelana kijowskiego, do prymasa, do pana kanclerza Korycińskiego, do pana Warszawskiego, kasztelana krakowskiego, pierwszego senatora Rzeczypospolitej, który ani na chwilę nie opuścił sprawy Jana Kazimierza.

Panowie ci, w porozumieniu z wielką królową, niezachwianą w nieszczęściu, porozumiewali się i ze sobą i z krajem i z przedniejszymi w nim ludźmi, o których wiedziano, że radziby do wierności prawemu panu powrócić. Swoją drogą słał gońców i pan

marszałek koronny i hetmani i wojsko i szlachta, gotująca się do chwycenia za broń.

Była to wilia do powszechnej wojny, która w niektórych miejscach już wybuchła. Szwedzi tłumili te miejscowe porywy bądź orężem, bądź siekierą kata, lecz ogień zgaszony w jednym miejscu, natychmiast zapalał się w drugim. Burza straszliwa zawisła nad głowami skandynawskich najeźdźców; ziemia sama, lubo pokryta śniegami, poczęła parzyć ich stopy; groźba i pomsta otaczały ich ze wszystkich stron, straszły ich cienie własne.

Więc chodzili jak błędni. Niedawne pieśni tryumfu zamarły im na ustach i sami pytali siebie z największym zdumieniem: „Jestli to ten sam naród, który wczoraj jeszcze opuścił własnego pana, poddał się bez boju?” Jakże? panowie, szlachta, wojsko, niebywałym w dziejach przykładem przeszli do zwycięzcy; miasta i zamki otwierały bramy; kraj był zajęty. Nigdy podbój nie kosztował mniej sił i krwi. Sami Szwedzi, dziwiąc się tej łatwości, z jaką zajęli potężną Rzeczpospolitą, nie mogli ukryć pogardy dla zwyciężonych, którzy za pierwszym połyskiem szwedzkiego miecza wyparli się króla, ojczyzny, byle życia i dóstatków w spokoju zażywać, albo nowych w zamieszaniu nabyć. To, co w swoim czasie mówił cesarskiemu posłowi Lisoli Wrzeszczowicz, powtarzał sam król i wszyscy generałowie szwedzcy: „Niema w tym narodzie męstwa, niema stałości, niema ładu, niema wiary, ani patryotyzmu! — muszą zginąć!”

Zapomnieli, że ten naród ma jeszcze jedno uczucie, to właśnie, którego ziemskim wyrazem była Jasna Góra.

I w tem uczuciu było jego odrodzenie.

Więc huk dział, który odezwał się pod świętym przybytkiem, odezwał się zarazem we wszystkich sercach magnackich, szlacheckich, mieszczańskich, i chłopskich. Okrzyk zgrozy rozległ się od Karpat do Bałtyku i olbrzym rozbudził się z odrętwienia.

— To inny naród! — mówili ze zdumieniem jenerałowie szwedzcy.

I począwszy od Arfuida Wittemberga, a skończywszy na komendantach pojedynczych zamków, wszyscy stali do bawiącego w Prusach Karola Gustawa wieści pełne przerażenia.

Ziemia usuwała im się zpod nóg; zamiast dawnych przyjaciół, spotykali wszędy wrogów; zamiast poddania się, opór; zamiast obawy, dziką i gotową na wszystko odwagę; zamiast miękkości, okrucieństwo; zamiast cierpliwości, zemstę.

A tymczasem z rąk do rąk przelatywał tysiącami w całej Rzeczypospolitej manifest Jana Kazimierza, który poprzednio, już ze Szlązka wydany, zrazu nie budził echa. Teraz przeciwnie, widywano go po zamkach jeszcze nie zajętych. Gdzie tylko nie ciążyła szwedzka ręka, tam szlachta zbierała się w kupy i kupki i biła się w piersi, słuchając wzniosłych słów wygnanego króla, który wytykając błędy i grzechy, rozkazywał nie tracić nadziei i do ratunku upadłej Rzeczypospolitej się zrywać.

„Nie minął jednak czas (pisał Jan Kazimierz), chociaż tak już daleko postąpił nieprzyjaciel, abyśmy utraconych prowincyj i miast odzyskać nie mogli i Bogu powinnej chwały powrócić, sprofanowane kościoły krwią nieprzyjacielską nasycić, a wolności i prawa dawne

w klubę zwyczajną i staropolskie postanowienie wprowadzić nie mogli; byle się tylko ta staropolska cnota i ona starożytnych przodków Uprzejmości i Wierności waszych ku Panu observantia i miłość, z jakowej się przed różnemi narodami nasz dziad Zygmunt Pierwszy szczycił, powróciła. Przystąpiła już tedy pierwszych występków odmiana ku cnocie. Komu Bóg i wiara jego święta pierwsza nad wszystko dobro, przeciwko temu szwedzkiemu nieprzyjacielowi Uprzejmości i Wierności wasze powstańcie. Nie czekajcie wodzów i wojewód, albo takiego porządku, jaki w pospolitem prawie opisany. Już teraz między Uprzejmościami i Wiernościami waszemi nieprzyjaciel wszystkie te rzeczy pomieszał; ale jeden do drugiego, trzeci do dwu, czwarty do trzech, piąty do czterech i tak *per consequens*, by też każdy i z własnymi poddanymi zgromadźcie się, a gdzie słuszną, na jaki opór zwiedźcie się. Tam sobie wodza obierzcie dopiero. Jedna do drugiej kupy wiążcie się i słuszenie już z siebie wojsko uczyniwszy, wodza nad nim wiadomego obrawszy, osoby naszej poczekajcie, nie opuszczając okazji, gdyby się trafiła, do porażenia nieprzyjaciela. My, bylebyśmy o okazji i gotowości i skłonności ku nam Uprzejmości i Wierności waszych usłyszeli, zaraz natychmiast przybędziemy i zdrowie nasze tam położymy, gdzie zaszczylenie całości ojczyzny potrzebować będzie“.

Uniwersał ten odczytywano nawet w obozie Karola Gustawa, nawet po zamkach, szwedzkie załogi mających i wszędzie, gdzie się tylko polskie chorągwie znajdowały. Szlachta łzami oblewała każde słowo królewskie, dobrego pana żałując i zaprzysięgała sobie na krzyżach, na wizerunkach N. Panny i szkaplerzach, woli

jego uczynić zadość. Żeby zaś gotowości swej złożyć dowód, póki zapał tlał w sercach, a łyzy nie obeschły, siadano, nie czekając długo, tu i owdzie na koń i rzucono się jeszcze „za ciepła“ na Szwedów.

W ten sposób mniejsze oddziały szwedzkie topnieć i ginąć poczęły. Działo się to na Litwie, Żmudzi, Mazowszu, Wielko i Małopolsce. Nieraz szlachta, zebrawszy się u sąsiada na chrzciny, imieniny, na wesele lub kulig, bez żadnych wojowniczych zamiarów, kończyła na tem zabawę, że podpiwszy, uderzała jak grom i wycinała w pień pobliską szwedzką komendę. Poczem kulig, wśród pieśni i okrzyków, przybierając po drodze tych, którzy się „ochocić“ chcieli, jechał dalej, zmieniał się w tłum chciwy krwi, z tłumy w „partya“, która już stała rozpoczynała wojnę. Poddani chłopcy i czeladź całymi tłumami garnęli się do zabawy; inni donosili o pojedynczych Szwedach lub pomniejszych oddziałach, po wsiach nieostrożnie roztasowanych. I liczba „kuligów“ i „maszkar“ zwiększała się z dniem każdym. Wesołość i fantazyja, właściwa narodowi, mieszały się do tych krwawych zabaw.

Chętnie przebierano się za Tatarów, których samo imię napełniało trwogą Szwedów, dziwne bowiem krążyły między nimi wieści i bajki o dzikości i straszliwym a okrutnym męstwie tych synów krymskich stepów, z którymi Skandynawowie nie spotkali się dotąd nigdy. Że zaś wiadano powszechnie, iż chan w sto tysięcy, okrążył, ordy idzie w pomoc Janowi Kazimierzowi, a szlachta hałasowała, napadając na komendy, powstało ztąd dziwne zamieszanie.

Pułkownicy i komendanci szwedzcy w wielu miejscach byli istotnie przekonani, że Tatarzy już nadeszli

i cofali się na gwałt do większych fortec lub obozów, roznosząc wszędzie wieść fałszywą i trwogę. Tymczasem okolice, które pozbyły się w ten sposób nieprzyjaciela, mogły się zbroić i niesforne tłuszcze w rządniejsze wojsko zamieniać.

Lecz groźniejsze jeszcze dla Szwedów od kuligów szlacheckich i od samych Tatarów były ruchy chłopskie. Oddawna, od pierwszego dnia oblężenia Częstochowy, zaczęło wrzeć pomiędzy ludem i spokojni a cierpliwi dotąd oracze jęli tu i owdzie stawiać opór i tu i owdzie chwytac za kosy i cepy, a szlachcie pomagać. Bystrzejsi generałowie szwedzcy z największą obawą patrzyli na te chmury, które lada chwila mogły się zmienić w potop prawdziwy i pochłonać bez ratunku najeźdców.

Postrach wydawał im się najwłaściwszym środkiem, by zgnieść w zarodzie straszne niebezpieczeństwo. Karol Gustaw głaskał jeszcze i pochlebniemi słowy utrzymywał te chorągwie polskie, które za nim do Prus poszły. Nie szczędził też pochlebstw panu chorążemu Koniecpolskiemu, słynnemu regimentarzowi zpod Zbaraża. Ten stał przy jego boku z sześciu tysiącami nieźrównanej jazdy, która przy pierwszym nieprzyjacielskim starciu z elektorem taki postrach i zniszczenie rozniosła między Prusakami, że elektor zaniechawszy boju, co prędzej na układy się zgodził.

Stał król szwedzki także listy do hetmanów, do magnatów i szlachty, pełne łaski, obietnic i zachęcań, by mu wierności dochowali. Lecz jednocześnie wydał rozkazy swym generałom i komendantom niszczenia ogniem i mieczem wszelkiego oporu wewnątrz kraju, a zwłaszcza wycinania w pień kup chłopskich. Rozpo-

czał się tedy okres żelaznych rządów żołnierskich. Szwedzi porzucili pozory przyjaźni. Miecz, ogień, rabunek. ucisk, zastąpiły dawną udawaną życzliwość. Z zamków komenderowano potężne oddziały jazdy i piechoty w pościgu za kuligami. Równano z ziemią całe wsie, palono dwory, kościoły i plebanie. Jeńców szlachtę oddawano w ręce katom; chłopom, wziętym w niewolę, obcinano prawe ręce i puszczano do domów.

Szczególnie srożyły się owe oddziały w Wielkopolsce, która jak najpierwsza się poddała, tak też najpierwsza podniosła się przeciw obcemu panowaniu. Komendant Stein rozkazał tam pewnego razu poucznić ręce przeszło trzystu chłopom, pochwyconym z bronią w ręku. Po miasteczkach pobudowano stałe szubienice i codzień ubierano je nowemi ofiarami. Toż samo czynił Magnus de la Gardie na Litwie i Żmudzi, gdzie najprzód zaścianki, a za nimi chłopstwo broń chwyciło. Że zaś w ogóle w zamieszaniu trudno było Szwedom odróżnić własnych obrońców od nieprzyjaciół, przeto nie szczędzono nikogo.

Lecz ogień podsycany krwią, zamiast gasnąć, wzmagił się coraz więcej i rozpoczęła się wojna, w której obu stronom nie chodziło już o same zwycięstwa, o zamki i miasta lub prowincye, ale o śmierć i życie. Okrucieństwo wzmagало nienawiść i poczęto nie walczyć, lecz tępić się wzajemnie bez miłosierdzia.

ROZDZIAŁ II.

Ta wojna wytępienia była dopiero w początku, gdy pan Kmicic wraz z trzema Kiemliczami dotarł po trudnej, ze względu na jego nadwreżone zdrowie, podróży do Głogowej. Przyjechali nocą. Miasto było przepełnione od wojska, panów, szlachty, sług królewskich i magnackich, a gospody tak pozajmowane, że stary Kiemlicz z największym trudem wystarał się o kwaterę dla pana Andrzeja, u powroźnika, mieszkającego już za miastem.

Dzień ten przeleżał pan Andrzej w bólu i w gorączce od oparzenia. Chwilami myślał, że przyjdzie mu ciężko, obłożnie zachorować. Ale żelazna natura przemogła. Następnej nocy uczyniło mu się łatwiej, a świtaniem ubrał się już i poszedł do farnego kościoła Bogu za cudowne swe ocalenie podziękować.

Szary i śnieżny zimowy ranek zaledwie rozprószył ciemności. Miasto jeszcze spało, ale przez drzwi kościoła widać już było światło w ołtarzu i dochodziły go głosy organów.

Kmicic wszedł do środka. Ksiądz przed ołtarzem odprawiał wotywę, w kościele mało jeszcze było modlących się. W ławkach klęczało kilkanaście postaci z twa-

rzami ukrytemi w dłoniach, a oprócz nich ujrzał pan Andrzej, gdy oczy jego oswoiły się z ciemnością, jakąś postać, leżącą krzyżem przed samymi stallami, na rozciągniętym na ziemi kobierczyku. Za nim klęczało dwóch wyrostków o rumianych i prawie anielskich, dzieciennych twarzach. Człowiek ten leżał bez ruchu i tylko z piersi, poruszanych ustawicznie ciężkimi westchnieniami, można było poznać, że nie śpi, że modli się gorliwie i całą duszą. Kmicic również pograżył się w modlitwie dziękczynnej; lecz po ukończonych pacierzach oczy jego mimowoli zwróciły się na leżącego krzyżem męża i nie mogły się już od niego oderwać, tak że coś przykuwało do niego. Westchnienia podobne do jęków, głośne w ciszy kościelnej, wstrząsały ciągle tę postać. Żółte blaski świec zapalonych przed ołtarzem, wraz ze światłem dziennem, bielejącem w szybach, wydobywały ją z mroku i czyniły coraz widniejszą.

Pan Andrzej zaraz domyślił się z ubioru, że to musi być ktoś znaczny, gdyż i wszyscy obecni, nie wyłączając księdza odprawiającego wotywę, spoglądali nań ze czcią i uszanowaniem. Nieznajomy przybrany był cały w czarny aksamit, podbity sobolami, tylko na ramionach miał odwinięty biały koronkowy kołnierz, zpod którego przeglądały złote ogniwa łańcucha; czarny z takimiż piórami kapelusz leżał obok, jeden zaś z paziów, klęczących za kobierczykiem, trzymał rękawice i szmelcowaną na błękitno szpadę. Twarzy nieznajomego nie mógł pan Kmicic widzieć, gdyż była ukryta w fałdach kobierczyka, a przytem zasłaniały ją zupełnie rozproszone naokoło głowy loki nadzwyczaj obfitej peruki.

Pan Andrzej przysunął się do samej stali, tak,

aby gdy nieznajomy się podniesie, mógł dojrzeć jego twarz. Tymczasem wotywa miała się ku końcowi. Ksiądz śpiewał już *Pater noster*. Ludzie, którzy chcieli być na następnej mszy, napływali przez główne drzwi wchodowe. Kościół zapełnił się z wolna postaciami o podgolonych głowach, przybranemi w delie, w żołnierskie burki, w szuby i altenbasowe kapoty. Uczyniło się dość ciasno. Wówczas Kmicie trącił w łokieć stojącego obok szlachcica i szepnął:

— Przebacz wasza mość, że go w nabożeństwie inkomoduję, ale ciekawość mocniejsza. Kto też to jest?

Tu wskazał oczyma na leżącego krzyżem pana.

— Chybaś waść zdaleka przyjechał, że nie wiesz, kto to jest? — odparł szlachcic.

— Pewnie, żem zdaleka przyjechał i dlatego pytam w nadziei, że gdy na kogo politycznego trafię, to mi nie poskąpi odpowiedzi.

— To jest król.

— Na Boga żywego! — zawołał Kmicie.

Lecz w tej chwili król się podniósł, bo ksiądz zaczynał właśnie czytać ewangelią.

Pan Andrzej ujrzał twarz wymizerowaną, żółtą i przezroczystą jak wosk kościelny. Oczy królewskie były wilgotne, a powieki zaczerwienione. Rzekłbyś, że losy kraju odbiły się na tej szlachetnej twarzy, tyle w niej było bólu, cierpienia, troski. Noce bezsenne, rozdzielane między modlitwę a zmartwienie, zawody okrutne, tułactwo, opuszczenie, upokorzony majestat tego syna, wnuka i prawnuka potężnych królów, gorycz, którą tak obficie napawali go własni poddani, niewdzięczność kraju, dla którego gotów był krew i życie poświęcić, wszystko to można było, jak

w księdze, w tem obliczu wyczytać. A jednak biła z niego nietylko rezygnacya, zdobyta przez wiarę i modlitwę, nietylko majestat króla i Bożego pomazańca, ale taka dobroć wielka, niewyczerpana, iż widać było, że dość będzie największym odstępcom, najbardziej winnym, wyciągnąć tylko ręce do tego ojca, a ten ojciec przyjmie, przebaczy i krzywd własnych zapomni.

Kmicicowi na jego widok zdawało się, że ktoś mu żelazną dłonią ścisnął serce. Żal zawrzał w gorącej duszy junaka. Skrucha, litość i cześć oddech zaparły mu w gardle, poczucie winy niezmiernej podcięło mu kolana, aż drzeć począł na całym ciele i nagle nowe, nieznanne uczucie powstało mu w piersi. Oto w jednej chwili pokochał tak ten bolesny majestat, że uczuł, iż nie ma nic droższego na ziemi całej od tego ojca i pana, że gotów za niego poświęcić krew, życie, znieść torturę i wszystko w świecie. Chciałby się do tych nóg rzucić, kolana objąć i prosić o odpuszczenie win. Szlachcic, zuchwały warchoł, zamarł w nim w jednej chwili, a urodził się regalista, oddany duszą całą swemu królowi.

— To nasz pan! nasz pan nieszczęsny! — powtarzał sobie, jakby ustami chciał dać świadectwo temu, co widziały jego oczy, a czuło serce.

Tymczasem Jan Kazimierz po ewangelii klęknął znowu, ręce rozłożył, oczy wzniosł ku górze i pogrążył się w modlitwie. Ksiądz wreszcie odszedł, począł się ruch w kościele, król klęczał ciągle.

Aż ów szlachcic, którego Kmicie zaczepił, trącił teraz w bok pana Andrzeja.

— A coś waćpan za jeden? — spytał.

Kmicie nie odrazu zrozumiał pytanie i nie zaraz

odpowiedział, tak dalece serce jego i umysł były osobą królewską zajęte.

— A coś waćpan za jeden? — powtórzył ów personat.

— Szlachcic, jako i waszmość! — odrzekł pan Andrzej, zbudziwszy się jakby ze snu.

— Jakże cię zowią?

— Jak mnie zowią? Zwę się Babinicz, a jestem z Litwy, zpod Witebska.

— A jam jest Ługowski, dworski królewski!... Proszę, to waćpan aż z Litwy, zpod Witebska jedziesz?

— Nie... Jadę z Częstochowy.

Pan Ługowski aż zaniemówił na chwilę ze zdziwienia.

— A jeśli tak, to bywajże waćpan, bywaj, bo nam nowin udzielisz! Mało już króla miłościwego nie umorzył frasunek, że przez trzy dni żadnej pewnej wieści nie miał. Jakżeto? Zpod chorągwi Zbrożka może, albo Kalińskiego, albo Kuklinowskiego? Zpod Częstochowy?

— Nie zpod Częstochowy, ale z samego klasztoru, wprost!

— Chyba waść żartujesz? Co tam? co słyhać? Broniże się jeszcze Jasnagóra?

— I broni się i będzie broniła. Szwedzi już na odstąpieniu!

— Dla Boga! Król ozłoci waszmości! Z samego klasztoru, powiadasz, jedziesz?... Jakże cię to Szwedzi puścili?

— Jam ich o permissyą nie prosił, ale wybaczej waćpan, że w kościele obszerniejszej relacji dać nie mogę.

— Słusznie, słusznie — odparł pan Ługowski. — Bóg miłosierny!... Z nieba nam spadłeś!... W kościele nie przystoi... słusznie! Czekałże waćpan. Zaraz się król podniesie, śniadać przed sumą pojedzie... Dziś niedziela... Chodź waść, staniesz wraz ze mną przy drzwiach i wraz u wejścia przedstawię waćpana królowi... Chodź, chodź, bo niema czasu!

To rzekłszy, ruszył naprzód, a Kmicic za nim. Zaledwie ustawili się przy drzwiach, gdy ukazało się najprzód dwóch paziów, a za nimi wyszedł zwolna Jan Kazimierz.

— Miłościwy królu! — zakrzyknął pan Ługowski — są wieści z Częstochowy!

Woskowa twarz Jana Kazimierza ożywiła się nagle.

— Co? gdzie? kto jest? — spytał.

— Ten oto szlachcic! Powiada, że z samego klasztoru jedzie.

— Zali klasztor już zdobyty? — zakrzyknął król.

Wtem pan Andrzej rymnął jak długi do nóg pańskich.

Jan Kazimierz pochylił się i począł podnosić go za ramiona.

— Na potem, — wołał — na potem!... Wstań waść, na Boga, wstań! mów prędzej... Klasztor zdobyty?

Kmicic zerwał się ze łzami w oczach i krzyknął z zapalem:

— Nie zdobyty, miłościwy panie i nie będzie! Szwedzi pobici! Największa armata wysadzona! Strach między nimi, głód, mizerya! O odstąpieniu myślą!...

— Chwała! chwała Tobie, Królowo Anielska i nasza!. — rzekł król.

To rzekłszy, odwrócił się ku drzwiom kościelnym, zdjął kapelusz i nie wchodząc do środka, klęknął na śniegu przy drzwiach. Głowę oparł o ramę kamienną i pograżył się w milczeniu. Po chwili łkanie poczęło nim wstrząsać.

Rozczulenie ogarnęło wszystkich. Pan Andrzej ryczał jak żubr.

Król pomodliwszy się i wypłakawszy, wstał uspokojony, z twarzą wiele pogodniejszą. Zaraz spytał Kmicica o nazwisko, a gdy ten powiedział mu swe przybrane miano, rzekł:

— Niechże cię pan Ługowski zaraz do naszej kwatery prowadzi. Nie zażyjemy ранnego posiłku inaczey, jak słuchając o obronie!

I w kwadrans później pan Kmicic stanął w komnacie królewskiej przed dostojnem zebraniem. Król czekał tylko na królowę, by zasiąść do ранnej polewki; jakoż Marya Ludwika pojawiła się za chwilę. Jan Kazimierz, ledwie ją ujrzał, zaraz zakrzyknął:

— Częstochowa wytrzymała! Szwedzi ustępują! Oto jest pan Babinicz, który z tamąd przyjeżdża i tę wieść przynosi!

Czarne oczy królowej spoczęły badawczo na młodej twarzy junaka i widząc jej szczerłość, rozjaśniły się radością; on zaś oddawszy niski ukłon, patrzył także na nią śmieie, jako prawda i uczciwość patrzeć umieją.

— Moc boska! — rzekła królowa — ciężar okrutny zdjąłeś nam waćpan z serca i da Bóg, że to będzie początek odmiany fortuny. Wprostże zpod Cęstochowy jedziesz?

— Nie zpod Częstochowy, ale powiada, że z samego klasztoru, to jeden z obrońców! — zawołał król. — Złoty gość!... Bodaj tacy codzień przybywali; ale pozwólcieże mu przyjść do słowa... Opowiadaj, bracie, opowiadaj, jakieście się bronili i jak was ręka Boska piastowała?

— Pewnie, miłościwi państwo, że nic więcej, jeno opieka boska i cuda Najświętszej Panny, na które codzień własnymi oczyma patrzyliśmy.

Tu pan Kmicic zabierał się już do opowiadania, gdy wtem coraz nowi dygnitarze zaczęli się schodzić. Przyszedł więc nuncyusz papieski, potem ksiądz prymas Leszczyński, za nim ksiądz Wydźga, złotousty kaznodzieja, który był kanclerzem królowej, a później biskupem warmińskim, potem zaś jeszcze prymasem. Wraz z nim wszedł kanclerz koronny, pan Koryciński i francuz de Noyers, przyboczny królowej, za nim nadchodzili kolejno inni dygnitarze, którzy pana nie opuścili w nieszczęściu, ale woleli z nim gorzki wygnać chleb dzielić, niż wiarę zaprzysiężoną złamać.

Królowi zaś pilno było, więc odrywał się co chwila od posiłku i powtarzał:

— Słuchajcie wasze moście! słuchajcie, gość z Częstochowy! dobra wieść, słuchajcie!... Z samej Jasnej Góry!...

Na to dygnitarze spoglądali z ciekawością na Kmicica, stojącego jakoby przed sądem, lecz on, śmiały z natury i przywykły do obcowania z wielkimi, wcale się widokiem tylu znamienitych ludzi nie trwożył i gdy zasiedli wszyscy miejsca, począł o całym oblężeniu opowiadać.

Prawdę znać było w jego słowach, bo mówił jasno,

dobitnie, jak żołnierz, który sam na wszystko patrzył, wszystkiego się dotknął, wszystko przeżył. Mówił o księdzu Kordeckim, jak o proroku świętym, wychwalał pod niebiosa pana Zamoyskiego i pana Czarnieckiego, wystawiał innych ojców, nikogo, prócz siebie, nie pomijał; lecz całą obronę, bez ogródki Najświętszej Pannie, Jej łasce i cudom przypisywał.

Słuchali go w zdumieniu król i dygnitarze.

Ksiądz arcybiskup oczy załzawione do nieba wznosił, ksiądz Wydzga pośpiesznie wszystko nuncyuszowi tłumaczył, inni panowie za głowy się chwyтали, inni modlili się lub bili w piersi.

Wreszcie, gdy Kmicic doszedł do ostatnich szturmów, gdy począł opowiadać, jak Müller sprowadził ciężkie działa z Krakowa, a między nimi taką kolubrynę, której nietylko częstochowskie, ale żadne w świecie mury oprzeć się nie mogły — cisza uczyniła się, jak makiem siał i wszystkie oczy spoczęły na jego ustach.

Lecz pan Kmicic urwał nagle i począł oddychać szybko; jasne rumieńce wystąpiły mu na twarz, zmarszczył brwi, podniósł głowę i rzekł hardo:

— Teraz muszę mówić o sobie, choć wolałbym milczeć... A jeżeli coś powiem, co na pochwałę wypadnie, Bóg mi świadek, nie uczynię tego dla nagród, bo ich nie potrzebuję, gdyż największa nagroda dla mnie za majestat krew przelać...

— Mów śmieje, wierzym ci! — rzekł król. — Cóż owa kolubryna?...

— Tę kolubrynę... ja, wykradłszy się w nocy z fortecy, prochami w drzazgi rozsadziłem!

— Na miły Bóg! — zakrzyknął król.

Lecz po tym wykrzykniku nastąpiła cisza, takie

zdumienie ogarnęło słuchających. Wszyscy patrzyli jak w tęczę w junaka, który stał z iskrzącymi się oczyma, z rumieńcem na twarzy i z hardo podniesioną głową. A tyle w nim było w tej chwili jakiejś grozy i dzikiego męstwa, że każdemu przyszło mimowoli na myśl, iż taki człowiek mógł na podobny uczynek się zdobyć.

To też po chwili milczenia ksiądz prymas odezwał się:

— Patrzy na to ten człowiek!

— Jakżeś to uczynił? — zawołał król.

Kmicic opowiedział, jak było.

— Uszom się nie chce wierzyć! — rzekł pan kanclerz Koryciński.

— Mości panowie! — odezwał się z powagą król — nie wiedzieliśmy, kogo mamy przed sobą. Żywie jeszcze nadzieja, że nie zginęła ta Rzeczpospolita, póki takich kawalerów i obywateli wydaje.

— Ten może o sobie powiedzieć: „*Si fractus illabatur orbis, impavidum ferient ruinae!*“ — rzekł ksiądz Wydźga, który lubił autorów przy każdej sposobności cytować.

— Prawie to niepodobne rzeczy — ozwał się znów kanclerz. — Powiedzże, panie kawalerze, jakim sposobem żywot uniosłeś z tego terminu i jak przez Szwedów się przedostałeś?

— Huk ogłuszył mnie — rzekł Kmicic — i dopiero nazajutrz znaleźli mnie Szwedzi przy okopie, jakoby bez duszy leżącego. Zaraz mnie tam pod sąd oddali i Müller skazał mnie na śmierć.

— Ty zaś uciekłeś?

— Niejaki Kuklinowski wyprosił mnie u Müllera,

żeby sam mógł mnie zgładzić, bo miał przeciw mnie zawziętość okrutną...

— Znany to warchoł i zbój, słyszeliśmy tu o nim — rzekł kasztelan Krzywiński. — Jego pułk z Müllerem pod Częstochową stoi... Prawda!

— Ów Kuklinowski postował wprzód od Müllera do klasztoru i raz mnie prywatnie do zdrady namawiał, gdym go do bramy odprowadzał... Ja zaś trzasnąłem go w głowę i skopałem nogami... Zato urazę do mnie powziął.

— A to widzę z ognia i siarki szlachcie! — zawołał rozweselony król. — Takiemu w drogę nie wchodzi!... Müller oddał cię tedy Kuklinowskiemu?

— Tak jest, miłościwy panie!... On zaś zamknął się ze mną w pustej stodółce z kilkoma ludźmi... Tam mnie do belki powrozami przywiązał i męczyć począł i ogniem boki palił.

— Na Boga żywego!

— Wtem go odwołano do Müllera, a tymczasem przyszło trzech szlachty, niejakich Kiemliczów, jego żołnierzy, którzy wpierw u mnie służyli. Ci pobili strażników i odwiązali mnie od belki.

— I uciekliście. Teraz rozumiem! — rzekł król.

— Nie, miłościwy panie. Zaczekaliśmy na powrót Kuklinowskiego. Wówczas ja go kazałem do tej samej belki przywiązać i lepiej ogniem przypiekłem.

To rzekłszy pan Kmicic, podniecony wspomnieniem, zaczerwienił się nanowo i oczy błysły mu, jak wilkowi.

Lecz król, który łatwo od zmartwienia do wesołości, od powagi do żartu przechodził, począł bić dłonią w stół i wołać ze śmiechem:

— Dobrze mu tak! dobrze mu tak! Nie zasłużył taki zdrajca na lepszy traktament!

— Zostawiłem go żywego, — odrzekł Kmicic — lecz do rana musiał ostygnąć.

— To sztuka, co swego nie daruje! Więcej nam takich! — wołał król, zupełnie już rozbawiony. — Sam zaś z tymi żołnierzami tu przybyłeś? Jak ich zowią?

— Kiemlicze: jest ojciec i dwóch synów.

✓ — *Mater mea de domo Kiemliczówna est*, — rzekł z powagą ksiądz kanclerz królowej, Wydźga.

— To widać są Kiemlicze wielcy i mali — odparł wesoło Kmicic — a ci nie tylko są mali, ale i w rzeczy hultaje, jeno żołnierze okrutni i mnie wierni.

Tymczasem kanclerz Koryciński szeptał coś od niejakiego czasu do ucha księdza arcybiskupa gnieźnieńskiego, wreszcie rzekł:

— Wielu tu przyjeżdża takich, którzy dla własnej chwalby, albo spodziewanej nagrody radzi kilimkiem rzucają. Ci wieści fałszywe i bałamutne przywożą, często i przez nieprzyjaciół namówieni.

Uwaga ta zmroziła wszystkich obecnych. Kmicica twarz pokryła się purpurą.

— Nie znam ja godności waszmość pana, — odrzekł — która, jak tuszę, musi być znaczna... więc nie chcę jej ubliżyć, ale tak myślę, że niemasz takiej godności, któraby pozwalała szlachcicowi bez racyi łgarstwo zadawać.

— Człowieku! do kanclerza wielkiego koronnego mówisz! — rzekł pan Ługowski.

Kmicic wybuchnął gniewem:

— Kto mi łgarstwo zadaje, choćby był kanclerzem, temu powiem: łatwiej łgarstwo zadawać, niż

gardła nadstawiać, łatwiej pieczętować woskiem, niż krwią!

Lecz pan Koryciński nie rozgniewał się wcale, tylko odrzekł:

— Nie zadaję ci kłamstwa, panie kawalerze, ale jeżeli prawda, coś mówił, to powinienś mieć bok spalony?

— Pójdźże wasza wielmożność gdzie na stronę, to ci go pokażę! — huknął Kmicic.

— Nie potrzeba, — rzekł król — wierzym ci tak!

— Nie może być, miłościwy królu! — zakrzyknął pan Andrzej — sam tego chcę, jak o łaskę o to proszę, żeby mnie tu nikt, choćby nie wiem jak dostojny, kolarystą nie czynił! Żeby mi się nagrodziła męka, miłościwe państwo! Nie chcę nagrody, chcę, żeby mi wierzone, niechże niewierni Tomaszę dotkną ran inoich!

— U mnie masz wiarę! — rzekł król.

— Sama prawda była w jego słowach, — dodała Marya Ludwika — ja się na ludziach nie myślę.

Lecz Kmicic ręce złożył.

— Miłościwe państwo, pozwólcie! Niechże ktokolwiek idzie ze mną na stronę, bo ciężkoby mi tu było żyć w podejrzeniach.

— Ja pójdę, — rzekł pan Tyzenhauz, młody dworzanin królewski.

To rzekłszy, odprowadził Kmicica do drugiej komnaty, a po drodze mówił do niego:

— Nie dlatego idę, bym nie wierzył, bo wierzę, ale by z waszmością pogadać. My się gdzieś na Litwie widzieli... Nazwiska sobie nie mogę przypomnieć, bo być może, iżem waszmości wyrostkiem jeszcze widział i sam wtedy wyrostkiem byłem.

Kmicic odwrócił nieco twarz, by ukryć nagłe pomieszanie.

— Może na sejmiku jakim. Często mnie nieboszczyk rodzic brał ze sobą, bym się praktyce publicznej przypatrywał.

— Może być... Twarz waćpańska pewno mi nie obca, chociaż wtedy tej kresy nie miał. Patrz jednak waćpan, jako *memoria fragilis est*, toż mnie się przewiduje, że cię wtedy inaczej zwali?

— Bo lata pamięć mącą — odparł pan Andrzej.

Zaczem weszli do innej komnaty. Po chwili pan Tyzenhauz wrócił przed oblicze królewskie.

— Upieczon, miłościwy królu, jako na różnie! — rzekł. — Cały bok ze szczeniem przypalony!

Węc gdy kolei i Kmicic wrócił, król wstał, ścisnął go za głowę i rzekł:

— Nigdybyśmy nie wątpili, że prawdę mówisz i zasługa twoja, ani ból darmo nie przemienie.

— Dłużnikami twymi jesteśmy — dodała królowa, wyciągając doń rękę.

Pan Andrzej przyklęknął na jedno kolano i ucałował ze czcią dłoń królowej, która go jeszcze pogładziła jako matka po głowie.

— Ale jużże się na pana kanclerza nie gniewaj — rzekł znowu król. — Po prawdzie, nie mało tu było zdrajców, albo takich, którzy pletli trzy po trzy, a do urzędu kanclerskiego należy, żeby prawdę *de publicis* wydobyć.

— Coby tam mój chudopacholski gniew znaczył dla tak wielkiego człowieka — odpowiedział pan Andrzej. — I nie śmiałbym nawet mruzczyć na zacnego

senatora, który przykład wierności i miłości do ojczyzny wszystkim daje.

Kancelerz uśmiechnął się dobrotliwie i wyciągnął rękę.

— No, niechże będzie zgoda! Przymówiłeś mi też szpetnie o tym wosku, ale wiedz o tem, że i Korycińscy często krwią, nie samym woskiem pieczętowali...

Król rozweselony był zupełnie.

— Udał nam się ten Babinicz! — rzekł do senatorów. — Tak nam do serca przypadł, jak mało kto... Już cię też od boku naszego nie puścim i da Bóg, razem niezadługo do miłej ojczyzny powrócimy.

— O najjaśniejszy królu! — zakrzyknął w uniesieniu Kmicic — chociażem był w twierdzy zamknięty, wiem to od szlachty, od wojska, od tych nawet, co pod panem Zbrożkiem i Kalińskim służąc, Częstochowę oblegali, że wszyscy dnia i godziny twego powrotu wyglądają. Ukaż się tylko, miłościwy panie, a tego samego dnia cała Litwa, Korona i Ruś, jako jeden mąż przy tobie staną! Pójdzie szlachta, pójdzie nawet chłopstwo nikczemne przy panu swoim się oponować. Wojsko pod hetmanami ledwie już dysze, tak chce na Szwedów... Wiem i to, że pod Częstochowę przyjeżdżali od hetmańskich wojsk deputaci, żeby Zbrożka, Kalińskiego i Kuklińskiego przeciw Szwedom ekscytować. Stań dziś, miłościwy panie, w granicach, a za miesiąc jednego Szweda już nie będzie, jeno przybądź, jeno się ukaż, bośmy tam jako owce bez pasterza!...

Kmicicowi skry szły z oczu, gdy to mówił i tak wielki zapał go ogarnął, że klęknął na środku sali. Zapał jego udzielił się też samej nawet królowej, która nieustraszonej odwagi będąc, dawno króla do powrotu namawiała.

Więc zwróciwszy się teraz do Jana Kazimierza, rzekła z siłą i stanowczością:

— Głos całego narodu przez usta tego szlachcica słyszę!...

— Tak jest! tak jest! Miłościwa pani!... matko nasza!... — zakrzyknął Kmicie.

Lecz kanclerza Korycińskiego i króla uderzyły niektóre słowa w tem, co mówił Kmicie.

— Zawsze — rzekł król — gotowiśmy ponieść w ofierze zdrowie i życie nasze i nie na co innego, jeno na poprawę poddanych naszych czekaliśmy aż dotąd.

— Ta poprawa już się spełniła — rzekła Marya Ludwika.

— *Majestas infracta malis!* — rzekł, spoglądając na nią z uwielbieniem ksiądz Wydzga.

— Ważne to są rzeczy, — przerwał ksiądz arcybiskup Leszczyński — zali istotnie deputacje od wojsk hetmańskich przychodziły pod Częstochowę?

— Wiem to od moich ludzi, tychże Kiemliczów! — odparł pan Andrzej. — U Zbrozka i Kalińskiego wszyscy głośno o tem mówili, nie na Müllera i Szwedów nie uważając. Kiemlicze owi nie byli zamknięci, mieli ze światem relacje, z żołnierzami i szlachtą... Tych mogę przed obliczem majestatu i waszych dostojności postawić, aby sami opowiedzieli, jako w całym kraju wre jak w garnku. Hetmani z musu tylko do Szweda przystali, bo zły duch wojsko opętał. a teraz samo owo wojsko chce napowrót do powinności wrócić. Szlachtę i duchownych Szwedzi biją, rabują, przeciw wolności dawnej bluźnią, toż i dziwu niema, że każdy jeno pięści ściska i na szablę łakomie spogląda.

— Mieliliśmy już i my od wojsk wiadomości, — rzekł król — byli tu także tajni wysłańcy, którzy nam ochotę powszechną powrotu do dawnej wierności i czci oznajmiali...

— I to schodzi się z tem, co ów kawaler powiada — rzekł kanclerz -- Ale jeśli deputacye i między pułkami chodzą, to ważne jest, bo znaczy to, że owoc już dojrzał, że nasze starania nie zmarniały i robota gotowa, a zatem czas nadszedł...

— A Koniecpolski? — rzekł król — a tylu innych, którzy jeszcze przy boku najezdznika stoją, w oczymu patrzą i o swej wierności zaręczają?

Na to umilkli wszyscy, a król zasępił się nagle, i jako, gdy słońce za chmurę zajdzie, mrok odrazu cały świat pokrywa, tak i jemu twarz pociemniała.

I po chwili tak mówić począł:

— Bóg patrzy w serca nasze, żeśmy choć dziś gotowi wyruszyć i że nie potencya szwedzka nas wstrzymuje, ale nieszczęsna zmienność naszego narodu, który jako Proteusz, coraz nową postać na się przyjmuje. Zali możemy zaufać, że to nawrócenie szczere, ochota nie zmyślona, gotowość nie zdradliwa? Zali możemy zawierzyć temu narodowi, który tak niedawno nas opuścił i z tak lekkim sercem z najezdznikiem się połączył przeciw własnemu królowi, przeciw własnej ojczyźnie, przeciw własnym wolnościom? Boleść ściska nam serce i wstyd nam za naszych poddanych! Gdzież dzieje podają podobne przykłady? Któż ten król tyle doznał zdrad i nieżyczliwości, któren tak był opuszczony? Przypomnijcie sobie jeno uprzejmości wasze, iżeśmy wśród naszego wojska, wśród tych, którzy krew za nas winni byli przelać, bezpieczeństwa — i — zgroza powie-

dzieć! — życia nawet nie byli pewni. A jeśliśmy ojczyzną opuścili i tu schronienia szukać musieli, to nie z bojaźni przed owym szwedzkim nieprzyjacielem, ale, by własnych poddanych, własne dzieci, od strasznego występku królobójstwa i ojcobójstwa uchronić.

— Miłościwy panie, — krzyknął Kmicic — ciężko zawinił nasz naród, grzeszny jest i słusznie chłoscze go ręka Boża, ale przecie, na rany Chrystusa! nie znalazł się w tym narodzie i da Bóg, po wieki nie znajdzie się taki, któryby rękę na świętą osobę pomazańca boskiego śmiał podnieść!

— Ty w to nie wierzysz, boś pocziwy, — odrzekł król — ale my mamy listy i dowody. Jużto gorzko odpłacili nam się Radziwiłłowie za dobrodziejstwa, któreśmy ich obsypali, a jednak Bogusława, choć zdrajcę, sumienie ruszyło i nietylko nie chciał do zamachu na nas ręki przyłożyć, ale pierwszy nam o nim doniósł.

— Do jakiego zamachu? — zawołał zdumiony Kmicic.

— Doniósł nam — rzekł król — iż znalazł się taki, który mu się za sto czerwonych złotych ofiarował porwać nas i żywego lub umarłego Szwedom dostawić.

Dreszcz przeszedł całe zgromadzenie na te słowa królewskie, a pan Kmicic zaledwie zdołał wyjąkać pytanie:

— Kto to był taki?... Kto to był?...

— Niejaki Kmicic — odrzekł król.

Fala krwi uderzyła nagle panu Andrzejowi do głowy, w oczach mu pociemniało, rękoma schwycił się za czuprynę i strasznym, obłąkanym głosem zakrzyknął:

— To łgarstwo! Książę Bogusław łże jak pies! Miłościwy królu, panie mój! nie wierz temu zdrajcy;

umyślnie on to uczynił, by wroga zhańbić, a ciebie przerazić, królu mój, panie!... to zdrajca!... Kmicic by nie ważył się na to...

Tu nagle zakręcił się pan Andrzej na miejscu. Siły jego sterane obłężeniem, podcięte wybuchem prochów w kolubrynie i męką zadaną przez Kuklinowskiego, opuściły go zupełnie — i runął bez przytomności do nóg królewskich.

Podniesiono go i medyk królewski począł go cucić w przyległej izbie. Lecz w zgromadzeniu dygnitarzy nie umiano sobie wytłómaczyć, czemu słowa królewskie podobnie straszne uczyniły na młodym szlachcicu wrażenie.

— Albo tak pocziwy, że sama abominacya z nóg go zwała, albo jaki tego Kmicica krewny — rzekł pan kasztelan krakowski.

— Trzeba się będzie tego dopytać — odpowiedział kanclerz Koryciński. — Oni tam wszyscy sobie na Litwie krewni, jako zresztą i u nas.

Na to pan Tyzenhauz:

— Miłościwy panie! — Niech mnie Bóg broni, żebym chciał co złego o tym szlachcicu mówić — ale... nie trzeba jeszcze zbyt ufać... Że służył w Częstochowie, to pewno; bok ma spalony, czego by w żadnym razie mnisi nie uczynili, bo oni jako słudzy Bozi wszelką klemencyą nawet dla jeńców i zdrajców mieć muszą; ale jedno mi wciąż po głowie chodzi i ufność do niego psuje... Owo ja go kiedyś na Litwie spotkałem... wyrostkiem jeszcze, na sejmiku, czy na kuligu... nie pomnę...

— I co z tego? — rzekł król.

— I on... ciągle mi się widzi... że nie nazywał się Babinicz.

— Nie powiadaj byle czego! — rzekł król — młody jesteś i nieuważny, w głowie łącno ci się mogło pomieszać. Babinicz, czy nie Babinicz, czemu ja jemu nie mam ufać? Szczerość i prawdę ma na gębie wypisane, a serce widać złote. Sobiebym chyba nie ufał, gdybym takiemu żołnierzowi nie miał ufać, którego krew za nas i ojczyznę przelewał.

— Więcej on na ufność zasługuje, aniżeli list księcia Bogusława, — rzekła nagle królowa — i polecam to uwadze waszych dostojności, że w tym liście może nie być i słowa prawdy. Siła mogło zależeć Radziwiłłom Birżańskim, żebyśmy zgoła na duchu upadli, a łącno przypuścić, że książę Bogusław chciał przytem jakowego wroga swego pograżyć i sobie furtkę otwartą w razie odmiany fortuny zostawić.

— Gdybym nie przywykł do tego, — rzekł prymas — że z ust miłościwej królowej jejmości sama mądrość wychodzi, zdumiewałbym się nad bystrością tych słów, najbieglejszego statysty godnych.

— „...*curasque gerens, animosque viriles...*“ — przerwał zcicha ksiądz Wydźga.

Podniesiona temi słowy królowa, wstała z krzesła i tak mówić poczęła:

— Nie o Radziwiłłom Birżańskich mi chodzi, bo ci, jako heretycy, łącnie podszeptów nieprzyjaciela rodu ludzkiego usłuchali; ani też o list księcia Bogusława, prywatę może zacierający... Ale najbardziej mnie bołą desperackie słowa króla, pana i małżonka mojego przeciw temu narodowi wyrzeczone. Któż bowiem go oszczędzi, jeśli go własny król potępia? A przecie, gdy rozej-

rzę się po świecie, próżno pytam, gdzie jest taki drugi naród, w którymby chwała Boga starożytnej szczerości trybem trwała i pomnażała się coraz bardziej... Próżno patrzę, gdzie drugi naród, w którym tak otwarty kandor żyje; gdzie państwo, w którymby o tak piekielnych bluźnierstwach, subtelnym zbrodniach i nigdy nieprzejednanych zawziętościach, jakich pełne są obce kroniki, nigdy nikt nie słyszał... Niechże mi pokażą ludzie, w dziejach świata biegli, inne królestwo, gdzieby wszyscy królowie własną spokojną śmiercią umierali. Niemasz tu nożów i trucizn, niemasz protektorów, jako u Angielczyków... Prawda, mój panie, zawinił ten naród ciężko, zgrzeszył przez swawolę i lekkość... Ale któryż to jest naród nigdy niebłądzący i gdzie jest taki, któryby tak prędko winę swą uznał, pokutę i poprawę rozpoczął? Oto już się obejrżeli, już przychodzą, bijąc się w piersi, do twego majestatu... już krew przeleć, życie oddać, fortuny poświęcić dla ciebie gotowi... A ty zali ich odepchniesz? zali żałującym nie przebaczysz, poprawionym i pokutującym nie zaufasz?... dzieciom, które zbłądziły, ojcowskiego afektu nie wrócisz?... Zaufaj im, panie, bo oto tęsknią już za swą krwią jagiellońską i za ojcowskimi rządami twemi... Jedź między nich... Ja, ja niewiasta, nie lękam się zdrady, bo widzę miłość, bo widzę żal za grzechy i restauracją tego królestwa, na które cię po ojcu i bracie powołano. Ani mi się też podobna rzecz zdawa, by Bóg miał zgubić tak znaczną Rzeczpospolitą, w której światło prawdziwej wiary płonie. Do krótkiego czasu ściągnęła boska sprawiedliwość różgę swoją na ukaranie, nie na zgubienie dziatek swoich, a zaś wkrótce potem utuli ich i pocieszy ojcowska tegoż niebieskiego Pana

dobroć. Lecz ty nie gardź niemi, królu i powierz się ich synowskiej dyskrety nie lękaj, bo tylko tym sposobem złe w dobre, zmartwienia w pociechy, klęski w tryumfy zmienić się mogą.

To rzekłszy, siadła królowa jeszcze z ogniem w zrenicach i falującą piersią; wszyscy spoglądali na nią z uwielbieniem, a ksiądz kanclerz Wydźga zaczął mówić echowym głosem:

— *Nulla sors longa est, dolor et voluptas
Invicem cedunt.*

Ima permutat brevis hora summis...

Lecz nikt go nie słuchał; bo zapal bohaterskiej pani udzielił się wszystkim sercom. Sam król zerwał się z rumieńcami na poźółkłej twarzy i zakrzyknął:

— Nie straciłem jeszcze królestwa, skoro mam taką królowę!... Niechże się stanie jej wola, bo w natchnieniu proroczem mówiła. Im prędzej wyruszę i stanę inter regna, tem będzie lepiej!...

Na to ozwał się z powagą prymas:

— Nie chcę ja woli miłościwych państwa moich negować, ani od przedsięwzięcia odwodzić, w którym jest hazard, ale może być i zbawienie. Wszelako za roztropną rzecz uważałbym jeszcze raz w Opolu, gdzie większość senatorów przebywa, zebrać się i tam konceptów zebranych posłuchać, które jeszcze lepiej i obszerniej sprawę wywieść i rozważyć mogą.

— Zatem do Opolu! — zakrzyknął król — a potem w drogę i co Bóg da!

— Bóg da powrót szczęśliwy i zwycięstwo! — rzekła królowa.

— Amen! — rzekł prymas.

ROZDZIAŁ III.

Pan Andrzej ciskał się jak ranny żbik w swej gospodzie. Piekielna zemsta Bogusława Radziwiłła przywiodła go niemal do szaleństwa. Niedość, że ów książę wyrwał się z jego rąk, pobił mu ludzi, jego samego niemal życia nie zbawił, nadto taką go okrył sromotą, pod jaką nietylko nikt z jego rodu, ale żaden Polak od początku świata nie jęczał.

To też były chwile, że Kmicic chciał się wyrzec wszystkiego, sławy, która się przed nim otwierała, służby królewskiej, a lecieć i mścić się na tym magnacie, któregooby pragnął pożreć na surowo.

Lecz z drugiej strony, mimo całej wściekłości i wichru w głowie, przychodziło mu na myśl, że póki książę żyw, zemsta nie uciecze, a najlepsza sposobność, jedyna droga zadać mu kłam i całą bezecność oskarżenia na jaw wywieść, to właśnie służba królewska, w niej bowiem mógł światu okazać, że nietylko na świętą osobę ręki podnosić nie zamierzał, ale że pomiędzy wszystką szlachtą Korony i Litwy nie mógłby król wierniejszego sługi nad Kmicica znaleźć.

Zgrzytał jednak zębami, kipiał jak war, szarpał na sobie odzież i długo, długo nie mógł się uspokoić.

Lubował się myślą o zemście. Widział znów księcia w swoich rękach; przysięgał sobie na pamięć rodzica, iż musi go dostać, choćby go za to śmierć i męki czekały. I jakkolwiek książę Bogusław potężny był pan, którego nietylko zemsta prostego szlachcica, ale i królewska, niełatwo mogła osiągnąć, przecie, gdyby tę niepohamowaną duszę znał lepiej, nie byłby sypiał spokojnie i nieraz zadrżałby przed jego ślubami.

A przecie nie wiedział jeszcze pan Andrzej, że książę nietylko okrył go sromotą i nietylko sławę mu wydarł.

Tymczasem król, który odrazu polubił niezmiernie młodego junaka, przysłał po niego pana Ługowskiego tego samego dnia, a nazajutrz kazał mu ze sobą jechać do Opola, gdzie na walnem zebraniu senatorów miano obradować nad powrotem króla do kraju. Jakoż było nad czem obradować: oto pan marszałek koronny nadesłał znów drugi list, donoszący, że wszystko w kraju do powszechnej wojny gotowe i naglący pilnie do powrotu. Prócz tego rozeszła się wieść o jakimś związku szlachty i wojska, na obronę króla i ojczyzny, o którym istotnie oddawną w kraju myślano, ale który, jak się potem pokazało, zawarty został pod imieniem Konfederacyi Tyszowieckiej później nieco.

Na razie jednak wszystkie umysły były nadzwyczaj temi wieściami zajęte i zaraz po mszy solennej udano się na tajemną obradę, na którą i Kmicic, za przyczyną królewską, jako przywożący wieści z Częstochowy, dopuszczony został.

Poczęto więc roztrząsać, czy powrót zaraz ma nastąpić, czy go lepiej odłożyć aż do tej chwili, w której wojska nietylko chęcią, ale i czynem opuszczą Szweda.

Jan Kazimierz położył koniec tym rozprawom, rzekłszy:

— Nie o powrocie wasze dostojności radźcie, ani o tem, jeżeli nie lepiej zwłóczyć jeszcze, bo jam się już o tem z Bogiem i Najświętszą Panną naradzał... Zatem oświadczam waszym dostojnościom, że cobądź ma nas spotkać, w tych dniach nieodmiennie osobą naszą wyruszamy... Wasze dostojności zaś wysilajcie jeno koncepty i rad nie skąpcie, jak najbezpieczniej i najstuszniej powrót skutecznić.

Rozmaite więc były zdania. Jedni mówili, aby nie ufać zbytnio panu marszałkowi koronnemu, który raz już wahanie i nieposłuszeństwo okazał, gdy korony, zamiast cesarzowi do przechowania, według rozkazu królewskiego oddać, do Lubowli uwiózł. „Wielka (mówili) jest pycha i ambicya tego pana, a gdy jeszcze osobę królewską w swym zamku mieć będzie, kto wie, co pocznie, czego za swe usługi nie zażąda i czy całej władzy w ręce swe uchwycić nie zechce, aby nad wszystkimi górować i nietylko całego kraju, ale i majestatu być protektorem“.

Ci tedy radzili, aby król, poczekawszy na odstąpienie Szwedów, do Częstochowy się udał, jako do miejsca, z którego łaska i odrodzenie spłynęły na kraj. Lecz inni odmienne wygłaszali zdania.

„Jeszcze Szwedzi stoją pod Częstochową, a choć jej za łaską Bożą nie zdobędą, przecie dróg wolnych niema. Tamte okolice wszystkie w rękach szwedzkich. Stoi nieprzyjaciel w Krzepicach, w Wieluniu, w Krakowie, nad granicą także znaczne siły są rozłożone. A w górach, na węgierskiej rubieży, gdzie Lubowla jest położona, niemasz innych wojsk, prócz wojsk marszałka

i Szwedzi nigdy tam nie zapuszczali się dotąd, nie mając na to dość ludzi, ani odwagi. Z Lubowli bliżej przystem na Ruś, która od zajęcia nieprzyjacielskiego wolna, do Lwowa, który nie przestał być królowi wierny i do Tatarów, którzy wedle wiadomości w pomoc idąc, tam właśnie na rezolucją królewską czekają“.

— *Quod attinet* pana marszałka (mówił biskup krakowski) ambicya jego już tem nasycona będzie, iż pierwszy króla w swoim starostwie Spiskiem przyjmie i pierwszy opieką go otoczy. Władza przy królu pozostanie, a pana marszałka sama nadzieja tak wielkich przysług zadowolni; jeżeli zaś zechce wiernością nad wszystkimi górować, to czyli wierność jego z ambicyi, czy też z miłości ku panu i ojczyźnie wypłynie, zawsze majestat znaczne korzyści ztąd odniesie.

To zdanie zacnego i doświadczonego biskupa wydało się najśluszniejszem; uchwalono więc, że król przez góry do Lubowli, a ztamtąd do Lwowa lub gdzieby kazały okoliczności, wyruszy.

Obradowano także i nad dniem powrotu, ale wojewoda łączycki, który właśnie od cesarza był wrócił, do którego w poselstwie o pomoc był wysyłany, uczynił uwagę, że lepiej jest terminu ścisłego nie wyznaczać i samemu królowi decyzją zostawić, a to dla tego, aby wieść się nie rozeszła i nieprzyjaciele nie zostali przestrzeżeni. Stanęło tylko na tem, że król wyruszy w trzysta koni wybranej dragonii, pod wodzą pana Tyzenhauza, który choć młody, miał już reputacją wielkiego żołnierza.

Lecz niemal ważniejsza jeszcze była druga część obrad, na której z powszechną zgodą zawotowano, iż po przybyciu do kraju cała władza i kierunek wojny prze-

dzie w ręce króla, któremu szlachta, wojsko i hetmani we wszystkim posłuszni być mają. Mówiono też o przyszłości i przytaczano powody tych nagłych nieszczęść, które, jako potop, w tak krótkim czasie cały kraj zalały. I sam prymas nie inną tego podawał przyczynę, jak nierząd, brak posłuchu i zbytne sponiewieranie władzy i majestatu królewskiego.

Słuchano go w głębokiem milczeniu, bo każdy rozumiał, że tu o losy Rzeczypospolitej chodzi i o wielkie, niebywałe dotąd w niej zmiany, któreby mogły jej dawną potęgę przywrócić, a których zwłaszcza oddawna pragnęła mądra i miłująca przybraną ojczyznę królowa.

Płynęły więc z ust dostojnego księcia Kościoła słowa jak grzmoty, a w słuchaczach dusze otwierały się prawdzie, jako kwiaty otwierają się słońcu.

— Nie przeciw starodawnym wolnościom się oponuję, — mówił prymas — ale przeciw onej swawoli, która własnymi rękoma, własną ojczyznę zarzyna... Zaiste, zapomniano już w tym kraju różnicy między wolnością i swawolą i oto, jak zbytńia rozkosz boleścią, tak wyuzdana wolność niewolą się zakończyła. Do jakiegoż obłędu doszliście obywatele tej prześwietnej Rzeczypospolitej, iż ten tylko między wami za obrońcę wolności uchodzi, który hałas czyni, sejmy rwie i majestatowi się przeciwi, nie wtedy, gdy trzeba, ale wtedy, gdy temuż majestatowi o zbawienie ojczyzny chodzi? W skarbie naszym dno skrzyni widać, żołnierz niepłatny, u nieprzyjaciela lafy szuka; sejmy, jedyny fundament tej Rzeczypospolitej, na niczem się rozchodzą, bo jeden swawolnik, jeden zły obywatel, dla prywaty swej, rady pomieszać może. Jakażto wolność, która jednemu

przeciw wszystkim oponować pozwala?... Zali ta wolność dla jednego, nie jest niewolą dla wszystkich? I gdzieśmy to doszli w zażywaniu tej wolności, jakieżto ona smakowite fructa wydała?... A oto, jeden słaby nieprzyjaciel, nad którym przodkowie nasi tyle świetnych wiktoryj odnieśli, teraz *sicut fulgur exit ab occidente et poret usque ad orientem* Nikt mu się nie oparł, zdrajcy heretycy mu pomogli i wszystko posiadł, wiarę prześladuje, kościoły hańbi i gdy mu o wolnościach waszych prawicie, on miecz wam pokazuje!... Oto, na co wam wyszły wasze sejmiki, wasze wetowanie, wasza swawola, wasze konfundowanie na każdym kroku majestatu!... Króla, przyrodzonego obrońcę ojczyzny, najprzód uczyniliście bezsilnym, a potem zasię narzekaliście, iż was nie broni!... Nie chcieliście swojego rządu, a teraz nieprzyjaciel wami rządzi... I kto, pytam, może z tego upadku nas ratować, kto dawny blask tej Rzeczypospolitej przywrócić, jeśli nie ten, który tyle zdrowia i wczasu już poświęcił, gdy ten kraj nieszczęsna domowa z Kozaki szarpała wojna; który na takowe niebezpieczeństwa poświęconą swą osobę podawał, jakich żaden monarcha w naszych czasach nie doznał; który pod Zborowem, pod Beresteczkiem i pod Żwańcem, jak prosty żołnierz walczył, nad stan swój królewski trudy i niewygody ponosząc... Jemuto teraz się powierzmy, jemu, Rzymian starożytnych przykładem, dyktaturę w ręce oddajmy, sami zaś radźmy, jak w przyszłości ojczyznę tę od wewnętrznego nieprzyjaciela, od rozpusty, swawoli, nieładu i bezkarności ratować, a powagę rządu i majestatu należyłą przywrócić!...

Tak przemawiał prymas, a nieszczęście i ostatnich czasów doświadczenie do tego stopnia przerodziły słu-

chaczów, że nikt nie protestował, wszyscy bowiem widzieli jasno, że albo władza królewska musi być wzmożona, albo Rzeczpospolita zginie niechybnie. Rozpoczęły się więc różne deliberacye, jak najlepiej rady księdza prymasa do skutku przywieść, a królestwo słuchali ich chciwie i z radością, głównie królowa, która oddawna i usilnie nad wprowadzeniem ładu do Rzeczypospolitej pracowała.

Wracał więc król do Głogowej wesół i zadowolony, tam zaś, zwoławszy do swej komnaty kilku zaufanych oficerów, a między nimi i Kmicica, rzekł im:

— Pilno mi już i pali mnie pobyt w tej ziemi, chciałbym choć jutro wyruszyć, przeto wezwałem waszmościów, ażebyście, jako ludzie wojskowi i doświadczeni, prędkie sposoby obmyślili. Szkoda nam czasu tracić, skoro nasza obecność znacznie wojnę powszechną przyspieszyć może.

— Pewnie, — rzekł pan Ługowski — jeśli taka waszej kr. mości wola, to i poco zwłóczyć? Im prędzej, tem lepiej!

— Póki się rzecz nie rozgłosi i nieprzyjaciel baczności nie podwoi — dodał pułkownik Wolf.

— Nieprzyjaciel już się ma na baczności i szlaki poobsadzał, ile mógł — rzekł Kmicic.

— Jakto? — spytał król.

— Miłościwy panie, zamierzony powrót waszej królewskiej mości dla Szwedów nie nowina! Ledwie nie codzień rozchodzi się wieść po całej Rzeczypospolitej, żeś wasza królewska mość już w drodze, albo już *inter regna*. Dlatego trzeba największą ostrożność zachować i cichaczem wąwozami się przemknąć, bo na drogach czyhają Duglasowe podjazdy.

— Najlepsza ostrożność, — rzekł, patrząc na Kmicica pan Tyzenhauz — to trzysta wiernych szabel, a skoro mnie pan miłościwy komendę nad nimi powierza, to go przeprowadzę w zdrowiu, choćby po brzuchach Duglasowych podjazdów.

— Przeprowadzisz waszmość pan, jeśli również trzysta, a dajmy na to sześćset, albo i tysiąc ludzi napotkasz, ale jak trafisz na większą siłę w zasadzce czyhającą, to co się stanie?

— Powiedziałem: trzysta, — odparł Tyzenhauz — bo się o trzystu mówiło. Jeśli to jednak mało, to się o pięćset i więcej można postarać.

— Niechże Bóg broni! Im większa kupa, tem o niej głośniej! — rzekł Kmicic.

— Ba! Myślę przecie, że pan marszałek koronny wyskoczy nam ze swemi chorągwiami na spotkanie? — wtrącił król.

— Pan marszałek nie wyskoczy, — odpowiedział Kmicic — bo dnia i godziny nie będzie wiedział, a choćby wiedział, to mogą w drodze zwłoki zajść, jako zwyczajnie, trudno wszystko przewidzieć...

— Żołnierz to mówi, żołnierz prawdziwy! — rzekł król. — Widać waszmości wojna nie obca.

Kmicic uśmiechnął się, bo wspomniał o swoich przeciw Chowańskiemu podchodach. Któż lepiej od niego znał się na takich sprawach! Komu słuszniej możnaby przeprowadzenie króla powierzyć?

Ale pan Tyzenhauz widocznie innego od królewskiego był zdania, bo zmarszczył brwi i rzekł z przekąsem do Kmicica:

— Czekamy tedy doświadczonej rady waścinej?

Kmicic poczuł niechęć w pytaniu, więc utkwiał zrenice w Tyzenhauzie i odrzekł:

— Moje zdanie jest, że im mniejsza kupa będzie, tem łatwiej się przemknie.

— Więc jak ma być?

— Miłościwy panie! — rzekł Kmicic. — Wolna waszej kr. mości wola uczynić, jak zechce, ale mnie rozum tak uczy: niech pan Tyzenhauz najprzód z dragonią ruszy, głosząc umyślnie, że króla prowadzi, aby na siebie ściągnąć nieprzyjaciół. Jego rzecz tak się wywijać, aby z matni wyjść cało. A my w niewielkiej kupie z osobą waszej kr. mości w dzień, albo we dwa za nim ruszymy i gdy bacność nieprzyjaciela w inną zwróci się stronę, łatwo nam będzie przedostać się aż do Lubowli.

Król począł klaskać w ręce w uniesieniu.

— Bóg nam zesłał tego żołnierzyka! — wołał. — Salomon mądrzejby nie poradził! Całkiem votum za tem zdaniem daję i nie ma inaczej być! Będą króla między dragonami łapać, a król im pod nosem przejedzie. Dla Boga, nie może być nic lepszego!

— Mości królu! to krotchwila!... — zawołał Tyzenhauz.

— Żołnierska krotchwila! — odrzekł król. — Wreszcie niech będzie, co chce, od tego nie odstępę!

Kmicicowi oczy jarzyły się od radości, że jego zdanie przemogło, lecz Tyzenhauz porwał się z siedzenia.

— Miłościwy panie! — rzekł — zrzekam się komendy nad dragonami. Niech ich kto inny prowadzi!

— A to czemu? — spytał król.

— Bo jeśli bez obrony, miłościwy panie, pój-

dziesz, wydany na igrzysko fortuny, na wszystkie zgubne terminy, jakie się przygodzić mogą, to i ja chcę przy twojej osobie być, piersi za ciebie nadstawić i polec w potrzebie.

— Dziękuję za szczerą intencją, — odrzekł Jan Kazimierz — ale uspokój się, bo właśnie w taki sposób, jaki radzi Babinicz, najmniej narażeni będziemy.

— Co radzi pan... Babinicz, czy jak się tam nazywa, niech bierze na własną odpowiedzialność! Może mu zależy co na tem, byś wasza kr. mość bez obrony w górach się zabłąkał... Ja Boga i tu obecnych towarzyszków na świadki biorę, żem z duszy odradzał!

Zaledwie skończył mówić, gdy i Kmicic porwał się i stanąwszy panu Tyzenhauzowi twarzą w twarz, zapytał:

— Co waćpan rozumiesz przez te słowa?

Lecz Tyzenhauz zmierzył go dumnie oczyma od stóp do głowy.

— Nie sięgaj do mnie głową, mopanku, bo nie dosięgniesz!

A na to Kmicic już z błyskawicami w oczach:

— Nie wiadomo, komu to byłoby za wysoko, gdyby...

— Gdyby co? — spytał, patrząc na niego bystro Tyzenhauz.

— Sięgałem do wyższych, niż waszmość!

Tyzenhauz rozśmiał się.

— A gdzieś ich waszmość szukał?

— Zamilknijcie — rzekł nagle król, zmarszczywszy brwi. — Nie rozpoczynać mi tutaj swarów!...

Jan Kazimierz czynił wrażenie takiej powagi na wszystkich otaczających, że obaj młodzi umilkli i zmie-

szali się, wspomniawszy, że to w obecności królewskiej wymknęły im się słowa tak nieskładne.

Król zaś rzekł:

— Nad tego kawalera, który kolubrynę wysadził i ze szwedzkich rąk się wydostał, nikt nie ma prawa się wynosić, choćby ojciec jego w zaścianku mieszkał, co, jak widzę, nie jest, bo ptaka z pierza, a krew z uczynków poznać łatwo. Zaniechajcie do siebie urazy. (Tu król zwrócił się do Tyzenhauza). Ty chcesz, to przy osobie naszej zostań. Tego nam ci odmówić się nie godzi. Dragonów Wolf albo Denhoff poprowadzi. Ale i Babinicz zostanie i za jego radą pójdziemy, bo nam do serca przypadła.

— Umywam ręce! — rzekł Tyzenhauz.

— Zachowajcie tylko waszmościowie tajemnicę. Dragoni niech dziś wyjdą do Raciborza... i wraz puścić jak najszerzej wieść, że i my znajdujemy się między nimi... A na potem czuwajcie, bo nie wiecie dnia ani godziny... Tyzenhauz! idź, wydaj rozkaz kapitanowi dragonii.

Tyzenhauz wyszedł, ręce łamiąc z gniewu i żalu, za nim rozeszli się inni oficerowie.

Tego samego dnia gruchnęła wieść po całej Głogowej, że majestat króla Jana Kazimierza wyruszył już do granic Rzeczypospolitej. Wielu nawet znacznych senatorów myślało, że wyjazd istotnie miał miejsce. Gońcy, umyślnie rozesłani, powieźli nowinę do Opoli i ku szlakom granicznym.

Tyzenhauz, chociaż oświadczył, że umywa ręce, nie dał jednak za wygraną; że zaś, jako rękodajny królewski, miał przystęp w każdej chwili do osoby monarchy ułatwiony, tego samego więc dnia, już po wyrusze-

niu dragonów, stanął przed obliczem Jana Kazimierza, a raczej obojga królestwa, bo i Marya Ludwika była obecna.

— Przeszedłem po rozkazy, — rzekł — kiedy wyruszamy?

— Pojutrze do dnia — rzekł król.

— Siła ludzi ma jechać?

— Pojedziesz ty, Babinicz, Ługowski, z żołnierzy. Pan kasztelan sandomierski rusza także ze mną; prosiłem go, by jak najmniej ludzi brał z sobą, ale bez kilkunastu się nie obejdzie; pewne to i doświadczone szable. Nadto jego świątobliwość nuncyusz chce także mi towarzyszyć, którego obecność doda powagi sprawie i wszystkich wiernych prawdziwemu Kościołowi poruszy. Nie waha się przeto swej poświęcanej osoby na hazard wyprawić. Ty pilnuj, aby nie było nad czterdzieści koni, bo tak Babinicz radził.

— Miłościwy panie! — rzekł Tyzenhauz.

— A czego jeszcze chcesz?

— Na kolanach o jedną łaskę błagam. Stało się już... dragoni wyszli... pojedziem bez obrony... i pierwszy podjazd z kilkudziesięciu koni może nas ogarnąć. Niechże wasza kr. mość przychyli się do błagania sługi swego, na którego wierność Bóg patrzy i niech nie ufa ze wszystkim temu szlachcicowi. Obrotny to człek, skoro się potrafił w tak krótkim czasie wkraść do serca i łaski w. kr. mości, ale...

— Zali już mu zazdrościsz? — przerwał król.

— Nie zazdroszczę mu, miłościwy panie, nie chcę nawet o zdradę go stanowczo posądzać, ale przysięgłbym, że nie nazywa się Babinicz... Czemu tedy prawdziwe nazwisko ukrywa? Czemu jakoś mu niesporo

mówić, co robił przed oblężeniem Częstochowy? Czemu zwłaszcza tak napierał na to, by dragoni najprzód wyszli i by wasza kr. mość bez eskorty jechała?

Król zamyślił się nieco i począł swoim zwyczajem usta raz po raz nadymać.

— Gdyby chodziło o jakąś znowę ze Szwedami, — rzekł wreszcie — co znaczy trzysta dragonów! Jakażto siła i jaka zastona?... Potrzebowałyby tylko ów Babinicz dać znać Szwedom, by z kilkaset piechoty po drogach zasadzili, to i tak ujęliby nas jako w sieci. Ale się jeno zastanów, czy tu o zdradzie może być mowa? Musiałby najprzód wiedzieć termin i mieć czas do ostrzeżenia Szwedów w Krakowie, a jakże to być może, skoro pojutrze ruszamy? Nie mógł i tego odgadnąć, że pójdziem za jego racyami, bo mogliśmy tak samo pójść za twemi, albo innych... Zpoczątku było przecie postanowione, że razem z dragonami ruszymy, więc gdyby chciał się ze Szwedami umawiać, to właśnie takie osobne ruszenie pomieszałoby mu szyki, gdyż musiałby znowu gońców wysyłać i ostrzegać. Wszystko to są niezbite racye. A przytem nie upierał się on wcale przy swoim zdaniu, jak mówisz, jeno tak gadał, jako i inni, co mu się najlepiej wydało. Nie, nie! Szczerosc patrzy z oczu tego szlachcica, a spalony bok świadczy, że gotów i na mękę nie uważać.

— Jego królewska mość ma słusznosc, — rzekła nagle królowa — to są niezbite racye, a rada była i jest dobra.

Tyzenhauz wiedział z doświadczenia, że gdy królowa zdanie swe wyrzeczy, to próżnoby od niego do

króla apelować, tak ufał Jan Kazimierz jej bystrości i rozumowi. Chodziło też teraz młodemu panu o to tylko, by król potrzebne ostrożności zachował.

— Nie moja rzecz — odpowiedział — miłościwemu państwu negocjować. Jeśli jednak mamy pojutrze wyruszyć, niechże ów Babinicz nie wie o tem, aż w godzinie wyjazdu.

— To może być! — odparł król.

— A w drodze już ja sam będę go miał na oku i, broń Boże przygody, nie ujdzie żyw z moich rąk!

— Nie będzie potrzeby — rzekła królowa. — Słuchaj waszmość: króla od złej przygody w drodze i od zdrad i od sidłał nieprzyjacielskich nie waszmość będziesz strzegł, nie Babinicz, ani dragoni, ani moce ziemskie, ale Opatrzność Boża, której oko ustawicznie na pasterzów narodów i pomazańców Bożych jest zwrócone. Onato go będzie pilnować, Ona go uchroni i szczęśliwie doprowadzi, a w razie potrzeby zesle mu taką pomoc, jakiej się nawet nie domyślacie, wy, którzy w ziemską tylko moc wierzycie.

— Najjaśniejsza Pani! — odrzekł Tyzenhauz — wierzę i ja, że bez woli Bożej nikomu włos z głowy nie spadnie, a że przez troskliwość o królewską osobę zdrajców się boję, to nie grzech.

Maryja Ludwika uśmiechnęła się łaskawie.

— Ale zbyt śpiesznie posądzasz i hańbę na cały naród przez to rzucasz, w którym, jako ten sam Babinicz mówił, nie znalazł się jeszcze taki, coby przeciw własnemu królowi dłoń podniósł... Niechże ci to nie będzie dziwno, że po takim opuszczeniu, po takim złamaniu przysięgi i wiary, jakiej obojeśmy z miłościwym królem doświadczyli, ja przecie mówię,

że na tak straszny występki niktby się nie odważył, nawet z tych, którzy dziś jeszcze Szwedom służą.

— A list księcia Bogusława, miłościwa pani?

— List nieprawdę mówi! — rzekła stanowczo królowa. — Jeśli jest jaki człowiek w Rzeczypospolitej gotowy zdradzić nawet króla, to może właśnie jeden książę koniuszy, bo on jeno z nazwiska do tego narodu należy.

— Krótko mówiąc, nie posądzaj Babinicza, — rzekł król — gdyż i co do jego nazwiska musiało ci się w głowie podwoić. Moznaby go zresztą wybadać, ale jak mu tu i powiedzieć?... Jak go spytać: „jeśli nie zwiesz się Babinicz, to jak się zwiesz?“ Srodze może uczciwego człeka zabołec takie pytanie, a głowę stawię, że on uczciwy.

— Za taką cenę nie chciałbym się, miłościwy panie, o jego uczciwości przekonywać.

— Dobrze, już dobrze! Wdzięczni ci jesteśmy za troskliwość. Jutrzejszy dzień na modlitwę i pokutę, a pojutrze w drogę! w drogę!

Tyzenhauz cofnął się z westchnieniem i tegoż jeszcze dnia rozpoczął w największej tajemnicy przygotowania do odjazdu. Nawet dygnitarze, którzy mieli towarzyszyć królowi, nie wszyscy byli ostrzeżeni o terminie. Służbie powiedziano tylko, żeby konie miała gotowe, bo lada dzień wyruszą z panami do Raciborza.

Król cały następny dzień nie pokazywał się nigdzie, nawet i w kościele, ale za to u siebie w mieszkaniu do nocy krzyżem przeleżał, poszcząc i Króla królów błagając o wspomnienie, nie dla siebie, ale dla Rzeczypospolitej.

Marya Ludwika wraz z pannami trwała także na modlitwie.

Następnie noc pokrzepiła siły strudzonych i gdy w ciemnościach jeszcze dzwon głogowskiego kościoła ozwał się na jutrznię, wybiła godzina rozstania.

ROZDZIAŁ IV.

Przez Raciborz przejechano, koniom tylko popasłszy. Nikt króla nie poznał, nikt na orszak nie zwrócił zbytnej uwagi, bo wszyscy byli zajęci niedawnem przejściem dragonów, między którymi, wedle powszechnego mniemania, monarcha polski miał się znajdować. Orszak ten jednak wynosił około pięćdziesięciu koni, gdyż królowi towarzyszyło kilku dygnitarzy, pięciu samych biskupów, a pomiędzy innymi i nuncyusz odważył się dzielić z nim trudy niebezpiecznej wyprawy. Droga jednak w granicach cesarstwa nie przedstawiała żadnego niebezpieczeństwa. W Oderbergu, niedaleko ujścia Olszy do Odry, wjechano w granice Morawy.

Dzień był chmurny i śnieg walił tak gęsto, że na kilkanaście kroków nie było można dojrzeć drogi przed sobą. Ale król był wesół i pełen dobrej myśli, bo zdarzył się znak, który wszyscy za najpomysłniejszą poczytywali wróżbę, a którego współcześni historycy nie omieszkali nawet w kronikach zapisać. Oto przy samem wyruszeniu króla z Głogowy, pojawiła się przed koniem biała całkiem płaszyna i poczęła krążyć, wzbijając się chwilami w górę, chwilami zniżać nad samą głową monarszą, kwiląc przytem i świegocąc radośnie.

Wspominano, że podobny ptak, ale czarny, kręcił się nad królem, gdy w swoim czasie z Warszawy przed Szwedami ustępował.

Owa zaś biała, całkiem wielkością i kształtem była do jaskółki podobna, co obudziło tem większy podziw, że zima była głęboka i jaskółki nie myślały jeszcze o powrocie. Uradowali się jednak wszyscy, król zaś przez pierwsze dni o niczem innem nie mówił i najpomyślniejszą sobie przyszłość obiecywał. Również zaraz z początku drogi okazało się, jak dobrą była rada Kmicica, aby jechać osobno.

Wszędzie na Morawie opowiadano o niedawnym przejeździe króla polskiego. Niektórzy twierdzili, że widzieli go na własne oczy, całego w zbroi, z mieczem w rękę i koroną na głowie. Różne też już chodziły wieści o sile, jaką ze sobą prowadził i wogóle przesadzano do bajecznych rozmiarów liczbę dragnów. Byli i tacy, którzy widzieli z dziesięć tysięcy, iż się końca szeregów, koni, ludzi, chorągwi i znaków doczekać nie mogli.

— Pewnie — mówiono — Szwedzi zaskoczą im drogę, ale czy poradzą takowej potędze, nie wiadomo.

— A co? — pytał Tyzenhauza król — nie miał Babinicz racji?

— Jeszcześmy nie stanęli w Lubowli, miłościwy panie — odpowiadał młody magnat.

Babinicz zaś kontent był z siebie i z podróży. Wraz z trzema Kiemliczami trzymał się zwykle naprzód przed orszakiem królewskim, rozpatrując drogę; czasem jechał ze wszystkimi, zabawiając króla opowiadaniem pojedynczych wypadków z oblężenia Częstochowy, których Janowi Kazimierzowi nigdy nie było dosyć.

I z każdą niemal godziną przypadał lepiej królowi do serca ów junak, wesół, dziarski, do młodego orła podobny. Czas schodził monarsze to na modlitwie, to na pobożnych rozmyślaniach o życiu wiekuistem, to na rozmowach o wojnie przyszłej i pomocy, spodziewanej od cesarza, to wreszcie na przypatrywaniu się zabawom rycerskim, któremi towarzyszący żołnierze starali się czas podróży skrócić. Miał to bowiem w swe naturze Jan Kazimierz, że umysł jego łatwo przechodził od powagi do pustoty niemal i od ciężkiej pracy do rozrywek, którym, gdy przyszła na niego taka chwila, oddawał się duszą całą, jakby żadna troska, żadne zmartwienie nie obciążało go nigdy.

Popisywali się tedy żołnierze, czem który umiał; młodzi Kiemlicze, Kosma i Damian, bawili króla swemi ogromnemi i niezgrabnemi postawami i łamaniem podków, jako trzcin, on zaś kazał im za każdą po talarze dawać, chociaż w sakwach dość było pusto, bo wszystkie pieniądze, nawet klejnoty i „parafanały“ królowej poszły na wojsko.

Pan Andrzej popisywał się rzucaniem ciężkiego obuszka, który tak silnie w górę puszczał, że prawie go widać nie było, a on nadlatywał koniem i chwycił go w lot za rękojeść. Król na ów widok aż w ręce klaskał.

— Widziałem — mówił — jako to pan Słuszka, brat pani podkanclerzyny, czynił, ale i on nie miotał przez pół tak wysoko.

— U nas to we zwyczaju na Litwie, — odpowiadał pan Andrzej — a gdy się człek z dzieciństwa uprawia, to i do biegiłości dojdzie.

— Zkądżeto masz tę kresę przez gębę! — spytał

pewnego razu król, pokazując na bliźnę Kmicica. — Dobrze cię ktoś szablą przejechał.

— To nie od szabli, miłościwy panie, jeno od kuli. Strzelono do mnie, lufę mi do gęby przyłożywszy.

— Nieprzyjaciel czyli swój?

— Swój, ale nieprzyjaciel, którego do porachunku jeszcze wezwę i póki się to nie stanie, mówić mi się o tem nie godzi.

— Takieżto zawzięty?

— Nie mam ja żadnej zawziętości, miłościwy panie, bo oto na łbie głębszą jeszcze szczerbę od szabli noszę, którą szczerbą mało dusza ze mnie nie uszła, ale że mi ją zacny człowiek uczynił, przeto urazy do niego nie żywię.

To rzekłszy Kmicic, zdjął czapkę i ukazał królowi głęboką brózdę, której białawe brzegi widne były doskonale.

— Nie wstyd mi tej rany, — rzekł — bo mi ją zadał taki mistrz, jak niemasz drugiego w Rzeczypospolitej.

— Którenżeto jest taki mistrz?

— Pan Wołodyjowski.

— Dla Boga! Toż ja go znam. Cudów on pod Zbarażem dokazywał. A potem byłem na weselu towarzysza jego Skrzetuskiego, który mi pierwszy z oblężonego Zbaraża wieści przywiózł. Wielcyto kawalerowie! A był z nimi i trzeci; tego całe wojsko sławiło, jako największego rycerza. Gruby szlachcic, a tak krotchwilny, żeśmy na weselu mało boków od śmiechu nie pozrywali.

— To pan Zagłoba, zgaduję! — rzekł Kmicic. — człek to nietylko mężny, ale dziwnych fortelów pełen.

— Cóż oni teraz czynią, nie wiesz?

— Wołodyjowski u księcia wojewody wileńskiego dragonami dowodził.

Król zasępił się.

— I razem z księciem wojewodą Szwedom teraz służy?

— On? Szwedom? On jest przy panu Sapieże. Sam widziałem, jak po zdradzie księcia wojewody buławę mu pod nogi cisnął.

— O, to godny żołnierz! — odrzekł król. — Od pana Sapiehy mieliśmy wiadomości z Tykocina, w którym księcia wojewodę obległ. Niech mu Bóg szczęści! Gdyby wszyscy byli do niego podobni, jużby ów nieprzyjaciel szwedzki pożałował swojej imprezy.

Tu Tyzenhauz, który słyszał całą rozmowę, spytał nagle:

— Toś waśc był w Kiejdanach u Radziwiłła?

Kmicic zmieszał się nieco i zaczął podrzucać swój obuszek.

— Byłem — odrzekł.

— Daj pokój obuszkowi — mówił dalej pan Tyzenhauz. — A cóżeś to porabiał na książęcym dworze?

— Gościem byłem — odrzekł niecierpliwie Kmicic — i książęcy chleb jadłem, póki mi nie obrzydł po zdradzie.

— A czemuś to z innymi zacnymi żołnierzami do pana Sapiehy nie poszedł?

— Bom sobie ślub do Częstochowy uczynił, co tem łatwiej waszmość zrozumiesz, gdy ci powiem, że nasza Ostra Brama była przez septentrionów zajęta.

Pan Tyzenhauz począł głową kręcić i cmokać,

aż to zwróciło uwagę króla, tak, że i sam począł patrzeć badawczej na Kmicica.

Ten zaś zniecierpliwiony zwrócił się do Tyzenhauza i rzekł:

— Mój mości panie! Czemuto ja się waćpana nie wypytyję, gdzieś przebywał i coś robił?

— Wypytyj waść — odrzekł Tyzenhauz. — Ja nie mam nic do ukrywania.

— Ja też nie stoję przed sądem, a jeśli stanę kiedy, to nie waść będziesz moim sędzią. Zaniechaj mnie tedy, abym zaś cierpliwości nie stracił.

To rzekłszy, wyrzucił obuch tak szparko, że aż zmalął na wysokości, król oczy za nim podniósł i w tej chwili nie myślał już o niczem innym, jak tylko o tem, czy Babinicz uchwyci go w lot, czy nie uchwyci...

Babinicz spiął konia, skoczył i uchwycił.

Lecz tego samego wieczora Tyzenhauz rzekł do króla:

— Miłościwy panie, coraz mniej mi się ten szlachcic podoba!...

— A mnie coraz więcej! — rzekł, wydymając usta król.

— Słyszałem dziś, jak jeden z jego ludzi nazwał go pułkownikiem, a on tylko spojrział groźnie i zaraz tamtego skonfundował. W tem coś jest!

— I mnie się czasem widzi, — rzekł król — że on nie chce wszystkiego gadać, ale to jego sprawa.

— Nie, miłościwy panie, — zawołał gwałtownie Tyzenhauz — to nie jego sprawa, to sprawa nasza i całej Rzeczypospolitej... Bo jeślito jaki przedawczyk, który zgubę waszej kr. mości, albo niewolę gotuje, to zginą razem z w. kr. mością wszyscy ci, którzy w tej

chwili oręż podnoszą, zginie cała Rzeczpospolita, którą ty jeden, miłościwy panie, ratować możesz.

— To go jutro sam wypytam.

— Bogdajbym był fałszywym prorokiem, ale jemu nic dobrego z oczu nie patrzy. Nadto on szparki, nadto śmiały, zbyt wielki rezolut, a tacy ludzie na wszystko się ważą.

Król zafrasował się.

Nazajutrz skoro dzień, gdy ruszono w drogę, kiwnął na Kmicica, by zbliżył się ku niemu.

— Gdzieś ty był pułkownikiem? — spytał król nagle.

Nastąpiła chwila milczenia.

Kmicic walczył sam ze sobą; paliła go chęć zeskoczyć z konia, upaść do nóg królewskich i raz zrzucić z siebie ten ciężar, który dźwigał, raz powiedzieć całą prawdę.

Lecz ze zgrozą pomyślał znowu, jak straszne wrażenie musi uczynić to nazwisko: Kmicic, zwłaszcza po liście księcia Bogusława Radziwiłła.

Jakże on, niegdyś prawa ręka księcia wojewody wileńskiego, on, który przewagę jego utrzymał, do rozbicia nieposłusznych chorągwi dopomógł, w zdradzie sekundował; jakże on, posądzony i oskarżony o najstraszniejszą zbrodnię zamachu na wolność królewską, zdoła teraz przekonać króla, biskupów i senatorów, że się poprawił, że się przerodził i krwią za swe winy odpokutował?... Czem zdoła swych szczerych intencji dowieść, jakie dowody, prócz gołych słów może złożyć?...

Dawne winy ścigały go ciągle i nieubłaganie jako psy zażarte ścigają zwierza w kniei.

Więc postanowił zamilczeć.

Ale uczuł jednocześnie niewypowiedziany wstręt i okrzydzenie do wykrętów. Zali miałyby temu panu, tak ze wszystkich sił duszy kochanemu, rzucać piasek w oczy i wymyślonymi historyjami go zwodzić?

Czuł, że do tego zbraknie mu sił.

Więc po chwili tak mówić począł:

— Miłościwy królu! Przyjdzie czas, może niezadługo, że będę mógł waszej kr. mości całą duszę jako księdzu na spowiedzi otworzyć... Ale chcę, żeby pierwiej za mnie, za moję szczerą intencją, za wierność i za miłość do majestatu uczynki jakowe, nie gołe słowa zaręczyły. Grzeszyłem, miłościwy panie, grzeszyłem przeciw tobie i ojczyźnie, a za mało mam jeszcze pokuty, więc takiej służby szukam, w którejby poprawę łatwo znaleźć... Kto wreszcie nie grzeszył? Kto nie potrzebuje bić się w piersi w całej tej Rzeczypospolitej? Być to może, żem ciężej zawinił od innych, alem się też i pierwiej obejrzał... Nie pytaj, miłościwy panie, o nic, póki cię terazniejsza służba o mnie nie przekona; nie pytaj, bo nie mogę nic powiedzieć, aby sobie drogi zbawienia nie zamknąć, bo Bóg mi świadek i Najświętsza Panna Królowa nasza, żem tego nie zmyślił, iż ostatnią kroplę krwi gotowym za ciebie oddać...:

Tu oczy pana Andrzeja zwilgotniały, a taka szczerłość i żal rozświeciły mu twarz, że oblicze silniej jeszcze od słów go broniło.

— Bóg patrzy na intencje moje — mówił dalej — i na sądzie mi je policzy.... Ale jeśli mi, miłościwy panie, nie ufasz, to mnie wypędź, to oddal mnie od osoby swojej. Pojadę za śladem twoim, opodal, aby w jakiej ciężkiej chwili przybyć, choć i bez zawołania i głowę położyć za ciebie. A wówczas, miłościwy panie

uwierzysz, żem nie zdrajca, ale jeden z takich sług, jakich nie masz, miłościwy, panie wielu, nawet między tymi, którzy na innych podejrzenia rzucają.

— Ja ci i dziś wierzę — rzekł król. — Zostań postaremu przy osobie naszej, bo nie zdrada tak przemawia.

— Dziękuję waszej królewskiej mości! — rzekł Kmicic.

I powstrzymawszy nieco konia, wycofał się między ostatnie szeregi orszaku.

Lecz Tyzenhauz nie ograniczył się na udzieleniu swych podejrzeń samemu tylko królowi, skutkiem czego wszyscy poczęli zezem na Kmicica spoglądać. Głośniejsze rozmowy ustawały, gdy się zbliżył, a poczynały się szepty. Śledzono każdy jego ruch, rozważano każde słowo. Spostrzegł to pan Andrzej i uczyniło mu się źle między tymi ludźmi.

Nawet król, chociaż nie odebrał mu zaufania, nie miał już dla niego tak wesołego, jak dawniej oblicza. Więc młody junak stracił fantazyą, sposepniał, żal i gorycz opanowały mu serce. Dawniej na przedzie, między pierwszymi, zwykł był toczyć koniem, teraz włókł się o kilkaset kroków za kawalkatą, z głową spuszczoną i ponuremi myślami w głowie.

Aż wreszcie zabielały przed jezdcami Karpaty. Śniegi leżały na ich skłonach, chmury rozkładały swe ociężałe cielska na szczytach, a gdy wieczór zdarzył się pogodny, wówczas przy zachodzie przywdziewały owe góry szaty płomienne i blaski szły od nich okrutne, póki nie zagasty w mrokach cały świat obejmujących. Patrzył więc Kmicic na owe cuda natury, któ-

rych dotąd nigdy jeszcze w życiu nie widział i choć wiele stroskany, o troskach z podziwu zapominał.

Z każdym dniem olbrzymy owe stawały się większe, potężniejsze. Aż wreszcie dojechał do nich orszak królewski i zapuścił się w wąwozy, które nagle jakoby bramy otworzyły się przed nim.

— Granica musi być już niedaleko — rzekł ze wzruszeniem król.

Wtem dostrzeżono wózek, zaprzęzony w jednego konia, a w wózku człeka. Królewscy ludzie zatrzymali go zaraz.

— Człeku, — spytał Tyzenhauz — a czy my to już w Polsce?

— Tam on za tą skałą i za rzeczką cesarska granica, a wy już na królewskiej ziemi stoicie.

— Którędy zaś do Żywca?

— Prosto tędy do drogi się dostaniecie.

I góral zaciął szkapinę, Tyzenhauz zaś skoczył do stojącego opodal orszaku:

— Miłościwy panie, — zakrzyknął z uniesieniem — stanąłeś już *inter regna*, bo oto twoje od onej rzeczutki królestwo!

Król nie odrzekł nic, skinął tylko, by mu konia potrzymano, sam zaś zsiadł i rzucił się na kolana, podniósłszy oczy i ręce w górę.

Na ten widok zsiadli wszyscy i poszli za jego przykładem; ów król zaś, tułacz, padł po chwili krzyżem w śnieg i począł całować tę ziemię tak ukochaną, a tak niewdzięczną, która w chwili klęski, schronienia jego królewskiej głowie odmówiła.

Nastała cisza i tylko westchnienia ją mąciły.

Wieczór był mroźny, pogodny, góry i szczyty po-

bliskich jodeł płonęły purpurą, a dalsze w ciemne już poczęły się ubierać fiolety, lecz droga, na której leżał król, mieniła się niby czerwona i złota wstęga; blaski te padały na króla, biskupów i dygnitarzy.

Wtem ze szczytów wstał wiatr i niosąc na skrzydłach skry śnieżne, zleciał do doliny. Więc jodły pobliskie poczęły pochylać pokryte okiścią czuby i kłaniać się panu i szumieć gwarno a radośnie, jakby śpiewały onę dawną pieśń:

— Witajże nam, witaj, miły gospodynie!...

Mrok już nasycił powietrze, gdy orszak królewski ruszył dalej. Za wężozem roztoczyła się szersza dolina, której drugi koniec gubił się w oddaleniu. Blaski gasły naokoło, tylko w jednym miejscu niebo świeciło się jeszcze czerwono.

Król począł odmawiać: *Ave Maria*, za nim inni w skupieniu ducha powtarzali pobożne słowa.

Ziemia rodzima, dawno niewidziana, góry pokrywające się nocą, gasnące zorze, modlitwy, wszystko to nastroiło uroczyście serca i umysły, więc po ukończonych modlitwach jechali w milczeniu, król, dygnitarze i rycerze.

Następnie noc zapadła, jeno we wschodniej stronie niebo świeciło się coraz czerwieniej.

— Pojedziem ku tym zorzom, — rzekł wreszcie król — dziw, że jeszcze świecą.

Wtem przycwałował Kmicic.

— Miłościwy panie! to pożar! — zakrzyknął.

Zatrzymali się wszyscy.

— Jakżeto? — pytał król — mnie się widzi, że to zorze!...

— Pożar, pożar! Ja się nie myślę! — wołał pan Kmicic.

I istotnie ze wszystkich towarzyszków królewskich, on znał się na tem najlepiej.

Wreszcie nie było można dłużej wątpić, gdyż ponad ową mniemaną zorzą podniosły się jakby chmury czerwone i kłębiły się, jaśniejąc i ciemniejąc naprzemian.

— To chyba Żywiec się pali! — zawołał król. — Nieprzyjaciel może tam grasować!

Nie skończył jeszcze, gdy do uszu patrzących doleciał gwar ludzki, parskanie koni i kilkanaście ciemnych postaci zamajaczało przed orszakiem.

— Stój! stój! — począł wołać Tyzenhauz.

Postacie owe zatrzymały się, jakby niepewne, co dalej mają czynić.

— Ludzie! kto wy? — pytano dalej z orszaku.

— To swoi! — ozwało się kilka głosów. — Swoi! My z Żywca gardła unosim; Szwedzi Żywiec palą i ludzi mordują!

— Stójcie! na Boga!... co gadacie?... Zkąd oni się tam wzięli?

— Oni, panoczku, na naszego króla czatowali. Siła ich, siła! Niechże go Matka Boska ma w swej opiece!...

Tyzenhauz stracił na chwilę głowę.

— Ot, co jechać w małej kupie! — krzyknął na Kmicica — bogdaj cię za takową radę zabito!

Lecz Jan Kazimierz począł sam wypytywać uciekających:

— A gdzie król? — spytał.

— Król poszedł w góry z wielkiem wojskiem

i dwa dni temu przez Żywiec przejeżdżał, ale oni go naścigli i tam się gdzieś wedle Suchej bili... Nie wiemy, czy go dostali, czy nie, ale dziś pod wieczór do Żywca wrócili i pałą, mordują...

— Jedźcie z Bogiem ludzie! — rzekł Jan Kazimierz.

Uciekający przemknęli szybko.

— O! coby nas było spotkało, gdybyśmy z dragonami jechali! — zawołał Kmicic.

— Miłościwy królu! — ozwał się ksiądz biskup Gębicki — nieprzyjaciół przed nami... Co nam uczynić?

Wszyscy otoczyli króla naokoło, jakby go chcieli osobami swemi od nagłego niebezpieczeństwa zasłonić, lecz on spoglądał na łunę, która odbijała się w jego źrenicach i milczał; nikt też pierwszy nie wyrwał się ze zdaniem, tak ciężko było coś dobrego poradzić.

— Gdym wyjeżdżał z ojczyzny, świeciła mi łuna — rzekł wreszcie Jan Kazimierz — gdy wjeżdżam, druga mi świeci...

I znowu nastało milczenie, tylko dłuższe jeszcze, niż poprzednio.

— Kto ma jaką radę? — spytał nakoniec ksiądz Gębicki.

Wtem zabrzmiał głos Tyzenhauza, pełen goryczy i urągania:

— Kto się nie wahał osoby pańskiej na szwank wystawić, kto namawiał, by król bez straży jechał, ten niech teraz rady udzieli!

W tej chwili jeden jeździec wysunął się z koła; był to Kmicic.

— Dobrze! — rzekł.

I podniósłszy się w strzemionach, krzyknął, zwróciwszy się ku stojącej opodal czeladzi:

— Kiemlicze, za mną!

To rzekłszy, puścił konia w cwał, a za nim trzech jeźdźców pomknęło co tchu w piersiach końskich.

Krzyk rozpaczy wydobył się z piersi pana Tyzenhauza.

— To znowa! — rzekł — zdrajcy znać dadzą! Mości królu, ratuj się, póki czas, bo i wążó wkrótce nieprzyjaciel zamknie! Mości królu, ratuj się! nazad! nazad!

— Wracajmy, wracajmy! — zawołali jednogłośnie biskupi i dygnitarze.

Lecz Jan Kazimierz zniecierpliwiał się, z ocz zaczęły iść mu błyskawice, nagle wydobył szpadę z pochwy i zawołał:

— Nie daj Bóg, abym z własnej ziemi drugi raz miał uchodzić! Niech się stanie, co ma być, dosyć mi tego!

I spiał konia ostrogami, by ruszyć naprzód, lecz sam nuncyusz pochwycił za lejce.

— Wasza kr. mość — rzekł z powagą — losy ojczyzny i Kościoła katolickiego dźwigasz na sobie, więc ci nie wolno osoby swej narażać!

— Nie wolno! — powtórzyli biskupi.

— Nie wrócę na Szlązk, tak mi dopomóż święty Krzyż! — odpowiedział Jan Kazimierz.

— Miłościwy panie! wysłuchaj prośb twych poddanych! — rzekł, składając ręce kasztelan sandomierski. — Jeżeli żadną miarą nie chcesz do cesarskich krajów się nakłonić, to nawróćmy przynajmniej z tego miejsca i ku granicy węgierskiej się skierujmy, albo

przejdźmy nazad ów wąwóz, aby nam powrotu nie przecięto. Tak czekać będziem. W razie nadejścia nieprzyjaciela, w koniach ratunek zostanie, ale przynajmniej nas jako w pułapce nie zamkną.

— Niechże i tak będzie — rzekł łagodniej król. — Nie odrzucam ja rozumnej rady, ale na tułactwo drugi raz nie pójdę. Jeśli tedy nie można się będzie przedostać, to indziej się przedostaniem. Wszelako tak myślę, że waszmościowie napróżno się strachacie. Skoro ci Szwedzi nas między dragonami szukali, jako ludzie z Żywca mówili, to właśnie dowód, że o nas nie wiedzą i że zdrady ani zmowy nijakiej nie było. Weźcie waszmościowie to na rozum, jesteście ludzie doświadczeni. Nie zaczepialiby ci Szwedzi dragonów, nie wystrzeliliby do nich ni razu, gdyby mieli wiadomość, że za dragonami jedziemy. Uspokójcie się, waszmościowie! Babinicz ze swymi pojechał po wieści i pewnie niebawem powróci.

To rzekłszy, król nawrócił konia ku wąwózowi, za nim towarzysze. Zatrzymali się tam, gdzie im pierwszy przejezdny góral samą granicę wskazywał.

Upłynął kwadrans, poczem pół godziny i godzina.

— Czy uważacie wasze dostojności — ozwał się nagle wojewoda łęczycki, — iż łuna zmniejsza się?

— Gaśnie, gaśnie prawie w oczach! — odrzekło kilka głosów.

— To dobry znak! — zauważył król.

— Pojadę ja naprzód z kilkunastoma ludźmi — ozwał się Tyzenhauz. — O staję ztąd staniemy i gdyby Szwedzi nadszli, to ich zatrzymamy na sobie, dopóki nie polegniemy. W każdym razie będzie czas o bezpieczeństwie osoby pańskiej pomyśleć.

— Trzymaj się kupy, zakazuję ci jechać! — rzekł król.

A na to Tyzenhauz:

— Miłościwy panie! każesz mnie później za nieposłuszeństwo rozstrzelać, ale teraz pojedę, bo tu o ciebie chodzi!

I skrzyknąwszy kilkunastu żołnierzy, którym można było zaufać w każdej potrzebie, ruszył naprzód.

Stanęli u drugiego wyjścia wąwozu w dolinę — i stali cicho z gotowymi rusznicami, nadstawiając uszu na każdy szelest.

Długi czas trwało milczenie, nakoniec doleciał ich chrzęst śniegu tratowanego kopytami.

— Jada! — szepnął jeden z żołnierzy.

— Nie żadna to kupa, kilka tylko koni słychać — odpowiedział drugi. — Pan Babinicz wraca!

Tymczasem nadjeżdżający zbliżyli się w ciemnościach na kilkadziesiąt kroków.

— Werdo? — zakrzyknął Tyzenhauz.

— Swoi! Nie strzelać tam! — zabrzmiał głos Kmicica.

W tejże chwili on sam pojawił się przed Tyzenhauzem i nie poznawszy go w ciemności, spytał:

— A gdzie król?

— Tam, opodal, za wąwozem! — odrzekł uspokojony Tyzenhauz.

— Kto mówi, bo nie można rozeznąć?

— Tyzenhauz! A coto takiego wielkiego wieziesz waszmość przed sobą?

To rzekłszy, ukazał na jakiś ciemny kształt, zwieszający się przed Kmicicem na przodku kulbaki.

Lecz pan Andrzej nie odpowiedział nic i przeje-

chał mimo. Dotarłszy do orszaku królewskiego, rozemnął osobę króla, bo za wężozem daleko było jaśnieji i zawołał:

— Miłościwy panie, wolna droga!

— Niemasz już w Żywcu Szwedów?

— Odciągnęli ku Wadowicom. To był niemiecki oddział najemny. Ot, zresztą jest tu jeden, sam go, miłościwy panie, wybadaj!

I nagle pan Andrzej cisnął na ziemię z kulbaki ów kształt, który trzymał przed sobą, aż jęk rozległ się w ciszy nocnej.

— Coto jest? — pytał zdumiony król.

— To? Rajtar!

— Na miły Bóg! Toś i języka przywiózł. Jakże-to? powiadaj!

— Miłościwy panie! Gdy wilk nocą za stadem owiec idzie, łatwo mu jedną sztukę porwać, a zresztą, żeby prawdę rzec, to mi taka sprawa nie pierwszyna.

Król ręce do głowy podniósł.

— Ale to żołnierz ten Babinicz, niech go kule biją. Imajnujcie waszmościowie... Widzę, że mając takich sług, mogę choćby w środek Szwedów jechać!

Tymczasem otoczyli wszyscy rajtara, który jednak nie podnosił się z ziemi.

— Pytaj go, miłościwy panie, — odpowiedział nie bez pewnej chępliwości w głosie Kmicic — choć nie wiem, czy będzie mógł odpowiadać, bo trochę przydużon, a niemasz tu, czemu go przypiec.

— Wlejcie mu gorzałki w gardło — rzekł król.

I istotnie lepiej to lekarstwo pomogło od przypiekania, bo rajtar wkrótce odzyskał siły i głos. A wów-

czas pan Kmicic, przyłożywszy mu sztych do gardła, kazał opowiadać całą prawdę.

Zeznał tedy ów jeniec, że należy do regimentu pułkownika Irlehorna, że mieli wiadomość o przejeździe króla z dragonami, więc napadli na nich koło Suchej, ale wzięwszy wstręt należyty, musieli się cofnąć do Żywca, zkąd pociągnęli do Wadowic i Krakowa, bo takie mieli rozkazy.

— Zali w górach niema innych oddziałów szwedzkich? — pytał poniemiecku Kmicic, pociskając nieco silniej gardło rajtara.

— Może są jakowe: — odpowiedział przerywanym głosem rajtar — generał Duglas porozsyłał podjazdy, ale się wszystkie cofają, bo chłopstwo w wąwozach na nie napada.

— A w pobliżu Żywca wascie jedni byli?

— My jedni.

— I wiecie, że król polski już przejechał?

— Przejechał z tymi dragonami, którzy się o nas w Suchej obtarli. Wielu go widziało.

— Czemuście go nie ścigali?

— Baliśmy się góralów.

Tu Kmicic ozwał się znów popolsku:

— Miłościwy panie! Droga wolna, a i nocleg w Żywcu się znajdzie, bo jeno część osady spalona...

Lecz nieufny Tyzenhauz rozmawiał przez ten czas z panem kasztelanem wojnickim i tak mówił:

— Alboto jest żołnierz wielki i szczery jak złoto, albo zdrajca kuty na cztery nogi... Zważ wasza dostojność, że to wszystko może być symulowane, od wzięcia tego rajtara aż do jego zeznań. A jeśli to umyślne?

Jeśli Szwedzi siedzą przyczajeni w Żywcu? Jeśli król pojedzie i wpadnie jako w matnię?... .

— Bezpieczniej się przekonać — odrzekł kasztelan wojnicki.

Więc pan Tyzenhauz zwrócił się do króla i rzekł głośno:

— Pozwól miłościwy panie, żebym ja najprzód do Żywca ruszył i przekonał się, czyli to prawda, co ów kawaler i ów rajtar powiadają.

— Niechże tak będzie! Pozwól, miłościwy panie, niech jedzie! — zawołał Kmicic.

— Jedź, — rzekł król — ale i my ruszymy nieco naprzód, bo zimno.

Pan Tyzenhauz ruszył z kopyta, a orszak królewski jął posuwać się za nim zwolna. Król odzyskał dobry humor i wesołość i po niejakiem czasie rzekł do Kmicica:

— Ale to z tobą możnaby jako z sokołem na Szwedów polować, bo z góry uderzasz!

— Tak to i było — odrzekł pan Andrzej. — Jak wasza królewska mość zechce zapolować, to sokół zawsze gotów.

— Powiadaj, jakżeś go ucapił?

— To nietrudno, miłościwy panie! Zwyczajnie gdy pułk idzie, zawsze kilkunastu ludzi z tyłu się wlecze, a ten się na pół stajania został. Podjechałem za nim; on myślał, że swój, nie strzegł się i nim się opamiętał, jużem go porwał, gębę mu przydusiwszy, ażeby nie krzyczał.

— Mówiłeś, że ci to nie pierwszyczna. Zaliżes to już kiedy pierwiej praktykował?

Kmicic rozśmiał się.

— Oj, oj! miłościwy panie! praktykowałem i to i co lepszego! Niech wasza królewska mość jeno rozkaże, a znowu skoczę, dognam ich, bo konie mają zdrożone i jeszcze jednego ucapię i Kiemliczom moim każę ucapić.

Czas jakiś jechali w milczeniu, nagle tętent konia rozległ się i nadleciał Tyzenhauz.

— Mości królu! — rzekł — droga wolna i nocleg zamówiony.

— A nie mówiłem?! — zawołał Jan Kazimierz. — Niepotrzebnieście się waszmościowie troskali... Jedźmy teraz, bo nam się spoczynek należy!

Wszyscy ruszyli rysią, rażno, wesoło i w godzinę później zasnął utrudzony król bezpiecznym snem na własnej ziemi.

Tegoż wieczora pan Tyzenhauz zbliżył się do Kmicica.

— Wybacz waszmość, — rzekł — z miłości to do pana cię podejrzywałem.

Lecz Kmicic umknął mu ręki.

— O, nie może być! — odrzekł. — Zdrajcą i przedawczykiem mnie czyniłeś...

— Byłbym i więcej uczynił, bo byłbym waści w łeb strzelił, — rzekł Tyzenhauz — ale gdym się przekonał, żeś zacny człowiek i króla miłujesz, rękę ci wyciągnąłem. Chcesz, przyjmij — nie chcesz, nie przyjmuj... Wolałbym z tobą jeno w przywiązaniu do osoby pańskiej emulować... Ale i innej emulacyi się nie przestraszę.

— Tak waszmość myślisz?... Hm! może masz i słuszność, ale mi na waćpana mrućno.

— To przestań mrużyć... Tęgi z waszmości
żołnierz! No! a dawajno gęby, byśmy się w nienawi-
ści spać nie układli.

— Niechże tak będzie! — rzekł Kmicic.
I padli sobie w objęcia.

ROZDZIAŁ V.

Orszak królewski późną nocą dotarł do Żywca i prawie nie zwrócił uwagi w miasteczku, przerażonem niedawnym napadem szwedzkiego oddziału. Król nie zajeżdżał do zamku, który poprzednio już był spustoszony od Szwedów, a w części spalony, ale stanął w plebanii. Tam Kmicie rozpuścił wiadomość, iż to poseł cesarski ze Szlązka udaje się do Krakowa.

Jakoż nazajutrz wyruszyli ku Wadowicom i dopiero znacznie za miastem skręcili do Suchej. Ztamtąd przez Krzeczonów mieli jechać do Jordanowa, ztamtąd do Nowego Targu i gdyby się okazało, że niema podjazdów szwedzkich pod Czorsztynem, to do Czorsztyna, gdyby zaś były, to skręcić mieli do Węgier i węgierską ziemią ciągnąć aż do Lubowli. Spodziewał się też król, że pan marszałek w. koronny, który rozporządzał tak znacznymi siłami, jakich nie miał niejeden książę panujący, poubezpiecza drogi i sam naprzeciw panu wyskoczy. Mogło mu pomieszać szyki tylko to, że nie wiedział, którądy król ciągnie; ale przecież między góralami nie brakło wiernych ludzi, gotowych zanieść panu marszałkowi umówione słowa. Nie potrzeba im było nawet

tajemnicy powierzać, bo szli chętnie, skoro im powiedziano, że o służbę królewską idzie. Byłto bowiem lud duszą i sercem królowi oddany, chociaż ubogi i pół jeszcze dziki, mało, albo wcale uprawą niewdzięcznej roli się nietrudniący, żyjący z chowu bydła, pobożny i nienawidzący heretyków. Onito pierwsi, gdy rozeszła się wieść o wzięciu Krakowa, a zwłaszcza o oblężeniu Częstochowy, do której pobożne pielgrzymki odprawiać zwykli, porwali za toporzyska swoich siekier i ruszyli się z gór. Jenerał Duglas, znakomity wojownik, opatrzony w działa i strzelby, rozprószył ich wprawdzie z łatwością w równinach, na których bić się nie przywykli; natomiast Szwedzi z największemi tylko ostrożnościami zapuszczali się we właściwe ich siedziby, w których dosięgnąć ich było niepodobna, a ponieść klęskę łatwo. Zginęło też kilka pomniejszych oddziałów, które się nieopatrznie w labirynt gór zapędyły.

I teraz wieść o przejeździe króla z wojskiem uczyniła już swoje, wszyscy bowiem jak jeden mąż zerwali się, by go bronić i towarzyszyć mu ze swemi „ciupagami“, choćby na kraj świata. Mógł Jan Kazimierz, gdyby tylko odkrył, kto jest, otoczyć się w jednej chwili tysiącami półdzikich „gazdów“, lecz on słusznie mniemał, że w takim razie wieść rozebrzmiałaby wnet, razem z wichrami, po całej okolicy i że Szwedzi mogliby także wysłać znaczne wojska na jego spotkanie, więc wolał ciągnąć niepoznany, nawet od górali.

Znajdowano jednak wszędy pewnych przewodników, którym dość było powiedzieć, że prowadzą biskupów i panów, pragnących się szwedzkiej ręki uchronić. Prowadzili ich więc wśród śniegów, skał, wirchów i przełęczy, sobie tylko znanemi „pyrciami“, przez

miejsca tak niedostępne, że — rzekłbyś — i ptak nie mógłby przez nie przelecieć.

Nieraz król i dostojnicy mieli chmury pod nogami, a jeżeli chmur nie było, to wzrok ich leciał w bezbrzeżną, białymi śniegami okrytą przestrzeń, która tak wydawała się szeroką, jak kraj cały szeroki; nieraz zapuszczali się w gardziele górskie, ciemne prawie, śniegami przysłonięte, w których chyba tylko zwierz dziki mógł mieć legowiska. Lecz omijano dostępne dla nieprzyjaciela miejsca, skracano drogę i bywało, że osada jaka, do której ledwie za pół dnia spodziewano się dostać, pojawiała się nagle pod nogami, a w niej spoczynek czekał i gościnność, choć w kurnej chacie, w zadymionej świetlicy.

Król był ciągle wesół, innym odwagi do znoszenia nadzwyczajnych trudów dodawał i uręczał, że takimi drogami się przebijając, pewno równie szczęśliwie, jak niespodzianie do Lubowli się dostaną.

— Pan marszałek ani się spodziewa, kiedy mu na kark spadniem! — powtarzał ciągle.

A nuncyusz odpowiadał:

— Czemże był powrót Ksenofonta w porównaniu z tą naszą podróżą w chmurach?

— Im wyżej się wzniesiem, tem szwedzka fortuna upadnie niżej — twierdził król.

Tymczasem dojechano do Nowego Targu. Zdawało się, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło; jednakże górale twierdzili, że jakieś obce wojska kręcą się wedle Czorsztyna i po okolicy. Król przypuszczał, iż możeto być niemiecka rajtarya pana marszałka koronnego, której miał dwa pułki, albo że jego własnych dragonów, wysłanych przodem, poczytano za nieprzyjaciel-

skie podjazdy. Więc gdy i w Czorsztyńce była załoga biskupa krakowskiego, podzieliły się zdania w królewskim orszaku: jedni chcieli jechać traktem do Czorsztyna, a ztamtąd ciągnąć samą granicą do ziemi Spiskiej; inni radzili zaraz wykreć do Węgier, które tu klinem aż pod Nowy Targ dochodziły i znowu przedierać się przez wirchy i wąwozy, biorąc wszędy przewodników, najniebezpieczniejsze przejścia znajdujących.

To ostatnie zdanie przemogło, albowiem w ten sposób spotkanie się ze Szwedami stawało się prawie niepodobnem i zresztą króla bawiła ta „orłowa“ droga przez przepaści i przez chmury.

Wyruszone więc z Nowego Targu nieco na zachód i południe, zostawiając po prawej ręce Biały Dunajec. Początkowa droga szła okolicą dosyć otwartą i rozległą, lecz w miarę jak postępowano naprzód, góry poczęły się zbiegać, doliny zacieśniać. Jechano drogami, po których konie ledwie mogły postępować. Czasem trzeba było zsiadać i w rękę je prowadzić, a i to nieraz jeszcze opierały się, tuląc uszy i wyciągając otwarte, dymiące nozdrza ku przepaściom, z których głębi śmierć zdawała się wyglądać.

Górale, przywykli do urwisk, uznawali często za dobre takie drogi, na których nieobyłym ludziom szumiało i kręciło się w głowach. Wjechali nakoniec w jakąś szczelinę skalną długą i prostą, a tak wąską, że zaledwie trzech ludzi mogło jechać wedle siebie.

Wąwóz to był jakoby korytarz niezmierny. Dwie wysokie skały zamykały go z prawej i lewej strony. Gdziekolwiek jednak krawędzie ich rozchyłały się, tworząc mniej strome pochyłości, pokryte zaspami śniegu, na zrębach obramowane czarnym borem. Wichry wy-

wiały natomiast śnieg z dna wąwozu i kopyta końskie szczękały wszędy po kamienistym podkładzie. Lecz w tej chwili wiatr nie wiał i cisza panowała tak głucha, że aż w uszach dzwoniąca. Tylko w górze, kędy między lesistemi krawędziami widniał błękitny pas nieba, przelatywało od czasu do czasu czarne ptastwo, łopocąc skrzydłami i kracząc.

Orszak królewski stanął dla wypoczynku. Z koni podnosiły się kłęby pary, a i ludzie byli pomęczeni.

— Czyto Polska, czy Węgry? — spytał po chwili przewodnika król.

— To jeszcze Polska.

— A czemu nie wykręciliśmy zaraz do Węgier?

— Bo nie można. On wąwóz zakręci się opodał, potem będzie sikława, za sikławą pyrć do traktu idzie. Tam nawrócimy, przejdziem jeszcze jeden wąwóz i dopiero będzie węgierska strona.

— To widzę, że lepiej było odrazu traktem jechać — rzekł król.

— Cichajcie!... — odpowiedział nagle góral.

I przyskoczywszy do skały, przyłożył do niej ucho.

Wszyscy utkwili w niego oczy, a jemu twarz zmieniła się w jednej chwili i rzekł:

— Za zakrętem wojsko idzie od potoku!... Dla Boga! czy nie Szwedy?!

— Gdzie? jak? co?... — poczęto pytać ze wszystkich stron. — Nic nie słyhać!...

— Bo tam śnieg leży. Na rany boskie! Już są blisko!... Zaraz się ukażą!...

— Może pana marszałka ludzie? — rzekł król.

Kmiecic w tej chwili ruszył koniem.

— Pojadę zobaczyć! — rzekł.

Kiemlicze ruszyli zaraz za nim, jak psy myśliwe za łowcem, lecz ledwie posunęli się z miejsca, gdy zakręć gardzieli, o sto kroków przed nimi leżący, zaciemnił się od ludzi i koni.

Kmicic spojrział... i dusza zatrzęsła się w nim z przerażenia.

Bylito Szwedzi.

Ukazali się tak blisko, że cofać się było niepodobna, zwłaszcza, iż orszak królewski miał konie pomęczzone. Pozostawało tylko przebić się lub zginąć, albo pójść w niewolę. Zrozumiał to w jednej chwili nieustraszony król, więc chwycił za rękojeść szpady!

— Ostronić króla i nazad! — krzyknął Kmicic.

Tyzenhauz z dwudziestu ludźmi w mgnieniu oka wysunął się na czoło, lecz Kmicic zamiast złączyć się z nimi, ruszył drobnym kłusem przeciw Szwedom.

Miał zaś na sobie szwedzki strój, ten sam, w którym przebrał się, wychodząc z klasztoru, więc owi Szwedzi teraz nie pomiarkowali, coto za jeden. Widząc dążącego przeciw sobie w takim stroju jezdca, prawdopodobnie poczytali cały orszak królewski za jakiś własny podjazd, bo nie przyśpieszyli kroku, tylko kapitan dowodzący wysunął się przed pierwszą trójkę.

— A co za ludzie? — spytał poszwedzku, patrząc na groźną i bladą twarz zbliżającego się junaka.

Kmicic najechał nań tak blisko, że prawie trącili się kolanami i nie odrzekłszy ni słowa, wypalił mu w samo ucho z pistoletu.

Okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi rajtarów, ale potężniej jeszcze zabrzmiał głos pana Andrzeja:

— Bij!

I jako skała oderwana od opoki, tocząc się

w przepaść druzgoce wszystko w biegu, tak i on runął na pierwszy szereg, niosąc śmierć i zniszczenie. Dwaj młodzi Kiemlicze, podobni do dwóch niedźwiedzi, skoczyli za nim w zamęt. Stukot szabel o pancerze i hełmy rozległ się, jak huk młotów, a wnet zawtórowały mu wrzaski i jęk.

Przerażonym Szwedom zdawało się w pierwszej chwili, że to trzech wielkoludów napadło ich w dzielnym parowie górskim. Pierwsze trójki cofnęły się zmieszane przed strasznym mężem, a gdy ostatnie wydobywały się dopiero zpoza zakrętu, środek stłoczył się i zwichrzył. Konie poczęły gryść się i wierzcąc. Żołnierze z dalszych trójek nie mogli strzelać, nie mogli iść na ratunek przodowym, którzy ginęli bez ratunku pod ciosami trzech olbrzymów. Próżno się złożą, próżno sztychów nadstawiają, tamci łamią szable, przewracają ludzi i konie. Kmicic zdarł konia, że aż kopyta jego zwisły nad głowami rajtarskich rumaków, sam zaś szalał, siekł, bódł. Krew zboczyła mu twarz, z oczu szedł ogień, wszystkie myśli w nim zgasty, została tylko jedna, że zginie, lecz Szwedów musi zatrzymać. Ta myśl przerodziła się w dzikie jakieś uniesienie, więc siły jego potroiły się, ruchy stały się podobne do ruchów rysia: wściekłe, jak błyskawice szybkie. I nadludzkiemi ciosami szabli kruszył ludzi, jak piorun kruszy młode drzewa; dwaj Kiemlicze młodzi szli tuż, a stary stojąc nieco z tyłu, co chwila wsuwał rapier między synów, tak szybko, jak wąż żądkło wysuwa i wyciągał krwawy.

Tymczasem koło króla powstał rozruch. Nun-cyusz, jako pod Żywcem, tak i teraz trzymał za cugle jego konia, z drugiej strony chwycił je biskup krakowski

i ze wszystkich sił cofali w tył rumaka, król zaś parł go ostrogami aż dzianet dęba stawał.

— Puszczajcie!... — wołał król. — Na Boga! Przejedziem przez nieprzyjaciół!

— Panie, myśl o ojczyźnie! — wołał biskup krakowski.

I król nie mógł wydrzeć się z ich rąk, zwłaszcza, że od przodu zatarasował mu drogę młody Tyzenhauz ze wszystkimi ludźmi. Nie szedł on w pomoc Kmicicowi, poświęcił go, pragnął tylko króla ratować.

— Na mękę Pana naszego! — krzyczał z rozpaczą — tamci zaraz polegną!... Miłościwy panie, ratuj się, póki czas! Ja ich tu jeszcze zatrzymam!

Lecz upór królewski, gdy go raz rozdrażniono, nie liczył się z niczem i z nikim. Jan Kazimierz wsparł jeszcze silniej rumaka ostrogami i zamiast cofać się, posuwał się naprzód.

A czas płynął i każda chwila dłużej mogła zgubę za sobą pociągnąć.

— Zginę na mojej ziemi!... Puszczajcie!... — wołał król.

Szczęściem, przeciw Kmicicowi i Kiemliczom, dla ciasnoty miejsca, mała tylko liczba ludzi mogła odrazu działać, skutkiem czego mogli się trzymać dłużej. Lecz zwolna i ich siły poczęły się wyczerpywać. Kilkakroć rapiery szwedzkie dotknęły się ciała Kmicica i krew jęła z niego uchodzić. Oczy przesłaniały mu się jakby mgłą. Dech ustawał w piersiach. Uczuł zbliżanie się śmierci, więc pragnął tylko życie sprzedać drogo. „Jeszcze choć jednego!“ — powtarzał sobie i puszczał płytkie żelazo na głowę lub ramię najbliższego rajtara i znów zwracał się ku innemu; Szwedom wszelako po

pierwszej chwili zamieszania i strachu, wstyd widocznie uczyniło się, że czterech mężów zdołało ich zatrzymać tak długo i natarli z furją; wnet samym ciężarem ludzi i koni zepchnęli ich w tył i spychali coraz silniej i szybciej.

Wtem koń Kmicica padł i fala zakryła jezdca.

Kiemlicze rzucali się jeszcze czas jakiś, podobni do pływaków, którzy widząc, że toną, usiłują jak najdłużej głowy nad powierzchnią roztoczy morskiej utrzymać, lecz wkrótce zapadli i oni...

Wówczas Szwedzi jak wichher ruszyli ku orszakowi królewskiemu.

Tyzenhauz zaś ze swymi ludźmi skoczył ku nim i uderzyli się tak, że aż łoskot rozległ się po górach.

Lecz cóż znaczyła ta nowa Tyzenhauzowska garstka przeciw potężnemu podjazdowi, blisko trzysta koni liczącemu!

Nie było już wątpliwości, że dla króla i jego orszaku musi nieubłaganie wybić fatalna godzina zguby lub niewoli.

Jan Kazimierz, wołąc widocznie pierwszą od drugiej, wyswobodził nakoniec lejce z rąk trzymających je biskupów i posunął się szybko za Tyzenhauzem.

Nagle stanął jak wryty.

Stało się coś nadzwyczajnego. Patrzącym wydało się, że same góry przychodzą w pomoc prawemu królowi i panu.

Oto nagle krawędzie wąwozu zadrgały, jak gdyby ziemia wzruszyła się z posad, jak gdyby bór rosnący w górze chciał wziąć udział w walce i pnie drzewne, bryły śniegu, lodu, kamienie i okruchy skał jeły toczyć się ze straszliwym traskiem i łoskotem na zaciśnięte

na dnie szeregi szwedzkie; jednocześnie nieludzkie wy-
cie rozległo się po obu stronach parowu.

Na dole zaś, w szeregach, wszczął się zamęt, ludzką
wyobraźnię przechodzący. Szwedom zdało się, że góry
runęły i zsypują się na nich. Powstały krzyki, lament
druzgotanych mężów, rozpaczliwe wołania o pomoc,
kwik koński, zgrzyt i straszliwy dźwięk skalnych obła-
mów o pancerze.

Nakoniec ludzie i konie utworzyli jedną kupę
kłębiącą się konwulsyjnie, gniotącą, pełną jęków, roz-
paczliwą, straszną.

A kamienie i złamy skał miażdżyły ją ciągle, to-
cząc się nieubłagane na bezkształtne już masy ciał
końskich i ludzkich.

— Górale! górale! — zaczęto krzyczeć w orszaku
królewskim.

— Ciupagami psubratów! — ozwały się głosy
na górze.

I w tej chwili po obu krawędziach skalistych
ukazały się długowłose głowy, przybrane w krągłe
skórzane kapelusze, za niemi wychyliły się ciała i kil-
kaset dziwnych postaci poczęło spuszczać się w dół
po pochyłościach śnieżnych.

Ciemne i białe gunie, unoszące się nad ramionami,
nadawały im pozór jakichś strasznych ptaków drapie-
żnych. Zsunęli się w mgnieniu oka; świst siekierek
zawtórował złowrogo ich dzikim okrzykiem i jękiem
dobijanych Szwedów. Sam król chciał rzeź powstrzy-
mać; niektórzy rajtarowie, żywi jeszcze, rzucali się na
kolana i wznosząc bezbronne ręce, błagali o ratunek.
Nic nie pomogło, nic nie wstrzymało mściwych siekier

i w kwadrans później nie było już ani jednego żywego Szweda w parowie.

Potem krwawi górale poczęli się sypać ku orszakowi królewskiemu.

Nuncyusz ze zdumieniem patrzył na tych nieznanym sobie ludzi, rosnących, silnych, pokrytych częścią w skóry owcze, ubroczonych krwią i potrząsających dymiącymi jeszcze siekierkami.

Lecz oni na widok biskupów podkrywali głowy. Wielu poklekało w śniegu.

Biskup krakowski podniósł załzawioną twarz ku niebu.

— Oto pomoc Boska, oto Opatrzność, która czuwa nad majestatem!

Następnie zwrócił się do górali i rzekł:

— Ludzie, coście za jedni?

— Tutejsi! — odpowiedziano z tłumy.

— Czy wiecie, komuście przyszli w pomoc?...
Oto król i pan wasz, któregoście uratowali!

Na te słowa krzyk uczynił się w tłumie: „Król! król! Jezusie, Maryo, król!“ Wierni górale poczęli się cisnąć do pana i tłoczyć. Z płaczem opadli go zewsząd, z płaczem całowali jego nogi, strzemiona, nawet kopyta jego konia. Zapanowało takie uniesienie, taki krzyk i szlochanie, że aż biskupi z obawy o osobę królewską musieli zbytni zapał hamować.

Król zaś stał wśród wiernego ludu, jak pasterz wśród owiec i łzy wielkie, jasne jak perły, spływały mu po twarzy.

Poczem oblicze jego rozjaśniło się, jakby jakaś przemiana spełniła się nagle w jego duszy, jakby nowa wielka myśl, z nieba rodem, zaświeciła mu w gło-

wie i skinął ręką, że chce mówić a gdy uciszyło się, rzekł podniesionym głosem, tak, iż słyszał go tłum cały:

— Boże! których mnie przez ręce prostego ludu wybawił, przysięgam Ci na mękę i śmierć Syna Twego, że i jemu ojcem odtąd będę!

— Amen — powtórzyli biskupi.

I czas jakiś trwało uroczyste milczenie, potem zaś nowa radość wybuchła. Poczęto wypytywać górali, z kąd się wzięli w wężozach i jakim sposobem tak w porę dla ratunku królowi się znaleźli?

Okazało się, że znaczne podjazdy szwedzkie kręciły się koło Czorsztyna i nie dobywając samego zamku, zdawały się szukać kogoś i czekać. Górale słyszeli także o bitwie, którą podjazdy te stoczyły z jakimś wojskiem, między którym miał się i sam król znajdować. Wówczas postanowili wciągnąć Szwedów w zasadzki i nasławszy im fałszywych przewodników, umyślnie zwabili ich do tego parowu.

— Widzieliśmy — mówili górale — jako onych czterech rycerzy uderzyło na tych psiajuchów, chcieliśmy im iść w pomoc, ale baliśmy się spłoszyć zawczasie psubratów.

— Tu król porwał się za głowę.

— Matko jedynego Syna! — krzyknął — szukać mi Babinicza! Niechaj mu choć pogrzeb wyprawimy!... I tego człowieka za zdrajcę poczytano, który pierwszy krew za nas wylał!

— Zawiniłem, miłościwy panie! — ozwał się Tyzenhauz.

— Szukać go, szukać! — wołał król. — Nie odjadę ztąd, póki mu w twarz nie spojrzę i nie pożegniam.

Skoczyli więc żołnierze wraz z góralami na miejsce pierwszej walki i wkrótce zpod stosu trupów końskich i ludzkich wydobyli pana Andrzeja. Twarz jego była blada, cała zabryzgana krwią, której grube sople zakrzepły mu na włosach; oczy miał przymknięte; pancerz powyginany od razów mieczów i kopyt końskich. Ale ten pancerz właśnie uchronił go od zmiżdżenia i żołnierzowi, który go podniósł, wydawało się, że usłyszał cichy jęk:

— Dla Boga! Żyw! — zakrzyknął.

— Zdjąć mu pancerz! — wołali inni.

Wnet przecięto rzemienie.

Kmicie odetchnął głębiej.

— Dycha! dycha! Żyw! — powtórzyło kilka głosów.

On zaś leżał czas jakiś nieruchomie, poczem otworzył oczy. Wówczas jeden z żołnierzy wlał mu do ust nieco gorzałki, inni zaś podnieśli go pod ramię.

W tej chwili nadjechał pędem sam król, do którego uszu doszedł okrzyk, powtarzany przez wszystkie usta.

Żołnierze przywlekli przed niego pana Andrzeja, który ciężył im ku ziemi i leciał przez ręce. Jednakże na widok króla przytomność wróciła mu na chwilę, uśmiech prawie dziecinny przebłysnął mu na twarzy, a blade jego wargi wyszeptały wyraźnie:

— Mój pan, mój król żywie... wolny...

I łzy błysły mu w zrenicach.

— Babinicz, Babinicz! Czem cię nagrodzę!? — wołał król.

— Jam nie Ba-bi-nicz, jam Kmi-cic! — szepnął rycerz.

To rzekłszy, zwiśł jak martwy na rękach żołnierzy.

ROZDZIAŁ VI.

Ponieważ górale zapewnili, że na drodze do Czorsztyna o żadnych innych oddziałach szwedzkich nie słyhać, orszak królewski wykręcił więc ku temu zamkowi i wkrótce znalazł się na trakcie, po którym podróż była łatwiejsza i mniej nużąca. Jechali wśród pieśni góralskich i okrzyków: „Król jedzie! Król jedzie!” a po drodze łączyły się z nimi coraz nowe kupy ludu, zbrojnego w cepy, kosy, widły i strzelby, tak, że Jan Kazimierz stanął wkrótce na czele znacznego oddziału, ludzi niewyćwiczonych wprawdzie, ale gotowych w każdej chwili iść z nim choćby na Kraków i krew przelać za swego pana. Pod Czorsztynem przeszło już tysiąc „gazdów“ i półdzikich juhasów otaczało króla.

Aż też zaczęła napływać i szlachta zpod Nowego i Starego Sącza. Ci donieśli, że tegoż ranka pułk polski pod wodzą Woyniłłowicza zbił przy samem mieście Nowym Sączu znaczny podjazd szwedzki, z którego wszyscy niemal ludzie zginęli lub potopili się w Kamiennej i w Dunajcu.

Jakoż okazało się to prawdą, gdyż wkrótce na trakcie zamigotały proporzycy, zaczem sam Woyniłłowicz z pułkiem wojewody braclawskiego nadjechał.

Radośnie król powitał znakomitego, a zdawna sobie znajomego rycerza i wśród ogólnego zapału ludu i wojska jechał z nim dalej na Spiż. Tymczasem skoczyli co tchu w koniach jezdni dać naprzód znać panu marszałkowi, że król się zbliża, aby był gotów na przyjęcie.

Wesoło i gwarno szła dalsza podróż. Napływały coraz nowe tłumy. Nuncyusz, który z obawą o własne i królewskie losy ze Szlązka wyjechał, którą obawę początek podróży jeszcze powiększył, nie posiadał się teraz z radości, bo już był pewien, że przyszłość niezawodnie zwycięstwo królowi, a z nim i Kościołowi nad heretykami przyniesie. Biskupi podzielali jego radość, dygnitarze świeccy twierdzili, że cały naród od Karpat do Bałtyku, tak samo jak owe tłumy, za broń chwyci. Woyniłłowicz zaś zapewniał, że po większej części już się to stało.

I opowiadał, co w kraju słyhać, jaki postrach padł na Szwedów, jak już nie śmia się w mniejszej liczbie z murów wychylać, jak nawet mniejsze zamczki opuszczają i palą, do potężniejszych chroniąc się fortec.

— Wojsko jedną ręką w piersi się bije, a drugą Szwedów bić zaczyna — mówił. — Wilczkowski, który nad husarskim pułkiem waszej kr. mości porucznikuje, podziękował już Szwedom za służbę, a to w ten sposób, że ich pod Zakrzewem, w komendzie pułkownika Attenberga będących, napadł i siłą naciął, ledwie nie wszystkich zniósł... Ja z pomocą bożą z Nowego Sącza ich wyparłem i Bóg dał znaczną wiktoryą, bo nie wiem, czy jeden żywy wyszedł... Pan Felicjan Kochowski z piechotą nawojowską mocno mi dopomógł

i tak się im przynajmniej za owych dragonów, dwa dni temu poszarpanych, odpłaciło.

— Za jakich dragonów? — spytał król.

— A za tych, których wasza kr. mość ze Szlązka przed sobą wysłał. Szwedzi zniemacka ich napadli i chociaż rozproszyć nie zdołali, bo się okrutnie bronili, przecie szkodę uczynili w nich znaczną... A myśmy mało nie pomarli z desperacji, bośmy myśleli, że się wasza kr. mość osobą własną między tymi ludźmi znajduje i baliśmy się, żeby jakowa zła przygoda majęstatu nie spotkała. Bóg to natchnął waszę kr. mość do wystąpienia przodem dragonii. Zaraz się o niej Szwedzi zwiędzieli i wszędy drogi pozajmowali.

— Słyszysz, Tyzenhauz? — pytał król. — Żołnierz to doświadczony mówi.

— Słyszę, miłościwy panie, — odparł młody magnat.

Król zwrócił się do Woyniłłowicza.

— A co więcej? Co więcej? Powiadaj!

— Co wiem, pewnie tego nie ukryję. W Wielkopolsce Żegocki i Kulesza dokazują. Pan Warszycy Lindorma z zamku pileckiego wysadził, Danków się obronił, Lanckorona w naszych ręku, a na Podlasiu pan Sapieha pod Tykocinem codzień w siłę rośnie. Gorzej już Szwedzi w zamku, a z nimi razem zgorzeje i książę wojewoda wileński. Co do hetmanów, ci się już zpod Sandomierza w Lubelskie ruszyli, jawnie tam okazując, że z nieprzyjacielem zrywają. Jest tam z nimi i wojewoda czernihowski, a z okolicy ciągnie ku nim kto żyw i kto szablę w garści utrzymać może. Powiadają, że się tam ma jakiś związek przeciwko

Szwedom formować, w czym i pana Sapiehy jest ręka i pana kasztelana kijowskiego.

— To kasztelan kijowski także teraz w Lubelskiem?

— Tak jest, wasza kr. mość! Ale on dziś tu, jutro tam... Mam i ja do niego ciągnąć, ale gdzie go szukać, tego nie wiem.

— Głośno o nim będzie, — rzekł król — nie będziesz potrzebował o drogę pytać.

— Tak i ja myślę, miłościwy panie — odrzekł Woyniłłowicz.

Na podobnych rozmowach schodziła droga. Tymczasem niebo wypogodziło się zupełnie, tak, że błękitu nie plamiła żadna chmurka; śniegi lśniły się w promieniach słońca. Góry spiskie roztaczały się wspaniale i wesoło przed jadącymi i sama natura здаwała się do pana uśmiechać.

— Miła ojczyzno! — rzekł król — bodajem ci mógł spokój przywrócić, nim kości moje w twojej ziemi spoczna!

Wjechali na wysokie wzgórze, z którego widok otwarty był i daleki, bo z drugiej strony obszerna stała u stóp jego nizina. Tam ujrzeni w dole i w wielkiem oddaleniu poruszające się jakieś mrowisko ludzkie.

— Wojska pana marszałka idą! — zawołał Woyniłłowicz.

— Jeżeli nie Szwedzi? — rzekł król.

— Nie, miłościwy panie! Szwedzi nie mogliby od Węgier z południa ciągnąć. Widzę już husarskie proporceyki.

Jakoż po chwili, z sinawej oddali wysunął się las włóczni, barwne proporce chwiały się jakby

kwiaty wiatrem poruszane; powyżej groty lśniły się nakształt płomyków. Słońce grało na pancerzach i hełmach.

Tłumy towarzyszące królowi wydały okrzyk radosny; dosłyszano go zdala, bo masa koni, jeźdźców, chorągwi, buńczuków, proporczyków, poczęła poruszać się szybciej, widocznie tam ruszono z kopyta, bo pułki stawały się coraz wyraźniejsze i rosły w oczach z niepojętą szybkością.

— Ostańmy tu, na tem wzgórzu! Tu pana marszałka czekać będziem — rzekł król.

Orszak zatrzymał się; jadący naprzeciw pędzili jeszcze szybciej.

Chwilami zakrywały ich przed oczyma skrety drogi lub małe pagórki i skały, rozsiane po nizinie, lecz wnet znowu ukazywali się oczom, jako wąż o skórze grającej barwami, przepysznej. Nakoniec dotarli o ćwierć staj od wzgórza i zwolnili pędu. Oko mogło ich już doskonale objąć i nacieszyć się nimi. Szła więc najprzód chorągiew husarska, pana marszałka własna, bardzo okryta i tak wspaniała, że każdy król mógłby się podobnem wojskiem poszczycić. Służyła w tej chorągwi sama szlachta górską: ludzie dobrani, chłop w chłopu, pancerze na nich z jasnej blachy, mosiądzem nabijane, ryngrafy z Najświętszą Panną Częstochowską, hełmy krągłe z żelaznemi nausznikami, grzebieniaste na wierzchu, u ramion skrzydła sępie i orle, na plecach skóry tygrysie i lamparcie, u starszyzny wilcze, wedle obyczaju.

Las zielonych z czarnem proporczyków chwiał się nad nimi; przodem jechał porucznik Wiktor, za nim kapela janczarska z dzwonkami, litaurami, kotłami

i piszczakami, dalej ściana piersi końskich i ludzkich w żelazo zakuty.

Rozpływało się na ten widok wspaniały serce królewskie. Wraz za husaryą następował znak lekki, jeszcze liczniejszy, z gołemi szablami w ręku i łukami na plecach; potem trzy sotnie semenów, barwnych jak mak kwitnący, zbrojnych w spisy i samopały; potem dwieście dragonii w czerwonych koletach; potem poczty panów różnych, już w Lubowli bawiących, czeladź strojna jak na wesele, trabanci, hajducy, pajucy, węgrzynkowie i janczarowie, do służby przy osobach pańskich przeznaczeni.

A mieniło się to jak tęcza, a nadjeżdżało gwarnie i szumno, wśród rżenia koni, chrzęstu zbroi, huku kotłów, warczenia bębnow, dźwiękania litaurów i krzyków tak gromkich, iż zdawało się, że śnieg od nich z gór opadnie. Wkońcu za wojskami widać było karety i kolasy, w których widocznie jechali świeccy i duchowni dygnitarze.

Następnie wojska ustawiły się w dwa szeregi wzdłuż drogi, a zaś w środku ukazał się na białym jak mleko koniu sam pan marszałek koronny, Jerzy Lubomirski. Leciał on jak wichur ową ulicą, a za nim dwóch masztalerzy, kapiących od złota. Dojechawszy do wzgórza, zeskoczył z konia i rzuciwszy lejce jednemu z masztalerzów, sam szedł piechotą na wzgórze, ku stojącemu tam królowi.

Czapkę zdjął i zasadziwszy ją na rękojęść szabli, szedł z gołą głową, podpierając się obuszkiem, całym perłami krytym. Ubrany był popolsku, w stroju wojennym; na piersiach miał pancierz ze złotej blachy, gęsto po brzęgach kamieniami wysadzany, a polero-

wany tak, iż zdawało się, że słońce na piersiach niesie; przez lewe ramię zwieszała mu się delia barwy ciemnej, przechodzącej w fiolet purpury z weneckiego aksamitu. Trzymał ją pod szyją sznur zaczepiony o agrafy brylantowe, któremi cała delia była naszyta; również brylantowe trzęsienie chwiała mu się u czapki, a one klejnoty migotały jako skry różnokolorowe naokół całej jego postaci i oczy émił, takie od niego biły blaski.

Był to mąż w sile wieku, postawy wspaniałej. Głowę miał podgoloną, czuprynę dość rzadką, siwiejącą, w kosmy na czole ułożoną, wąs czarny jak skrzydło kruka, w cienkich końcach po obu stronach ust opadający. Wyniosłe czoło i rzymski nos dodawały piękności jego obliczu, lecz szpeciły je cokolwiek zbyt wypukłe policzki i oczy małe, czerwoną obwódką okolone. Wielka powaga, ale przytem niesłychana pycha i próżność malowały się w tej twarzy. Zgadłeś łatwo, że ów magnat chciał wiecznie zwracać na się oczy całego kraju, ba! całej Europy. Jakoż tak i było wistocie.

Gdzie tylko Jerzy Lubomirski nie zdołał zająć najwybitniejszego miejsca, gdzie mógł tylko dzielić się z innymi sławą i zasługą, tam rozdrażniona jego duma gotowa było położyć się wpoprzek i popsuć, złamać wszelkie zabiegi, choćby o zbawienie ojczyzny chodziło.

Był to wódz szczęśliwy i biegły, ale i pod tym względem przewyższali go inni niezmiernie, a wogóle zdolności jego, lubo niepospolite, nie szły w parze z ambicyą i chęcią znaczenia. Ztąd wieczny niepokój wrzał w jego duszy, ztąd wyrodziła się podejrzliwość, zazdrość, które później doprowadziły go do tego, że dla Rzeczypospolitej stał się nawet od straszneho Janusza

Radziwiłła zgubniejszym. Czarny duch, który mieszkał w Januszu, był zarazem i wielki, nie cofał się przed nikim i przed niczem; Janusz pragnął korony i światomie szedł do niej przez groby i ruinę ojczyzny. Lubomirski byłby ją przyjął, gdyby ręce szlacheckie włożyły mu ją na głowę, ale mniejszą duszę mając, jasno i wyraźnie jej pożądać nie śmiał. Radziwiłł był jednym z takich mężów, których niepowodzenie do rządu zbrodniarzy strąca, powodzenie do rządu półbogów wynosi; Lubomirski było wielki warchoł, który prace dla zbawienia ojczyzny, w imię swej podrażnionej pychy, popsuć był zawsze gotów, nie w zamian zbudować, nawet siebie wynieść nie śmiał, nie umiał; Radziwiłł zmarł winniejszym, Lubomirski szkodliwszym.

Lecz wówczas, gdy w złocie, aksamitach i klejnotach szedł przeciw królowi, duma jego nasyconą była dostatecznie. Ono przecie pierwszy z magnatów przyjmował swego króla na swojej ziemi: on go pierwszy brał niejako w opiekę, on go na tron zburzony miał prowadzić, on nieprzyjaciela wyżenąć, od niego król i kraj wszystkiego oczekiwali, na niego wszystkie oczy były zwrócone. Więc gdy zgadzało się z jego miłością własną, a nawet pochlebiało jej, wierność i służby okazywać, gotów był istotnie na ofiarę i poświęcenia, gotów był nawet miarę w objawach czci i wierności przebrać. Jakoż doszedłszy do wpół wzgórza, na którym stał król, zerwał czapkę z rękojeści i począł, kłaniając się, śnieg jej brylantowem trzęsieniem zamiatać.

Król ruszył koniem nieco ku dołowi, następnie zatrzymał go, aby zsiąść dla powitania. Widząc to pan marszałek, skoczył, strzemięcia swemi dosłojnymi rękoma potrzymać i w tej chwili szarpnąwszy za delią,

zerwał ją z pleców i za przykładem angielskiego dworaka, rzucił pod nogi królewskie.

Rozrzewniony król otworzył mu ramiona i chwycił go jak brata w objęcia.

Przez chwilę nic obaj nie mogli przemówić, lecz na ten wspaniały widok zawrzało jednym głosem wojsko, szlachta, lud i tysiące czapek wyleciało w powietrze, huknęły wszystkie muszkiety, samopały i piszczele, działa z Lubowli ozwały się dalekim basem, aż zatrzęsły się góry, zbudziły wszystkie echa i poczęły biegać wokół, objąć się o ciemne ściany borów, o skały i urwiska i lecieć z wieścią do dalszych gór, dalszych skał...

— Panie marszałku, — rzekł król — tobie restauracją królestwa będziem zawdzięczać!

— Miłościwy panie! — odpowiedział Lubomirski — fortunę moją, życie, krew, wszystko składam u nóg waszej kr. mości!

— Vivat! Vivat Joannes Casimirus rex!... — grzmiały okrzyki.

— Niech żyje król, ojciec nasz! — wołali górale.

Tymczasem panowie, jadący z królem, otoczyli marszałka lecz on nie odstępował osoby pańskiej. Po pierwszych powitaniach król znowu siadł na koń, a pan marszałek, nie chcąc znać granic w gościnności i czci dla majestatu, chwycił za lejce i sam idąc pieszo, prowadził króla wśród szeregów wojsk i głuszących okrzyków, aż do pozłocistej, zaprzężonej w ośm tarantów karet, do której majestat pański siadł wraz z nuncyuszem papieskim Widonem.

Biskupi i dygnitarze pomieścili się w następnych, poczem ruszono zwolna ku Lubowli. Pan marszałek

jechał przy oknie królewskiej karety, pyszny i rad z siebie, jakby go już ojcem ojczyzny okrzyknięto.

Po dwóch bokach szły gęsto wojska, śpiewając pieśń brzmiącą w następnych słowach :

Sieczce Szwedów, siecz,
Wyostrzywszy miecz.

Bijże Szwedów, bij,
Wziąwszy tęgi kij.

Walże Szwedów, wal,
Wbijaj ich na pal.

Męczże Szwedów, męcz,
I jak możesz dręcz.

Łupże Szwedów, łup,
I ze skóry złup.

Tnijże Szwedów, tnij,
To ich będzie mniej.

Topże Szwedów, top,
Jeśliś dobry chłop!*)

Niestety, wśród powszechnej radości i uniesienia, nie przewidywał nikt, że później, tę samą pieśń, zmieniwszy Szwedów na Francuzów, będą śpiewały też same wojska Lubomirskiego, zbuntowane przeciw swemu prawowitemu królowi i panu.

Ale teraz było jeszcze do tego daleko. W Lubomli huczały działa na powitanie, aż wieże i blanki pokryły się dymem, dzwony biły jakby na pożar. Dziezinięc, na którym wysiadł król, krążganek i schody

*) Pieśń tę p. t. „Przydumek panom Francuzom“ śpiewano pod Mątwanii.

zamkowe wysłane były suknem czerwonym. W wazach z Włoch sprowadzonych paliły się wschodnie aromaty. Większą część skarbów Lubomirskich, kredensów złotych i srebrnych, makat, kobierców, gobelinów misternie flamandzkimi rękoma tkanych, statui, zegarów, szaf klejnotami zdobnych, biur perłową macią i bursztynem wykładanych, sprowadzono już wcześniej do Lubomli, aby je uchronić przed drapieżnością szwedzką; teraz zaś wszystko to było rozstawione, rozwieszane, ćmiło oczy i zmieniało ów zamek w jakąś czarodziejską rezydencją. I pan marszałek umyślnie roztoczył taki, sułtana godny przepych, aby okazać królowi, że chociaż wraca jako wygnaniec, bez pieniędzy, bez wojska, nie posiadając prawie szat do zmiany, przecie jest panem potężnym, mając sług tak potężnych i równie wiernych. Zrozumiał owę intencją król i serce wezbrało mu wdzięcznością, co chwila więc brał marszałka w ramiona, ścisnął go za głowę, a dziękował. Nuncyusz, lubo przepychów zwyczajny, zdumiewał się głośno nad tem, co widział i słyszano go, jak mówił do hrabiego Apotyngen, że dotąd nie miał pojęcia o potędze króla polskiego i że widzi, iż poprzednie klęski były tylko chwilową odmianą fortuny, która wprędce zmienić się musi.

Do uczty, która po wypoczynku nastąpiła, król zasiadł na wywyższeniu, a pan marszałek sam mu usługiwał, nie pozwalając nikomu się zastąpić. Po prawicy króla wzięło miejsce nuncyusz Widon, po lewicy książę prymas Leszczyński, dalej po obu stronach dygnitarze duchowni i świeccy, jako ksiądz biskup krakowski, poznański, ksiądz arcybiskup lwowski, dalej łucki, przemyski, chełmiński, ksiądz archidyakon krakowski,

dalej pieczętarze koronni i wojewodowie, których ośmiu się zebrało i kasztelani i referendarze, a z oficerów zasiadł do uczyty pan Woyniłłowicz, pan Wiktor, pan Stabkowski i pan Baldwin Szurski, lekkiego znaku imienia Lubomirskich przywódca.

W drugiej sali stół był zastawiony dla szlachty pomniejszej, a obszerny cekhausz dla ludu prostego, wszyscy bowiem mieli się w dzień przybycia pańskiego weselić.

A przy wszystkich stołach nie było o niczem innym rozmowy, tylko o powrocie króla, o strasznych przygodach, które w drodze zaszły i w których ręka Boża króla broniła. Sam Jan Kazimierz począł mówić o bitwie w wąwozie i wysławiać owego kawalera, który pierwszy impet szwedzki powstrzymał.

— A jakże mu tam? — pytał pana marszałka.

— Medyk go nie odstępuje i za żywot jego ręczy, a przytem i panny z fraucymeru wzięły go w opiekę i pewnie duszy jego wyjść z ciała nie pozwolą, bo ciało młode, gładkie! — odpowiedział wesoło marszałek.

— Chwała Bogu! — zawołał król. — Słyszałem ja z ust jego coś, czego waszmościom nie powtórzę, bo mi się samemu zdaje, że się przestyszał, albo że on w delirium tak mówił, ale jeśli się to pokaże, dopiero waszmościowie będziecie się zdumiewać.

— Byle nic takiego nie było, — rzekł — coby waszę kr. mość zasępić mogło?

— Zgoła nic takiego! — rzekł król — owszem ucieszyło nas to niepomieranie, bo się okazuje, że ci nawet, których za największych nieprzyjaciół mieliśmy racyą uważać, krew w przygodzie za nas przelać gotowi.

— Miłościwy panie! — zakrzyknął pan marszałek — czas poprawy nadszedł, ale pod tym dachem wasza kr. mość między takimi się znajduje, którzy nigdy nawet i myślą przeciw jej majestatowi nie zgrzeszyli.

— Prawda, prawda! — odpowiedział król — a wy, panie marszałku, w pierwszym rzędzie!

— Sługam lichy waszej kr. mości!

Przy stole zwolna począł powstawać gwar coraz większy. Nastąpiły rozmowy o koniunkturach politycznych, o spodziewanej dotąd napróżno pomocy cesarza niemieckiego, o posiłkach tatarskich i przyszłej wojnie ze Szwedami. Nowa nastąpiła radość, gdy pan marszałek oświadczył, iż wysłany przez niego umyślnie poseł do chana, powrócił właśnie przed paroma dniami i sprawdził, że czterdzieści tysięcy ordy stoi w gotowości, a może być i sto, jak tylko król zjedzie do Lwowa i układ z chanem zawrze. Tenże sam poseł doniósł, że i Kozactwo pod grozą Tatarów nawróciło się do posłuszeństwa.

— O wszystkim myśleliście, panie marszałku, — rzekł król — tak, jak i my sami lepiejbyśmy nie myśleli!

Wtem porwał za kielich i zawołał:

-- Zdrowie pana marszałka koronnego, naszego gospodarza i przyjaciela!

— Nie może być, miłościwy panie! — krzyknął marszałek — niczyje tu zdrowie nie może być pierwiej pite od zdrowia waszej kr. mości!

Wszyscy powstrzymali do pół już wzniesione pu-hary, zaś Lubomirski rozradowany, spotniały, skinął na swego własnego marszałka-kredencera.

Na ten znak skoczyła służba, rojąca się po sali i poczęła rozlewać nanowo małmazyą, czerpaną złocemni konwiami ze szczero-srebrnej beczki. Ochota zaraz uczyniła się jeszcze większa i wszyscy czekali tylko na toast pana marszałka.

Mistrz-kredencierz przyniósł tymczasem dwa puhary z weneckiego kryształu, roboty tak cudnej, że za ósmy cud świata mogły uchodzić. Kryształ ich drażony i polerowany docienka może przez lata całe, rzucał iście dyamentowe blaski; nad oprawą pracowali mistrze włoscy. Podstawy były ze złota, rzeźbionego w drobne figurki, przedstawiające wjazd zwycięskiego wodza na Kapitol. Jechał więc wódz w rydwanie złocistym, po drodze moszczonej perełkami. Za nim szli jeńcy ze skrępowanemi rękoma; król jakiś w zawoju z jednego szmaragda uczynionym, dalej ciągnęli legioniści ze znakami i orłami. Przeszło pięćdziesiąt figurek mieściło się na każdej podstawie, drobniutkich, wzrostem na orzech laskowy, ale wyrobionych tak cudnie, że rysy twarzy i uczucia każdej mogłeś odgadnąć, dumę zwycięzców i pogniębienie zwyciężonych. Łączyły podstawę z kielichem filigrany złote, jako włosy cienkie, powyginane dziwnym kunsztem w liście winne, grona i rozmaite kwiaty. Owe filigrany wiły się naokoło kryształu, łącząc się w górze w jedno koło, rąbek puharu stanowiące, kamieniami o siedmiu kolorach sadzone.

Podał więc mistrz-kredencierz jeden taki puhar królowi, drugi panu marszałkowi, oba napełnione małmazyą. Wówczas powstali wszyscy ze swych miejsc a pan marszałek wniósł puhar i krzyknął, ile mu głosu w piersiach starczyło:

-- Vivat Joannes Casimirus Rex!

— Vivat! vivat! vivat!

W tej chwili znów huknęły działa, aż ściany zamkowe się zatrzęsły. Szlachta ucztująca w drugiej sali wpadła z kielichami; chciał pan marszałek perorować, nie było sposobu, bo słowa ginęły w ustawicznym krzyku: „Vivat! vivat! vivat!”

Marszałka taka opanowała radość, takie uniesienie, że aż dzikość błysnęła mu w oczach i wychyliwszy swój kielich, krzyknął tak, że nawet wśród powszechnego rozgardyaszu było go słyhać:

— Ego ultimus!...

To rzekłszy, palnął się owym bez ceny kielichem w głowę, aż kryształ rozprysnął się w setne okruchy, które z dźwiękiem upadły na podłogę, a skronie magnata krwią się oblały.

Zdumieli się wszyscy: król zaś rzekł:

— Panie marszałku, szkoda nam nie kielicha, ale głowy... Siła nam na niej zależy!

— Za nic mi skarby i klejnoty! — zawołał marszałek — gdy mam honor waszę kr. mość w domu moim przyjmować. Vivat Joannes Casimirus Rex!

Tu kredencarz podał mu drugi kielich.

— Vivat! vivat! vivat! — brzmiało ciągle i bez ustanku.

Dźwięk rozbijanego szkła mieszał się z okrzykami. Tylko biskupi nie poszli śladem marszałka, bo powaga duchowna broniła.

Lecz nuncyusz papieski, nie świadom owego zwyczaju tłuczenia szkła o głowy, pochylił się do siedzącego obok księdza biskupa poznańskiego i rzekł:

— Dla Boga! zdumienie mnie ogarnia .. Toż w skarbie waszym pustki, a za taki jeden kielich mo-

znaby dwa słuszne regimenty wojska wystawić i utrzymać!

— Tak u nas zawsze, — odrzekł, kiwając głową ksiądz biskup poznański — kiedy ochota w sercach wzbierze, to i miary w niczem niemasz.

Jakoż ochota coraz była większa. Przy końcu uczty jaskrawa łuna uderzyła w okna zamku.

— Coto jest? — spytał król.

— Miłościwy panie! Proszę na widowisko! — rzekł marszałek.

I chwiejąc się nieco, prowadził pana do okna. Tam cudny widok uderzył ich oczy. Dziedziniec oświetlony był jak w dzień. Kilkadziesiąt beczek ze smołą rzucało jasnożółte blaski na bruk, wyprzątnięty ze śniegu i wysypywany igłami świerków górskich. Gdzieś niedziedzie paliły się i kufy okowity, rzucające światło błękitne; do niektórych sól wsypywano, by świeciły czerwono.

Rozpoczęło się widowisko: najprzód ścinali rycerze głowy tureckie, gonili do pierścienia i ze sobą na ostre; potem psy liptowskie zażerały niedźwiedzia; potem góral jeden, rodzaj górskiego Samsona, rzucał kamieniem młyńskim i takowy w powietrzu chwycił. Północ położyła dopiero koniec tym zabawom.

Tak wystąpił pan marszałek koronny, chociaż Szwedzi byli jeszcze w kraju.

ROZDZIAŁ VII.

Wśród uczt i wśród natłoku zjeżdżających się coraz nowych dygnitarzy, szlachty i rycerstwa, nie zapomniał jednak dobry król o swym wiernym słudze, który w wąwozie górskim tak śmieie na miecze szwedzkie pierś nadstawił i na drugi dzień po przybyciu do Lubomli odwiedził rannego pana Andrzeja. Zastał go przytomnym i niemal wesołym, choć bladym, jak śmierć, gdyż szczęśliwym trafem młody junak żadnej ciężkiej rany nie otrzymał i tylko krwi z niego dużo uszło.

Na widok pana podniósł się nawet Kmicie na łożu i usiadł, a choć król począł nalegać, by się położył znowu, przecie nie chciał tego uczynić.

— Miłościwy panie, — rzekł — za parę dni już i na koń siędę i z waszą królewską mością, za łaskawem pozwoleniem, dalej pojedę, gdyż sam to czuję, że mi nie jest.

— Musieli cię przecie okrutnie poszczerbić.... Jakoż to niesłychana rzecz, ażeby jeden na tyłu uderzał.

-- Nieraz mi się już to trafiało, bo tak mniemam, że w złym razie szabla i rezolucya to grunt.... Ej, miłościwy panie! jużby tych szcerb, które na mojej

skórze przyschły i na wołowej nie zliczyć. Takie moje szczęście!

— Na szczęście nie narzekaj, bo widać leziesz naoślep tam, gdzie nietylko szczyrby, ale i śmierć rozdają. Od jakże to dawna wojenny proceder praktykujesz? Gdzieś się przedtem popisywałeś?

Przelotny rumieniec zabarwił bladą twarz pana Kmicica.

— Miłościwy panie! Jamto przecie Chowańskiego podchodził, gdy wszyscy już ręce opuścili i cena za moją głowę była naznaczona.

— Słuchajno, — rzekł nagle król — powiedziałeś mi dziwne słowo w owym wąwozie, alem myślał, że cię delirium chwyciło i rozum ci się pomieszał. Teraz znów mówisz, żeś to ty Chowańskiego podchodził. Ktoś ty jest? Zaliś ty naprawdę nie Babinicz? Wiadomo nam kto Chowańskiego podchodził!

Nastała chwila milczenia; wreszcie młody rycerz podniósł wynędzniałą twarz i rzekł:

— Tak jest, miłościwy panie!... Nie delirium przeze mnie mówi, jeno prawda; jamto Chowańskiego szarpał, od której wojny imię moje w całej Rzeczypospolitej zasłynęło... Jam jest Andrzej Kmicic, chorąży orszański...

Tu pan Kmicic przymknął oczy i bladł coraz więcej, lecz gdy król milczał zdumiony, tak dalej mówić począł:

— Jam, miłościwy panie, ów bannit, przez Boga i ludzkie sądy potępion za zabójstwa i swawolę, jam to Radziwiłłowi służył i wraz z nim ciebie, miłościwy panie i ojczyznę zdradził, a teraz rapierami skłóty, końskimi kopytami stratowan, podnieść się niemocen, biję

się w piersi, powtarzam: „mea culpa! mea culpa!“ i miłosierdzia twego ojcowskiego błagam... Przebacz mi, panie, bom sam własne dawne uczynki przeklął i z tej piekielnej drogi dawno nawrócił.

I łzy puściły się z oczu rycerza, a drżącemi rękoma począł szukać dłoni królewskiej. Jan Kazimierz zaś dłoni wprawdzie nie cofnął, lecz sposępniał i rzekł:

— Kto w tym kraju koronę nosi, niewyczerpaną winien mieć przebaczenia gotowość, przeto i tobie, zwłaszcza, żeś w Jasnejgórze i nam w drodze wiernie służył, a piersi nadstawiał, gotowiśmy winy odpuścić....

— Więc odpuść, miłościwy panie!.... Skróć moję mękę!

— Jednego tylko nie mogę ci zapomnieć, żeś wbrew cnocie tego narodu, podniesieniem ręki na majestat dotąd nieskalanej, ofiarował się księciu Bogusławowi porwać nas i żywych lub umarłych w szwedzkie ręce wydać!

Kmicic, choć przed chwilą sam mówił, że podnieść się niemocen, zerwał się z łoża, chwycił wiszący nad niem krucyfiks i z wypiekami na twarzy, z oczyma płonącemi gorączką, dysząc szybko, tak mówić począł:

— Na zbawienie duszy rodzica mego i mojej matki, na te rany Ukrzyżowanego, to nieprawda!... Jeśli do tego grzechu się poczuwam, niech Bóg mnie zaraz nagłą śmiercią i wiecznym ogniem ukarze. Panie mój, jeśli mi nie wierzysz, to zedrę owe bandaże, niech się krew moja wyleje, której reszty Szwedzi nie wypuścili. Nigdy się nie ofiarowałem. Nigdy taka myśl w głowie mojej nie powstała... Za królestwa świata tego nie byłbym nigdy podobnego uczynku się dopuścił.... Amen! na tym krzyżu, amen, amen!

I cały począł się trząść z uniesienia i gorączki,

— Więc książę zmyślił? — zapytał zdumiony król — dlaczego? poco?

— Tak, miłościwy panie, zmyślił... To jego pomsta piekielna na mnie za to, com mu uczynił.

— Cóżeś mu uczynił?

— Porwałem go zpośród jego dworu, zpośród wszystkiego wojska i chciałem związanego do nóg waszej kr. mości rzucić.

Król przeciągnął dłonią po czole.

— Dziw, dziw! — rzekł — wierzę ci, ale nie pojmuję. Jakżeto? Januszowi służyłeś, a Bogusława porywałeś, którego mniej zawinił i chciałeś go związanego do mnie przywozić?...

Kmicic chciał odpowiedzieć, lecz król spostrzegł w tej chwili bladość jego i zmęczenie, więc rzekł:

— Odpocznij, a później mów wszystko od początku. Wierzym ci, oto nasza ręka!

Kmicic przycisnął ją do ust i przez jakiś czas milczał, bo mu tchu brakło, patrzył tylko w oblicze pana z niezmierną miłością, lecz wreszcie zebrał siły i tak mówić począł:

— Opowiem wszystko od początku. Wojowałem z Chowańskim, ale i swoim byłem ciężki. W części musiałem ludzi krzywdzić i co mi było potrzeba brać, w części czyniłem to ze swawoli, bo się krew burzyła we mnie... Kompanionów miałem, godną szlachtę, ale nie lepszych ode mnie... Tu i owdzie kogoś się usiekło, tu i owdzie z dymem puściło... tu i owdzie batożkami po śniegu pogało... Wszczęły się hałasy. Gdzie jeszcze nieprzyjaciel nie dosięgnął, tam do sądów się udawano. Przegrywałem zaocznie. Wyroki zapadały jeden po

drugim, alem sobie z tego nic nie robił, jeszcze dyabeł mi pochlebiał i szeptał, żeby pana Łaszczę przewyższyć, którego wyrokami ferezyją sobie podbić kazał, a przecie sławion był i dotąd imię jego sławne.

— Bo pokutował i umarł pobożnie — zauważył król.

Kmicie spoczawszy nieco, tak dalej mówił:

— Tymczasem pan pułkownik Billewicz — wielki to ród na Żmudzi ci Billewicze — wyzuł znikomą postawę i na lepszy świat się przeniósł, a mnie wioskę i córkę zapisał. Nie dbam o wioskę, bo w ustawicznych podchodach pod nieprzyjaciela nie mało się złupiło i nietylko, żem zagarniętą przez inkursyą nieprzyjacielską fortunę restaurował, alem jej i przysporzył. Mam jeszcze w Częstochowie z tego tyle, że i dwie takie wioski mógłbym kupić i nikogo o chleb nie potrzebuję prosić... Gdy jednak partya mi się sterała, pojechałem na zimowe leże w laudańską stronę. Tam dziewczka nieboga tak mi do serca przywarła, żem o świecie bożym zapomniał. Cnota i uczciwość jest w tej pannie taka, że mi wstyd było wobec niej dawniejszych uczynków. Ona też do grzechu wrodzoną abominacją mając, poczęła nastawać, abym dawny żywot porzucił, hałasy uciszył, krzywdy nagroził i pocziwie żyć począł...

— I poszedłeś za jej radą?

— Gdzietam, miłościwy panie! Chciałem, co prawda, Bóg widzi, chciałem... Ale stare grzechy człowieka ścigają. Najprzód mi w Upicie żołnierzy poszarpano, za com miasto z dymem puścił...

— Na Boga! Toż to kryminał! — rzekł król.

— Nic to jeszcze, miłościwy panie! Potem mi kompanionów, godnych kawalerów, chociaż swawolni-

ków, laudańska szlachta wysiekła. Nie mogłem nie pomścić, więcem tej samej nocy zaścianek Butrymów napadł i ogniem i mieczem zabójstwo ukarałem... Ale mnie pobito, bo ich tam kupa szaraków siedzi. Musiałem się kryć. Dziewka już i patrzeć na mnie nie chciała, bo owi szaraczkowie byli jej ojcami i opiekunami, testamentem postanowionymi. A mnie serce tak do niej ciągnęło, że choć ty łbem tłócz! Nie mogąc bez niej żyć, zebrałem nową partyą i zbrojną ręką ją wziąłem.

— Bogdaj cię!... I Tatar inaczej w zaloty nie chodzi!

— Hultajska to była sprawa, przyznaję. To też mnie Bóg przez ręce pana Wołodyjowskiego pokarał, który zebrawszy owę szlachtę, dziewczkę mi wydarł, a samego usiekł, tak, że ledwiem tam duszy nie wypuścił. Stokroćbyto lepiej było dla mnie, bo nie byłbym się z Radziwiłłem sprzął ku zgubie majestatu i ojczyzny. Ale jak mogło być inaczej? Wszczął się nowy proces... Kryminał, gardłowa sprawa. Sam już nie wiedziałem co czynić, gdy nagle wojewoda wileński przyszedł mi z pomocą.

— On cię osłonił?

— On mi list zapowiedni przez tegoż pana Wołodyjowskiego przysłał, a przez to pod inkwizycją hetmańską poszedłem i sądów mogłem się nie bać. Chwyciłem się tedy wojewody, jako deski zbawienia. Wnel postawiłem na nogi chorągiew z samych zabijaków, na całą Litwę znanych. Lepszej we wszystkim wojsku nie było... Poprowadziłem ją do Kiejdan. Tam Radziwiłł jak syna mnie przyjął, pokrewieństwo przez Kiszków przypomniał i osłonić obiecał. Miał już swoje widoki... Trzeba mu było rezolutów na wszystko go-

towych, a ja, prostak, jako na lep lażłem. Nim jego zamysły wyszły na wierzch, kazał mi na krucyfiksie poprzyśiąc, że go nie opuszczę w żadnym terminie. Myśląc, że o wojnę ze Szwedami, albo z septentriionami chodzi, przysięgłem chętnie. Aż nastąpiła owa uczta straszna, na której ugodę kiejdańską podpisano. Zdrada okazała się jawnie. Inni pułkownicy buławy hetmanowi pod nogi ciskali, a mnie przysięga, jako psa łańcuch, trzymała i nie mogłem go odstąpić...

— Alboż nie przysięgli na wierność nam ci wszyscy, którzy nas potem odstąpili?... — rzekł ze smutkiem król.

— Ja też, choć buławy nie rzuciłem, nie chciałem w zdradzie rąk maczać. Com wycierpiał, miłościwy panie, Bóg jeden wie. Wiłem się z boleści, jakby mnie żywym ogniem palono, bo i dziewczka moja, chociaż już po owym rapcie traktat między nami stanął, teraz mnie zdrajcą okrzyknęła, jako plugawym gadem pogardziła... A jam przysięgł, jam przysięgł nie opuszczać Radziwiłła... O! ona, miłościwy panie, choć niewiasta, rozumem męża zawstydzi, a w wierności dla waszej kr. mości nikomu nie da się wyprzedzić!

— Boże jej błogosław! — rzekł król. — Za to ją kocham!

— Ona myślała, że mnie na partyzanta majestatu i ojczyzny przerobi, a gdy na nic poszła ta robota, wtedy tak się na mnie zawzięła, że ile było dawniej afektu, tyle nienawiści powstało. Tymczasem Radziwiłł zawołał mnie przed siebie i jął przekonywać. Wyłuszczył mi jako dwa a dwa cztery, że dobrze uczynił, że w ten tylko sposób mógł ojczyznę upadającą ratować. Nawet i nie potrafię powtórzyć jego racyj, tak były wielkie,

taką szczęśliwość ojczyźnie obiecywały! Stokroć mędrszego byłby przekonał, a cóż dopiero mnie, prostaka, żołnierza, on, taki statysta! To mówię waszej królewskiej mości, żem się go chwycił obu rękoma i sercem, bom myślał, że wszyscy ślepi, tylko on jeden prawdę widzi, wszyscy grzeszni, jeno on jeden zacny. I byłbym za niego w ogień skoczył, jako teraz za waszą królewską mość, bo ni przez pół służyć, ni przez pół miłować nie umiem...

— Widzę, że to tak jest! — zauważył Jan Kazimierz.

— Posługi oddałem mu znaczne, — mówił ponuro Kmicic — i to mogę rzec, że gdyby nie ja, toby i owa zdrada żadnych fruktów jadowitych wydać nie mogła, bo jego własne wojsko na szablachby go rozniosło. Już się do tego miało. Już szli dragoni i węgierskie piechoty i lekkie znaki, już jego szkotów na szable brali, gdym ja skoczył z mymi ludźmi i starłem ich w mgnieniu oka. Ale zostały inne chorągwie na konsystencyach stojące. I te znosiłem. Jeden pan Wołodyjowski z więzienia się wydobył i swoich laudańskich ludzi na Podlasie cudem i nadludzką rezolucją wywiódł, aby się z panem Sapięą połączyć. Niedobitkowie zebrali się tam w znacznej liczbie, ale co przedtem dobrych żołnierzy zginęło za moją przyczyną — Bóg jeden zliczy. Jako na spowiedzi prawdę wyznaję... Pan Wołodyjowski w przejściu na Podlasie samego mnie pochwyił i żywić nie chciał. Ledwie z jego rąk wyszedł, za przyczyną listów, które przy mnie znaleźli, a z których okazało się, że gdy jeszcze był w więzieniu i gdy książę chciał go rozstrzelać, tom ja za nim instancją natarczywie wnosił.

Puścił mnie tedy wolno, ja zaś wróciłem do Radziwiłła i służyłem dalej. Ale już mi gorzko było, już się dusza we mnie na niektóre uczynki księcia wzdrygała, bo niemasz w nim ani wiary, ani uczciwości, ani sumienia, a ze słowa własnego tyle sobie robi, ile król szwedzki. Począłem mu tedy skakać do oczu. On też burzył się przeciw mej zuchwałości. Nakoniec mnie z listami wyprawił...

— Dziw, jak ważne rzeczy mówisz — rzekł król. — Przynajmniej raz wiemy od naocznego świadka, który *pars magna fuit*, jak się to tam odbyło...

— Prawda, że *pars magna fui* — odpowiedział Kmicic. — Ruszyłem z listami ochotnie, bom już nie mógł na miejscu usiedzieć. W Pilwiszkach napotkałem księcia Bogusława. Bodaj go Bóg wydał w moje ręce, do czego wszystkich sił przyłożę, aby go za onę potwarz pomsta moja nie minęła! Nietylko, żem mu się z niczem nie ofiarował, miłościwy panie, nietylko to jest łgarstwo bezecne, alem się właśnie tam nawrócił, naga całą bezecność tych heretyków ujrzawszy.

— Powiadaj żywo, jakto było, bo nam tu przedstawiano, jakoby książę Bogusław z musu jeno bratu sekundował.

— On, miłościwy panie? On gorszy od Janusza, a w czyjej się głowie najprzód zdrada wylęła? Czy nie on pierwszy księcia hetmana skusił, koronę mu ukazując? Bóg to na sądzie rozstrzygnie. Tamten przynajmniej symulował i *bono publico* się zastaniał, Bogusław zaś, wzięwszy mnie za arcyszelmę, całą duszę mi odkrył. Strach powtarzać, co mi rzekł... „Rzeczpospolitą waszę (powiada) dyabli muszą wziąć, ale to postaw czerwonego sukna, my zaś nietylko do ratunku ręki nie przy-

łożym, lecz jeszcze ciągnąć będziem, by nam się najwięcej w garści zostało... Litwa nam (powiada) musi zostać, a po bracie Januszu ja czapkę wielkoksiażęcą wdzieję, z jego się córką ożeniwszy“.

Król zasłonił sobie oczy.

— Męko pana naszego! — rzekł. — Radziwiłłowie, Radziejowski, Opaliński... Jakże się nie miało stać, co się stało... Korony im było trzeba, choćby rozerwać to, co Bóg złączył...

— Zdrętwiałem i ja, miłościwy panie! Wodęm na łeb lał, by nie oszaleć. Ale się dusza zmieniła we mnie w jednej chwili, jakoby w nią piorun trzasł... Sam się roboty własnej przelałem. Nie wiedziałem co czynić... Czy Bogusława, czy siebie nożem pchnąć?... Ryczałem jak dziki zwierz, bo w taką matnię mnie zapędzono!... Już nie służby dalszej u Radziwiłłów, lecz pomsty pragnąłem... Bóg nagle dał mi myśl: poszedłem z kilku ludźmi do kwatery księcia Bogusława, wywiodłem go za miasto, porwałem za łeb i do konfederatów chciałem wieść, by się do nich i do służby waszej kr. mości wkupić za cenę jego głowy.

— Wszystko ci przebaczam! — krzyknął król — bo cię obłąkali, aleś im wypłacił! Jeden Kmicic mógł się na to zdobyć, nikt więcej. Wszystko ci za to przebaczam i z serca odpuszczam, jeno powiadaj żywo, bo mnie ciekawość pali: wyrwał się?...

— Przy pierwszej stacyi wyrwał mi króciwę z pasa... i w gębę strzelił... Ot! ta blizna... Ludzi moich pobił sam jeden i uszedł... Rycerz to znamienity... trudno przeczyć; ale się spotkamy jeszcze, choćby to miała być ostatnia moja godzina!...

Tu Kmicic jął szarpać kołdrę, którą był okryty, lecz król przerwał prędko:

— I przez zemstę wymyślił na ciebie ów list?

— I przez zemstę przysłał ten list. Z rany się w lesie podgoiłem, ale dusza gorzej bolała... Do Wołodyjowskiego, do konfederatów, nie mogłem już iść, bo laudańscy na szablachby mnie roznieśli... Wszelako wiedząc, że książę hetman ma przeciw nim ciągnąć, ostrzegłem ich, by się kupy trzymali. I to był pierwszy mój dobry uczynek, bo inaczej byłby ich Radziwiłł chorągiew po chorągwi wygniół, a teraz oni jego zmagli i w oblężeniu, jak słyszę, trzymają. Niechże im Bóg pomaga, a na niego karę zesze, amen!

— Może już się to stało, a jeśli nie, to stanie się pewnie — rzekł król. — Cóżes dalej robił?

— Postanowiłem, nie mogąc u konfederatów waszej kr. mości służyć, do osoby jego się dostać i tam wiernością dawne winy odpokutować. Ale jakże miałem iść? Ktoby Kmicica przyjął? ktoby mu uwierzył? ktoby go zdracą nie zakrzyknął? Więcem Babinicza imię przybrał i całą Rzeczpospolitą przejechawszy, do Częstochowy się dostałem. Czylim tam jakie zasługi położył, niech ksiądz Kordecki zaświadczy. Dniem i nocą myślałem tylko o tem, by szkody ojczyźnie nagrodzić, krew za nią wylać, samemu do sławy i uczciwości powrócić. Resztę już, miłościwy panie, wiesz, boś na nią patrzył. A jeśli ojcowskie dobrotliwe serce do tego cię skłania, jeśli ona nowa służba dawne grzechy przeważyła, albo choć zrównała, to przyjm mnie, panie, do łaski swej i do serca, bo mnie wszyscy odstąpili, bo nikt mnie nie pocieszy prócz ciebie... Ty, panie, jeden widzisz mój żal i moje łzy!... Jam bannit, jam

zdrajca, jam krzywoprzysięzca, a przecie, panie, ja miłuję tę ojczyznę i twój majestat... i Bóg widzi, że chcę służyć wam obojgu!

Tu łązy rzewne puściły się z oczu junaka i aż zanosił się z płaczem, a król, ojciec dobrotliwy, chwycił go za głowę, począł całować w czoło i pocieszać:

— Jędrak! takiś mi miły, jako syn rodzony... Com ci mówił? Żeś zgrzeszył w zaślepieniu, a iluż grzeszy z rozmysłem?... Z serca odpuszczam ci wszystko, boś już winy zmaszał. Uspokój się, Jędrak! Niejeden radby się takimi zasługami, jako są twoje, poszczycić... Boga mi! I ja odpuszczam i ojczyzna odpuszcza, jeszcze ci dłużni będziemy! Przestań lamentować.

— Bóg niech waszej kr. mości da wszystko dobre za takową kompasją! — mówił ze łzami rycerz. — Przecie ja i tak jeszcze, miłościwy panie, muszę odpokutować na tamtym świecie za onę przysięgę Radziwiłłowi daną, bo chociażem nie wiedział na com przysięgał, przecie przysięga przysięgą.

— Nie potępi cię Bóg za nią, — odrzekł król — bo musiałby chyba pół Rzeczypospolitej do piekła wysłać, tych wszystkich mianowicie, którzy nam wiarę złamali.

— Myslę i ja, miłościwy królu, że do piekła nie pójdę, bo mi za to i ksiądz Kordecki zaręczał, choć nie był pewien, czy mnie i czyściec minie. Ciężkato rzecz z jakie sto lat się prażyć... No! ale niechby tam już! Siła człek zniesie, gdy mu nadzieja zbawienia świeci, a przytem i modlitwy mogą coś wskórać i mękę skrócić.

— Jeno się nie troskaj! — rzecze Jan Kazimierz. — Wyrobię ja to u samego nuncyusza, by

mszę na twoją intencją odprawił... Przy takich promocyach nie stanie ci się wielka krzywda.... Ufaj w miłosierdzie Boże!

Kmicie uśmiechnął się już przez łzy.

— Jeszcze też! — rzekł — da Bóg do sił wrócić, to się i z niejednego Szweda duszę wyłusknie, a przez to nietylko w niebie będzie zasługa, ale się i ziemską reputacją poprawi.

— Bądź dobrej myśli i o sławę doczesną się wcale nie turbuj. Ja w tem, by cię nie ominęło, co należy. Przyjdą spokojniejsze czasy, sam będę zasługi twe promulgował, które już są niemałe, a pewno będą jeszcze większe. I na sejmie, da Bóg, owę materyą każę poruszyć, a tak do czci powrócon być musisz.

— Bo to, mój miłościwy panie i ojczec, niech się jeno uspokoi trochę, albo i przedtem jeszcze, sądy mnie będą szarpały, od czego mnie i powaga w. kr. mości osłonić nie zdoła. Ale już mniejsza z tem!... Nie dam się, dopóki pary w nozdrzach, a szabli w garści... Jeno mi o tę dziewczkę chodzi. Oleńka jej na imię, miłościwy panie! Oj, siła czasu się jej nie widziało! Oj, siła przecierpiało się bez niej i przez nią, a choć człek sobie czasem chce ją wybić z serca i z afektem jako z niedźwiedziem się boryka, na nic to, bo taki syn, nie puszcza!

Jan Kazimierz rozśmiał się wesoło i dobrotliwie.

— Cóż ja ci na to, nieboże, poradzę?

— Któż poradzi, jeśli nie wasza kr. mość?! Zabitą to regalistką z tej dziewczki i nigdy mi ona moich kiejdańskich uczynków nie daruje, chybabyś w. kr. mość sam instancją wniósł za mną i dał mi świadectwo, jakom się odmienił i do służby majestatu

i ojczyzny powrócił, nie przymuszony, chlebami żandnemi nie skaptowany, ale z własnej woli i skruchy.

— Jeślić o to chodzi, to i ja instancją wniosę, a jeśli ona taka regalistka, jako powiadasz, to i instancja powinna być skuteczna. Byle tylko dziewczka wolna była i byle ją zła jakowa przygoda, jakto w czasie wojennym często się trafia, nie spotkała...

— Anieli ją ustrzegą!

— Bo tego i warta. Żeby cię zaś sądy nie szarpały, uczynisz tak: będą teraz na gwałt iść zaciągi; skoro, jak mówisz, bezecność na tobie ciąży, nie mogę ci dać listu zapowiedniego jako Kmnicicowi, ale dam ci list jako Babiniczowi; będziesz zaciągał i ty, co i na pożytek ojczyźnie wyjdzie, boś widać żołnierz ognisty i doświadczony... Ruszysz w pole pod panem kasztelanem kijowskim; pod nim o śmierć najłatwiej, ale i o okazyą do sławy najłatwiej. A zajdzie potrzeba, to i na swoją rękę zaczniesz Szwedów podchodzić, jakoś Chowańskiego podchodził. Twoje nawrócenie i dobre uczynki poczęły się od tego, żeś się Babiniczem przezwiał... Zwijże się tak i dalej, to i sądy ostawią cię w spokoju. A gdy jak słońce zajaśniejesz, gdy o twoich zasługach w całej Rzeczypospolitej będzie głośno, wtedy niech się ludzie dowiedzą, kto jest ów przesławny kawaler. Jaki taki zawstydzi się wówczas tak wielkiego rycerza przed sądy ciągać... Przez ten czas drudzy poginą, trzecich załagodzisz... Nie mało i aktów się zawieruszy, a ja ci to jeszcze raz przyrzekam, że zasługi twoje pod niebo wyniosę i sejmowi do nagrody przedstawię, boś w moich oczach już wart tego.

— Miłościwy, panie!... Czym ja na tyle łaski zasłużył?

— Więcej, niż niejeden, który myśli, że ma do niej prawo. No, no! nie frasujże się, miły regalisto, bo tak ufam, że i regalistka cię nie minie, a da Bóg, to mi wkrótce więcej jeszcze regalistów przysporzycie...

Kmicic, choć chory, zerwał się nagle z łoża i padł jak długi do nóg królewskich.

— Na Boga! co czynisz? — zawołał król. — Krew cię ujdzie! Jędre!... Bywajno tu kto!

Wpadł sam marszałek, który oddawna już po zamku króla szukał.

— Święty Jerzy! patronie mój, co widzę?! — krzyknął, spostrzegłszy króla, dzwigającego własnem rękoma Kmicica.

— To pan Babinicz, najmilszy mój żołnierz i najwierniejszy sługa, który mi wczoraj życie ocalił — rzekł król. — Pomóżcie, panie marszałku, dzwignąć mi go na łożo...

ROZDZIAŁ VIII.

Z Lubomli jechał król do Dukli, Krosna, Łańcuta i Lwowa, mając przy boku pana marszałka koronnego, wielu biskupów, dygnitarzy i senatorów, wraz z nadwornymi chorągwiami i pocztami. A jako rzeka potężna, płynąc przez kraj, wszystkie pomniejsze wody w siebie zabiera, tak i do orszaku królewskiego przybywały co chwila nowe zastępy. Cisnęli się więc panowie i szlachta zbrojna i żołnierze, to pojedynczo, to kupami i gromady zbrojnego chłopstwa, szczególną ku Szwedom pałającego zawziętością.

Już ruch stawał się powszechny, już i ład wojenny poczęto do niego wprowadzać. Pojawiły się groźne uniwersały, datowane z Sącza: jeden Konstantego Lubomirskiego, marszałka koła rycerskiego; drugi Jana Wielopolskiego, kasztelana wojnickiego: oba wzywające szlachtę w województwie krakowskiem do pospolitego ruszenia. Wiedziano już, koło kogo się kupić; niestawiającym się zaś groziły kary wedle pospolitego prawa. Uniwersał królewski dopełnił onych wezwań i najleniwszych postawił na nogi.

Lecz nie potrzeba było gróźb, albowiem zapał niezmierny ogarnął wszystkie stany. Siadali na koń

starcy i dzieci. Niewiasty oddawały klejnoty, stroje; niektóre same rwały się do boju.

W kuźniach Cygani przez noce i dnie całe bili młotami, przekuwając na oręż niewinne narzędzia oraczów. Wsie i miasta opustoszały, bo mężowie wyciągnęli w pole. Z niebotycznych gór sypały się dzień i noc gromady dzikiego ludu. Siły króla rosły z każdą chwilą.

Naprzeciwko jego osoby wychodzili duchowni z krzyżami i chorągwiami, kahały żydowskie z rabinami; pochód jego był do niezmiernego tryumfu podobny. Zewsząd nadlatywały najlepsze wieści, jakby je wiatr przywiewał.

Nietylko w tej części kraju, której najście nieprzyjaciół nie zagarnęło, rwano się do broni. Wszędy, w najodleglejszych ziemiach i powiatach, po grodach, wsiach, osadach, niedostępnych puszczech, podnosiła płomienną głowę straszliwa wojna pomsty i odwetu. Im niżej poprzednio upadł naród, tem wyżej teraz podnosił głowę, przeradzał się, ducha zmieniał i w uniesieniu nie wahał się nawet własnych, zaskorupiałych ran rozrywać, by krew swą od zatrutych soków uwolnić.

Już też i coraz głośniej mówiono o potężnym związku szlachty i wojska, na czele którego mieli stanąć: stary hetman wielki, Rewera Potocki i polny Lanckoroński, wojewoda ruski i pan Stefan Czarniecki, kasztelan kijowski i pan Paweł Sapieha, wojewoda witebski i książę krajczy litewski Michał Radziwiłł, pan możny, a niesławę, jaką na ród ściągnął Janusz, zażrzeć pragnący i pan Krzysztof Tyszkiewicz, wojewoda czernihowski i wielu innych senatorów i urzędników ziemskich i wojskowych i szlachty.

Listy latały codzień pomiędzy owymi panami, a panem marszałkiem koronnym, który nie chciał, aby tak znamienity związek bez niego się zawiązywał. Wieści przychodziły coraz pewniejsze, aż nakoniec rozebrzmiała wieść już pewna, że hetmani, a z nimi wojsko porzucili Szweda i że dla obrony majestatu i ojczyzny stanęła konfederacya Tyszowiecka.

Król także pierwiej o niej wiedział, bo oboje z królową, choć zdala będąc, niemało się nad jej związaniem przez posły i listy napracowali; jednakże nie mogąc w niej brać osobistego udziału, niecierpliwie teraz nadejścia jej tenoru wyglądał. Jakoż zanim dojechał do Lwowa, przybyli doń pan Służewski i pan Domaszewski z Domaszewnicy, sędzia łukowski, przywołując mu zapewnienia służb i wierności od konfederatów i akt związku do roborowania.

Czytał tedy król ów akt na walnej radzie z biskupami i senatorami. Serca wszystkich napełniały się radością, dusze uniosły się w podzięcie do Boga, bo owa wiekopomna konfederacya zwiastowała nietylko opamiętanie się, ale i odmianę tego narodu, o którym niedawno jeszcze mógł obcy najeźdnik powiedzieć, że nie masz w nim wiary, ani miłości do ojczyzny, ani sumienia, ani ładu, ani wytrwania, ani żadnej z tych cnót, któremi stoją państwa i narody.

Świadectwo tych wszystkich cnót leżało teraz przed królem w postaci aktu konfederacyi i jej uniwersału. Przywodzono w nim wiarołomstwo Karola Gustawa, łamanie przysiąg i obietnic, okrucieństwa generałów i żołnierzy, przez najdziksze narody nawet niepraktykowane, bezczeszczenie kościołów, ucisk, zdzierstwa, rabunki, przelewanie krwi niewinnej i wypowia-

dano wojnę na śmierć i życie skandynawskim najezdnikom. Uniwersał, groźny jak trąba archaniola, zwoływał pospolite ruszenie nie tylko rycerstwa, ale wszystkich stanów i ludów Rzeczypospolitej. „Nawet *infames*, wszyscy, (mówił uniwersał) *banniti* i *proscripti* iść na tę wojnę powinni“. Rycerstwo miało na koń siadać, własnych piersi nadstawiać i z łanów żołnierzy pieszych dostarczyć, możniejszy więcej, biedniejszy mniej, wedle możliwości i sił.

„Ponieważ w tem państwie *aeque bona* i *mala* do wszystkich należą, więc i niebezpieczeństwa wszystkim podzielić się godzi. Ktokolwiek mieni się być szlachcicem, osiadły lub nieosiadły, by też i najwięcej u jednego szlachcica synów było, na tę wojnę przeciw nieprzyjacielowi Rzeczypospolitej iść powinni. Gdyż jako wszyscy niższego i wyższego urodzenia, szlachtą będąc, *ad omnes prerogativas* urzędów, dostojęństw i dobrodziejstw ojczystych jesteście *capaces*, tak w tem *aequales* sobie będziemy, że na obronę tych ojczystych swobód i *beneficiorum* zarówno osobami swemi pójdziemy...“

Takto ów uniwersał równość szlachecką rozumiał. Król, biskupi i senatorowie, którzy zdawna się już w sercach z myślą naprawy Rzeczypospolitej nosili, przekonali się ze zdumieniem radosnem, że i naród do owej naprawy dojrzał, że gotów wstąpić na nowe drogi, zetrzeć rdzę i pleśń z siebie i nowe, wspianiałe rozpocząć życie.

„Otwieramy przytem (brzmiał uniwersał) *benemerendi in Republica* plac każdemu *plebejæ conditionis*, ukazujemy i ofiarujemy wedle tego związku naszego okazywać przystępu i nabycia honorów, prerogatyw i *beneficiorum*, któremi *gaudet* stan szlachecki...“

Gdy na radzie królewskiej odczytano ten ustęp, zapadło aż milczenie głębokie. Ci, którzy wraz z królem pragnęli najmocniej, aby przystęp do praw szlacheckich został ludziom niższych stanów otworzony, mniemali, że niemało im przewalczyć, przecierpieć i nalać się przyjdzie, że lata całe upłyną, nim z czemś podobnem odezwać się będzie bezpiecznie, tymczasem sama owa szlachta, tak dotąd o swe prerogatywy zazdrosna, tak pozornie nieużyta, otwierała na roścież wrota szarym gromadom knieciom.

Wstał książę prymas, owiany jakoby duchem proroczym i rzekł:

— Iżście owo *punctum* zamieścili, potomni tę konfederacyą po wiek wieków wystawiać będą, a gdy kto zechce czasy owe, za czasy upadku staropolskiej cnoty uważać, tedy mu na was, przecząc, pokażą.

Książę Gębicki był chory, więc mówić nie mógł, tylko ręką trzęsącą się ze wzruszenia, żegnał akt i posłów.

— Już widzę nieprzyjaciela, ze wstydem z tych ziem uchodzącego! — rzekł król.

— Daj Boże najprędzej!... — zakrzyknęli obaj wysłańcy.

— Waszmościowie pojedziecie z nami do Lwowa, — ozwał się znów król — gdzie zaraz owę konfederacyą roborować będziemy, a przytem i innej zawrzeć nie omieszkamy, której same potęgi piekielne przemóc nie zdołają.

Spojrzeni na to po sobie wysłańcy i senatorowie, jakby pytając się wzajem, o jakąto potęgę chodzi, lecz król milczał, tylko mu twarz promieniała coraz bar-

dziej; wziął znowu akt do ręki i znów czytał i uśmiechał się, nagle rzekł:

— Siła też było oponentów?

— Miłościwy panie, — odpowiedział pan Domaszewski — *unanimitate* ta konfederacja powstała za przyczyną ichność panów hetmanów, pana wojewody witebskiego i pana Czarnieckiego, a ze szlachty żaden głos się nie przeciwiał, tak się wszyscy na Szwedów rozjedli i takim afektem dla ojczyzny i majestatu zapłonęli.

— Zgóryśmy przytem uradzili, — dodał pan Słuzewski — że to nie ma być sejm, jeno *pluralitas* ma stanowić, więc niczyje *veto* nie mogło sprawy popsować, jeno oponenta bylibyśmy na szablach roznieśli. Wszyscy też powiadali, że trzeba z onem *liberum veto* skończyć, bo to jednemu wola, a wielu niewola.

— Złote słowa waszmości! — rzekł ksiądz prymas. — Niech jeno poprawa Rzeczypospolitej nastąpi, a nie ustraszysz nas żaden nieprzyjaciel.

— A gdzie jest wojewoda witebski? — pytał król.

— Jeszcze na noc po podpisaniu aktu do swego wojska odjechał pod Tykocin, w którym księcia wojewodę wileńskiego, zdrajcę, w oblężeniu trzyma. Do tej pory musiał go już dostać żywego albo umarłego.

— Także był pewien, że go dostanie?

— Tak był pewien, jako, że po dniu noc nastąpi. Wszyscy, nawet najwierniejsi słudzy już zdrajcę opuścili. Broni się tam tylko garść Szwedów, ale nieznamna, a posiłki znikąd przyjść nie mogą. Powiadał pan Sapiaha w Tyszowcach tak: „Chciałem się jeden dzień spóźnić, bo byłbym do wieczora z Radziwiłłem skończył!... Ale to pilniejsza sprawa, niż Radziwiłł, gdyż

jego i beze mnie mogą dostać, dość będzie jednej chorągwi“.

— Chwała Bogu! — rzekł król. — A gdzie pan Czarniecki?

— Tyle się do niego szlachty, co najśluszniej-szych kawalerów sypnęło, że w jeden dzień na czele grzecznej chorągwi stanął. Zaraz też na Szwedów ruszył, a gdzieby teraz był, nie wiemy.

— A ichmość panowie hetmani?

— Ichmość panowie hetmani pilno czekają rozkazów waszej królewskiej mości, obaj zaś radzą nad przyszłą wojną i z panem starostą kałuskim w Zamościu się znoszą, a tymczasem codzień pułki ku nim razem ze śniegiem walą.

— Takżeto wszyscy Szweda porzucają?

— Tak jest, miłościwy panie! Byli też u ichmość panów hetmanów deputaci z wojska pana Koniecpolskiego, które jest przy osobie Carolusa Gustawa. I ci pono radziby już wrócić do prawej służby, choć im tam Carolus obietnic, ni pieszczot nie szczędzi. Mówili też, że choć teraz nie mogą zaraz *recedere*, przecie to uczynią, jak się tylko dogodna pora zdarzy, bo się już im sprzykrzyły i uczyły i jego pieszczoty i mróganie oczami i rąk klaskanie. Ledwie już wytrzymać mogą.

— Zewsząd opamiętanie, zewsząd dobre wieści — rzekł król. — Chwała Pannie Najświętszej!... Dzień to najszczęśliwszy mego życia, a drugi taki nastąpi chyba wówczas, gdy ostatni nieprzyjacielski żołnierz wyjdzie z granic Rzeczypospolitej.

Na to pan Domaszewski uderzył się po szerpentynie.

— Nie daj Bóg, aby się to stało! — rzekł.

— Jakto? — spytał ze zdumieniem król.

— Żeby ostatni pludrak na własnych nogach wyszedł z granic Rzeczypospolitej? Nie może być, miłościwy panie! A od czego mamy szable przy bokach?

— Bodaj waści! — rzekł rozweselony pan. — To mi fantazyja!

Lecz pan Służewski, nie chcąc pozostać w tyle za panem Domaszewskim, zawołał:

— Jako żywo, niema na to zgody i pierwszy veto położę. Nie będziem się ich wyjściem kontentować, ale za nimi pójdziemy!

Ksiądz prymas począł głową kręcić i śmiać się dobrotliwie:

— Oj! siadła szlachta na koń i jedzie, jedzie! Boże wam błogostaw, ale powoli, powoli! Jeszcze ten nieprzyjaciel w granicach!

— Nie długo mu już! — zakrzyknęli obaj konfederaci.

— Duch się odmienił i fortuna się odmieni — rzekł osłabionym głosem ksiądz Gębicki.

— Wina! — zawołał król. — Niechże się na odmianę z konfederatami napiję!

Przyniesiono wina, lecz wraz z pachółkami, którzy je wnieśli, wszedł starszy pokojowiec królewski i rzekł:

— Miłościwy panie, przyjechał pan Krzyżtoporski z Częstochowy i pragnie się waszej królewskiej mości pokłonić.

— Dawaj go żywcem! — zawołał król.

Po chwili wszedł wysoki, chudy szlachcic, patrzący jak kozioł z podoła. Skłonił się najprzód panu do nóg, potem dość hardo dygnitarzom i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odpowiedział król. —

Co tam słyhać?

— Mróz okrutny, miłościwy panie, aże powieki do jagód przymarzają!

— Dla Boga! o Szwedach waść powiadaj, nie o mrozie! — zawołał Jan Kazimierz.

— A co o nich i gadać, miłościwy panie, kiedy ich pod Częstochową niema! — odrzekł rubasznie pan Krzyżtoporski.

— Doszły już nas te wieści, doszły, — odparł uradowany król — ale tylko z ludzkiego gadania, a wy z samego klasztoru pewnie jedziecie... Naoczny świadek i obrońca?

— Tak jest, miłościwy panie, uczestnik obrony i naoczny świadek cudów Najświętszej Panny...

— Nie tu granica Jej łask! — rzekł król, wznosząc oczy ku niebu — jeno zasłużmy na dalsze...

— Siła w życiu widziałem, — odpowiedział Krzyżtoporski — ale takich widomych cudów nie widziałem, o czem dokładniejszą relacją zdaje waszej kr. mości ksiądz Kordecki w tem piśmie.

Jan Kazimierz chwycił skwapliwie za list, który mu Krzyżtoporski podawał i począł czytać. Chwilami przerywał czytanie i począł się modlić, to znów wracał do listu. Twarz mieniła mu się radosnymi uczuciami; nakoniec podniósł znów oczy na Krzyżtoporskiego:

— Pisze mi ksiądz Kordecki, — rzekł — iżeście wielkiego kawalera stracili, niejakiego Babinicza, który kolubrynę szwedzką prochami rozsadził?

— Onże się za wszystkich ofiarował, miłościwy panie! Ale są też tacy, którzy mówili, że żyje i Bóg wie

co powiadali; nie mając pewności, przecieśmy go nie przestali opłakiwać, bo gdyby nie jego kawalerski postępek, ciężkoby nam było dać sobie rady...

— Jeśli tak, to przestańcie go opłakiwać: pan Babinicz żywie i jest u nas. Onto pierwszy dał nam znać, że Szwedzi, nie mogąc nic przeciw mocy Boskiej wskórać, o odstąpieniu zamyślają... A potem tak nam znaczne oddał przysługi, iż sami nie wiemy, jak go wynagrodzić.

— O, to się ksiądz Kordecki ucieszy! — zawołał z radością szlachcic — ale jeśli pan Babinicz żywie, to chyba szczególniejsze u Najświętszej Panny ma łaski... To się ksiądz Kordecki ucieszy! Ojciec syna nie może tak miłować, jako on jego miłował! A i mnie pozwoli wasza kr. mość pana Babinicza powitać, gdyż takiego drugiego rezoluta niemasz w Rzeczypospolitej!

Lecz król począł znowu czytać i po chwili zawołał:

— Co słyszę! To jeszcze raz po ustąpieniu próbowali klasztor podejść?

— Müller jak odszedł, tak się i nie pokazał więcej, jeno Wrzeszczowicz zjawił się znów niespodzianie pod murami, dufając w to widocznie, że bramy zastanie otwarte. Jakoż i zastał, ale się chłopstwo tak zaciekle na niego rzuciło, że zaraz sromotnie tył podał. Jak świat światem, nie było tego, żeby prostactwo tak mężnie w gołym polu jeździe stawało. Potem też nadciągnął pan Piotr Czarniecki z panem Kuleszą, którzy doszczętu go znieśli.

Król zwrócił się do senatorów:

— Patrzcie wasze uprzejmości, jako nędzni oracze w obronie tej ojczyzny i świętej wiary stawają!

— Że stawają, miłośnicy panie, to stawają! — zawołał Krzyżtoporski. — Całe wsie wedle Częstochowy puste, bo chłopstwo z kosami w polu. Wojna wszędy okrutna; Szwedzi muszą się kupami trzymać, a złapieli chłopstwo którego, to tak nad nim wydziwia, że lepiejby mu odrazu iść do piekła. Kto tam wreszcie teraz w tej Rzeczypospolitej za oręż nie chwyta! Nie było psu bratom Częstochowy oblegać... Od tego czasu nie siedzieć im w tej ziemi!

— Od tego czasu nie będą w tej ziemi ucisku znosić ci, którzy krwią się oponują, — odrzekł poważnie król — tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż!

— Amen! — dodał prymas.

Tymczasem Krzyżtoporski uderzył się ręką w czoło:

— Mróz mi mentem pomieszał, miłośnicy panie, — rzekł — bom zapomniał jednej wieści powiedzieć, że taki syn, wojewoda poznański, zmarł, jakoby nagle.

Tu zawstydził się nieco pan Krzyżtoporski, spostrzegłszy się, jak wielkiego senatora nazwał wobec króla i dygnitarzy „takim synem“, więc dodał zmieszany:

— Nie zacny stan, lecz zdrajcę chciałem spostonować.

Ale nikt tego wyraźnie nie zauważył, bo wszyscy patrzyli na króla, ten zaś rzekł:

— Jużesmy dawno pana Jana Leszczyńskiego na województwo poznańskie przeznaczyli, jeszcze za życia pana Opalińskiego. Niechże godniej ten urząd piastuje... Sąd boski, widzę, rozpoczął się nad tymi, którzy tę ojczyznę do upadku przywiedli, bo w tej

chwili może już i książę wojewoda wileński przed Najwyższym Sędzią sprawę ze swoich uczynków zdaje...

Tu zwrócił się do biskupów i senatorów:

— Ale nam czas o wojnie powszechnej myśleć i w tej materji pragnę zasięgnąć zdania waszych mościów.

ROZDZIAŁ IX.

W chwili, gdy król mówił, iż wojewoda wileński może już stoi przed sądem bożym, mówił jakoby duchem proroczym, bo w owym czasie sprawa tykocińska była już rozwiązana.

Dnia 25 grudnia pan wojewoda witebski, Sapięha, tak był już pewien zdobycia Tykocina, że sam do Tyaszowiec wyjechał, poleciwszy panu Oskierce prowadzenie dalszych prac oblężniczych. Z ostatnim szturmem kazał na powrót swój, rychło mający nastąpić, czekać; zebrawszy zaś co znaczniejszych oficerów, tak mówił:

— Doszły mnie słuchy, iż między towarzystwem jest zamiar zaraz po zdobyciu zamku księcia wojewodę wileńskiego na szablach roznieść... Owóż, gdyby się zamek pod mą niebytność poddał, co być może, oświadczam waszmościom, iż najsurowiej zakazuję na zdrowie księcia następować. Odbieram ci ja wprawdzie listy od takich osób, o których się waszmościom ani śni, abym dostawszy go, nie żywił... Ale ja nie chcę słuchać tych rozkazów, co czynię nie z żadnej kompasji, bo jej zdrajca nie wart, ale że nad gardłem jego nie mam prawa i wolę go przed sejm na sąd postawić, aby dla potomnych był ztąd przykład, że ni wielkość rodu,

ni żadne urzędy, zdrady takowej i winy odkupić, ani przed karą publiczną zasłonić go nie zdołają.

W ten sens mówił pan wojewoda, jeno jeszcze dłużej, bo o ile był zacny, o tyle miał tę słabość, że mając się za mowcę, lubił przy każdej okazji obszernie się wystawiać i słuchał z lubością własnych słów, przymykając przy piękniejszych sentencyach oczy.

— To muszę sobie chyba dobrze prawą rękę w wodzie wymoczyć, — odparł na to pan Zagłoba — gdyż okrutnie mnie swędzi... Wszelako to tylko powiem, że gdyby Radziwiłł mnie w swoją moc dostał, pewnieby z moją głową do zachodu słońca nie czekał. Wie on dobrze, kto w znacznej części to sprawił, że go wojska opuściły; wie dobrze, kto go ze Szwedami nawet poróżnił... Ale za to ja nie wiem, czemu mam być pobłażliwszy dla niego, niżli on byłby dla mnie?

— Bo nie przy waści komenda i słuchać musisz! — odrzekł z powagą wojewoda.

— Że słuchać muszę, to prawda, ale dobrze czasem i Zagłoby posłuchać... Śmieie też to mówię, że gdyby Radziwiłł mnie posłuchał, gdym go do obrony ojczyzny ekscytował, nie byłby dziś w Tykocinie, jeno w polu, na czele wszystkich wojsk litewskich.

— Zali to waści się zdaje, że buława w złych rękach?

— Tego nie godzi mi się powiedzieć, bom ją sam w te ręce włożył. Miłościwy pan nasz, Johannes Casimirus, ma tylko mój wybór potwierdzić, nic więcej.

Uśmiechnął się na to wojewoda, bo lubił pana Zagłobę i jego krotofile.

— Panie bracie, — rzekł — tyś zgłębił Radziwiłła, tyś mnie uczynił hetmanem... i wszystko twoja

zasługa. Pozwólże mnie teraz jechać spokojnie do Ty-szowiec, aby też i Sapieha mógł w czemś przysłużyć się ojczyźnie.

Pan Zagłoba wziął się w boki i zamyślił się przez chwilę, jakby rozważał, czy ma pozwolić, czy nie pozwolić; nakoniec okiem łysnął, głową kiwnął i rzekł z powagą:

— Jedź, wasza miłość, spokojnie.

— Bóg zapłać za permisją! — odpowiedział, śmiejąc się wojewoda.

Zawtórowali wodzowi śmiechem inni oficerowie, on zaś istotnie począł się zbierać, bo kolasa stała już pod oknami gotowa, więc żegnał się ze wszystkimi, dając każdemu instrukcją, co ma pod jego niebytność czynić; wreszcie zbliżywszy się do pana Wołodziejowskiego, rzekł:

— Waść, na wypadek zdania się zamku, będziesz mi odpowiadał za zdrowie wojewody, tobie tę funkcją powierzam.

— Wedle rozkazu! włos mu z głowy nie spadnie! — odrzekł mały rycerz.

— Panie Michale, — rzekł do niego pan Zagłoba po odjeździe wojewody — ciekaw jestem, jakie to osoby nalegają na naszego Sapja, by Radziwiłła dostawszy, nie żywił?

— Zkąd mam wiedzieć! — odrzekł mały pan.

— Czyli powiadasz, że czego ci cudza gęba do ucha nie powie, tego ci własny dowcip nie podszeptnie. Prawda jest! Ale muszą to być znaczne jakieś persony, skoro mogą panu wojewodzie rozkazy dawać.

— Może sam król?

— Król? Króla gdyby pies ukąsił, zarazby mu przebaczył i jeszczeby mu sperkę dać kazał. Takie już u niego serce!

— Nie będę się o to z waćpanem spierał, ale przecie powiadali, że na Radziejowskiego bardzo się zawziął?

— Najprzód, każdemu przytrafi się zawziąć: exemplum: moja na Radziwiłła zawziętość, powtóre, jakże to się zawziął, kiedy zaraz synów jego wziął w opiekę, że i ojciec lepszyby nie był! Złote to serce i niemam, że prędzej to królowa jejmość przeciw gardłu radziwiłłowskiemu instancją wnosi. Godna pani, ani słowa, ale białogłowska u niej fantazyja, a to wiedz, że gdy się białogłowa przeciw tobie zawęźmie, choćbyś się w szparę w podłodze skrył, jeszcze cię igłą ztamtąd wydlubie.

Na to westchnął pan Wołodujowski i odparł:

— Za coby się tam która miała na mnie zawziąć, skorom żadnej nigdy w życiu nie zahaczył!

— Ale radbyś, ale radbyś! Dlatego to, choć w jeździe służysz, tak zapamiętała na mury tykocińskie piechotą leziesz, bo myślisz, że tam nietylko Radziwiłł, ale i Billewiczówna siedzi. Znają cię, niecnoto! Jakże? Jeszcześ jej sobie z głowy nie wybił?

— Był taki czas, żem ją sobie całkiem z głowy wybił i sam Kmicic, gdyby tu był obecny, musiałby przyznać, żem pokawalersku sobie postąpił, nie chcąc iść wbrew jej sentymentom, raczej swoją konfuzyją w niepamięć puszczając; ale tego nie ukrywam, że jeśli ona jest teraz w Tykocinie, jeśli mi Bóg pozwoli znów ją z opresyi ratować, to będę w tem widział wyraźną wolę Opatrzności. Na Kmicica baczycie nie po-

trzebuję, bom mu w niczem nie powinien, a żywie we mnie nadzieja, iż gdy dobrowolnie od niej odszedł, to go musiała do tej pory zapomnieć i nie przygodzi mi się, co się dawniej przygodziło.

Tak rozmawiając, doszli do kwatery, w której zastali dwóch panów Skrzetuskich, pana Rocha Kowalskiego i pana dzierżawcę z Wąsoszy.

Nie tajno było w wojsku, poco pan wojewoda witebski pojechał do Tyszowiec, więc rycerze cieszyli się wzajem, że powstaje związek tak cnotliwy na obronę ojczyzny i wiary.

— Inny już wiatr w całej Rzeczypospolitej wieje, — rzekł pan Stanisław — a chwalić Boga Szwedom w oczy.

— Od Częstochowy on powiał — odrzekł na to pan Jan. — Wczoraj były wiadomości, że się klasztor jeszcze trzyma i coraz mocniejsze szturmy odpiera... Nie daj Matko Najświętsza, by nieprzyjaciel mógł pohańbić Twój przybytek!

Tu pan Rzędzian westchnął i rzekł:

— Bo oprócz obrazy boskiej, ileby to znacznych skarbów poszło w nieprzyjacielskie ręce! Jak człek o tem pomyśli, to mu i strawa przez gardło nie chce przechodzić.

— Wojsko aż się do szturmowania rwie, że trudno ludzi utrzymać — rzekł pan Michał. — Wczoraj stan-kiewiczowa chorągiew bez komendy i bez drabin ruszyła, bo powiadają tak: jak z tym zdrajcą skończymy, to Częstochowie na odsiecz pójdziem. I co który Częstochowę wspomni, to zaraz wszyscy poczynają zgrzytać i w szable trzaskać.

— Bo i poco nas tu tyle chorągwi stoi, kiedy

i połowy byłoby na Tykocin dosyć — rzecze pan Zagłoba. — Upór to pana Sapiehy, nic więcej. Nie chce mnie słuchać, żeby pokazać jako i bez mojej rady coś potrafi, a to sami widzicie, że jak tylu ludzi jedną zameczynę oblega, to tylko sobie nawzajem przeszkadzają, bo dostępu dla wszystkich niemasz.

— Eksperyencya wojskowa przez waćpana mówi, nie można rzec! — odpowiedział pan Stanisław.

— Aha! co? Mam głowę na karku?

— Wuj ma głowę na karku! — zawołał nagle pan Roch i nastroszywszy wąsy, począł poglądać po obecnych, jakby szukając takiego, coby mu zaprzeczył.

— Ale i pan wojewoda ma głowę — odrzekł pan Jan Skrzetuski — i jeśli tyle chorągwi tu stoi, to dlatego, że jest obawa, żeby książę Bogusław z odsieczą bratu nie przybył.

— To posłać z parę lekkich chorągwi na pustoszenie Prus elektorskich, — rzekł Zagłoba — skrzyknąć kupę ludu na ochotnika między gminem. Sambym pierwszy poszedł pruskiego piwa popróbować.

— W zimę piwo na nic, chyba grzane — rzekł pan Michał.

— To dajcie wina, albo gorzałki lub miodu — odpowiedział Zagłoba.

Inni również okazali ochotę, więc pan dzięźawca z Wąsoszy zajął się tą sprawą i wkrótce kilka gąsiorków stanęło na stole. Uradowały się na ten widok serca i rycerze poczęli do siebie przepijać, coraz to na inne intencye wnosząc kielichy.

— Na pohibel pludrakom, aby nam tu bochenków długo już nie łuszczyli! — rzekł pan Zagłoba — niech sobie szyszki w Szwecyi żrą!

— Za zdrowie majestatu: króla jegomości i królowej! — wniósł Skrzetuski.

— I tych, którzy wiernie przy majestacie stali! — dodał Wołodyjowski.

— Zatem nasze zdrowie!

— Zdrowie wuja! — huknął pan Roch.

— Bóg zapłać! W ręce twoje, a wytrząśnij do dna w gębę... Jeszcze się Zagłoba nie ze wszystkim zestarzał! Mości panowie! abyśmy coprędzej tego jaźwca z jamy wykurzyli i pod Częstochowę ruszyć mogli!

— Pod Częstochowę! — krzyknął Roch — Panie Najświętszej w sukurs!

— Pod Częstochowę! — zawołali wszyscy.

— Skarbów jasnogórskich przed poganami bronić! — dodał Rzędzian.

— Którzy symulują, że w Pana Jezusa wierzą, chcąc bezecność swą koloryzować, a w rzeczy, jakem to już powiadał, do miesiąca jako psi wyją i na tem cała ich wiara polega.

— I tacy to ręce na splendory jasnogórskie podnoszą!

— W sednoś waszmość utrafił, mówiąc o ich wierze, — rzekł Wołodyjowski do Zagłoby — bo ja sam słyzałem, jak do miesiąca wyli Powiadali później, że to ich luterskie psalmy, ale to pewna, że takie psalmy i psi śpiewają...

— Jakżeto? — rzekł pan Roch — samiż między nimi tacy synowie?

— Niemasz innych! — rzekł z głębokim przekonaniem pan Zagłoba.

— I król ich nielepszy?

— Król ich gorszy od wszystkich. Onto tę wojnę podniósł umyślnie, aby mógł prawdziwej wierze do woli po kościołach bluźnić.

Na to podniósł się pan Roch, mocno już podpiły i rzekł:

— Jeżeli tak, tedy jako mnie waszmościowie widzicie, jakem Kowalski! tak w pierwszej bitwie prosto na króla Szwedzkiego skoczę! Choćby też stał w największej gęstwie, nic to! Moja śmierć albo jego!... a taki kopią się do niego złożę... Miejcie mnie wacpanowie za kpa, jeśli tego nie uczynię!

To rzekłszy, złożył pięść i chciał w stół grzmotnąć. Byłby przytem potłóknął szklanice, gąsiory i stół rozłupał, lecz pan Zagłoba skwapliwie go za garść uchwycił i w następujące ozwał się słowa:

— Siadaj Rochu i daj spokój. Wiedz i o tem że nie dopiero cię będziemy za kpa mieli, gdy tego nie uczynisz, ale dopiero cię za kpa przestaniemy mieć, jeżeli to uczynisz. Nie rozumiem też, jak się będziesz mógł kopią złożyć do króla szwedzkiego, w husaryi nie służąc?

— To się na poczet zdobędę i do kniazia Połubińskiego chorągwi się wpiszę. I ojciec mnie też wspomże.

— Ojciec Roch?

— A jakże!

— Niechże cię pierwiej wspomże, a teraz szkła nie rozbijaj, bo pierwszybym ci za to głowę rozbił. O czemżeśmyto mówili, mościwi moi?... Aha! o Częstochowie... *Imctus* mnie stoczy, jeżeli w porę świętemu miejscu na ratunek nie przyjdziemy... *Luctus* mnie

stoczy, mówię wam! A wszystko przez tego zdrajcę Radziwiłła i przez racyą fizykę sapieżyńską.

— Waćpan na wojewodę nic nie mów! Zacny pan! — ozwał się mały rycerz.

— To czemu obydwoma połami Radziwiłła przykrywa, kiedy jednej byłoby dosyć? Blisko dziesięć tysięcy ludzi pod tą tam budą stoi, najgrzeczniejszej jazdy i piechoty. Niezadługo w całej okolicy i sadze w kominach wylizą, bo co było na kominach, to już zjedli.

— Nam w racye starszych nie wchodzić, jeno słuchać!

— Tobie nie wchodzić, panie Michale, ale nie mnie, bo mnie połowa dawnego radziwiłłowskiego wojska regimentarzem wybrała i byłbym już za dziesiątą granicę Carolusa Gustawa wyżenał, gdyby nie ona nieszczęsna modestya, która mi kazała buławę panu Sapieże w ręce włożyć. Niechże sobie ze swym kunktatorstwem da spokój i niech patrzy, bym nie odebrał tego, com dał.

— Jeno po napiciu się taki z waści rezolut! — rzekł pan Wołodyjowski.

— Tak powiadasz? Ano, to obaczysz! Dziś jeszcze pójdę między chorągwie i krzyknę: Mości panowie! komu wola ze mną pod Częstochowę iść, nie tu sobie łokcie i kolana o tykocińskie wapno wycierać, to proszę za mną! Kto mnie regimentarzem kreował, kto mnie władzę dawał, kto dufał, że co uczynię, to ku pożytkowi ojczyzny i wiary będzie, ten niech obok mnie stawa. Piękna rzecz zdrajców karać, ale stokroć piękniejsza Najświętszą Pannę, patronkę tej korony i Matkę naszą zpod opresyi i jarzma heretyckiego ratować.

Tu pan Zagłoba, któremu już od niejakiego czasu opar unosił się z czupryny, zerwał się z miejsca, skoczył na ławę i począł krzyczeć, jakby znajdował się przed zebraniem:

— Mości panowie! Kto katolik, kto Polak, kto nad Najświętszą Panną ma kompasją, za mną!... W sukurs Częstochowie!

— Idę! — zawołał wstając Roch Kowalski.

Zagłoba popatrzył chwilę na obecnych, a widząc zdumienie i milczące twarze, zlął z ławy i rzekł:

— Nauczę ja Sapja rozumu!... Szelmą jestem, jeśli do jutra połowy wojska zpod Tykocina nie zerwę i pod Częstochowę nie poprowadzę!

— Dla Boga! Pomiarkuj się ojciec! — rzekł pan Jan Skrzetuski.

— Szelmą jestem! mówię ci! — powtórzył pan Zagłoba.

Oni zaś zlekli się, aby istotnie tego nie uczynił, bo mógł. W wielu chorągwiach były szemrania na tykocińską mitręgę, a ludzie istotnie zgrzytali zębami, myśląc o Częstochowie. Dość było iskrę na owe prochy rzucić, a cóż dopiero, gdyby ją rzucił człek tak wzięty i takiej niezmiernej powagi rycerskiej, jak Zagłoba. Przedewszystkiem większa część wojsk sapieżyńskich składała się z nowozacieżnych, a zatem do dyscypliny wojennej nie przywykłych i do uczynków na własną rękę skorych, a ci poszliby niezawodnie pod Częstochowę za Zagłobą, jak jeden człowiek.

Więc przelekli się tego przedsięwzięcia obaj Skrzetuscy, a Wołodyjowski zawołał:

— Ledwie się wojska trochę największym trudem wojewodzińskim zebrało, ledwie jest jakowaś siła na

obronę Rzeczypospolitej, a już czyjeś warcholstwo chce chorągwie rozrywać, do nieposłuszeństwa przywodzić. Siłaby Radziwiłł zapłacił za takową radę, bo na jego młyn ta woda. Jak waćpanu nie wstyd gadać nawet o takiej imprezie!

— Szelmą jestem, jeśli tego nie uczynię! — odparł Zagłoba.

— Wuj tak uczyni! — dodał Roch Kowalski.

— Cicho ty koński łbie! — huknął na niego pan Michał.

Pan Roch oczy wytrzeszczył, gębę zamknął i wyprostował się odrazu.

Wówczas Wołodyjowski zwrócił się do pana Zagłoby.

— A ja szelmą jestem, — rzekł — jeżeli jeden człowiek z mego pułku z waćpanem ruszy, a chcesz wojsko psować, tedy ci powiem, że pierwszy na twoich wolentarzów uderzę!

— Poganinie, Turku bezecny! — rzekł na to Zagłoba. — Jakżeto, na rycerzy Najświętszej Panny będziesz uderzał? Gotówes? Dobrze! Znają cię! Myślicie waćpanowie, że jemu o wojsko, albo o dyscyplinę chodzi? Nie! jeno Billewiczównę za murami tykocińskimi zwietrzył. Dla prywaty i dla swawoli nie zawahasz się najślusniejszej racyi odstąpić! Radbyś na dziewczynę fyrkał i z nogi na nogę przestępywał, a jurzył się! Ale nic z tego! Moja głowa w tem, że tam cię lepsi ubiegą, choćby ten sam Kmicic, bo i on od ciebie nie gorszy.

Wołodyjowski spojrział na obecnych, biorąc ich na świadectwo, jaka mu się krzywda dzieje. Następnie namarszczył się, myśleli, że gniewem wybuchnie, ale

że był także poprzednio podchmielił, więc nagle wpadł w rozczenie:

— Oto mi nagroda! — zawołał — od wyrostka ojczyźnie służę, szabli z garści nie popuszczam! Ni mi chaty, ni mi żony, ni dzieci, sam człek jako kopia do góry głową sterczy. Najzacniejsi o sobie myślą, a ja, prócz ran w skórze, nie miałem innej nagrody, za to mi jeszcze prywatę zadają, ledwie nie zdrają być mienia.

To rzekłszy, jął ronić łzy na żółte wąsiki, zaś pan Zagłoba zmiękł odrazu i otworzywszy ręce, zawołał:

— Panie Michale! Srodzem cię ukrzywdził! Katu mnie oddać za to, żem takiego wypróbowanego przyjaciela spostonował!

I padłszy sobie w objęcia, poczęli się całować i do piersi wzajem przyciskać, zaczęli i pili dalej na zgodę, a gdy już żal znacznie im z serc wyparował, rzekł Wołodjowski:

— A nie będziesz wojska psował, swawoli wprowadzał, złego przykładu dawał?

— Nie będę, panie Michale! dla ciebie to uczynię!

— A da Bóg, Tykocina dostaniem, to co komu do tego, czego ja za murami szukam. Co kto sobie ma ze mnie dworować, hę?

Uderzony tą kwestją, pan Zagłoba począł konieć węża do ust wkładać i zębami go przygryzać, nakoniec rzekł:

— Nie, panie Michale, kocham cię, jako żrenicę oka, ale ty sobie tę Billewiczównę z głowy wybij.

— A to czemu? — pytał zdziwiony pan Wołodjowski.

— Urodna jest, assentior! — rzekł Zagłoba —

ale to persona okazała i żadnej niemasz między wami proporceyi. Chybabyś jej na ramieniu siadał, jako kanarek i cukier z gęby wydziobywał. Mogłaby cię takóŜ jako kobuza na rękawiczce nosić i na wszelkiego nieprzyjaciela puszczać, bo chociaŜeś mały, aleś instarszerszenia zjadliwy.

— Już waćpan zaczynasz? — rzekł Wołodyjowski.

— Kiedym zaczął, to pozwólże mi i dokończyć: Jedna jest dla ciebie podwika jakoby stworzona, a to właśnie owa pestka... Jakże jej tam imię? Ta, z którą nieboszczyk Podbipięta miał się żenić?

— Anusia Borzobohata Krasieńska! — zakrzyknął pan Jan Skrzetuski. — Toćżeto dawny afekt michałowy!...

— Czyste ziarnko gryczane, ale gładka była bestyjka, jako kukielka — rzekł, mlaskając wargami pan Zagłoba.

Tu pan Michał zaczął wzdychać raz porazu i powtarzać to, co zawsze powtarzał, gdy ktoś o Anusi wspomniał:

— Co się z tem nieboŜątkiem dzieje?... Ba, ba! żeby się to ona znalazła!

— Jużbyś jej z rąk nie popuścił... I dobrzebyś uczynił, bo przy twojej kochliwości, panie Michale, może ci się przytrafić, że cię pierwsza lepsza koza złapie i na kozła przemieni. Dalibóg, w życiu nie widziałem, żeby ktoś taki był na afekta łasy. Powinieneś się być kurkiem urodzić, śmiecie pod przyźbami rozgrzebywać i „ko, ko, ko!“ na czubatki wołać.

— Anusia! Anusia! — powtarzał rozmarzony Wołodyjowski. — Bóg by mi ją zesał!... Ale może

już jej na świecie zgoła niemasz, albo też za mąż poszła i dzieci wodzi...

— Coby miała iść! Zielona to jeszcze była rzepa, gdym ją widział, a potem choć i doszła, mogła się dotąd w stanie niewinności uchować. Po takim panu Longinie, niejako jej było lada chłystka brać... Z drugiej też strony, w tych wojennych czasach mało kto o żeniactwie myśli.

A pan Michał na to:

— Waćpan jej dobrze nie znałeś. Dziw jak zacna... Ale taką już miała naturę, że nikogo nie przepuściła, żeby mu zaraz serca nie przeszyć... Taką już ją Pan Bóg stworzył. Nawet niższego stanu ludzi nie omijała: exemplum ów medyk księżnej Gryzeldy, włoszysko, który się w niej zakochał na umor. Może tam za niego już poszła i za morze ją wywiózł...

— Nie powiadaj byle czego, panie Michale! — zawołał z oburzeniem Zagłoba. — Medyk, medyk... Zaśby szlachecka córka, z zacnej krwi, miała pójść za człeka tak podłej kondycyi?... Raz ci to już mówiłem! nie może być!

— I mnie samemu było na nią za to mrucho, bom sobie myślał: już też miary niema, skoro i procederników bałamuci.

— Prorokuję ci, że ją jeszcze obaczysz — rzekł Zagłoba.

Dalszą rozmowę przerwało wejście porucznika Tokarzewicza, który przedtem w regimencie radziwiłłowskim służył, a po zdradzie hetmana wraz z innymi go odstąpił i teraz w pułku oskierczynym chorągiew nosił.

— Panie pułkowniku, — rzekł do Wołodyjowskiego — będziem petardę podsadzać.

— To już pan Oskierka gotów?

— Jeszcze dziś w południe był gotów i nie chce czekać, bo noc obiecuje się ciemna.

— To dobrze, — rzekł Wołodyjowski — pójdziem obaczyć i ludziom też z muszkietami każę stanąć w gotowości, żeby zza bramy nie wypadli. Samże pan Oskierka będzie petardę podsadzał?

— Tak jest... Własną osobą... Siła i ochotnika z nim idzie.

— Pójdę i ja! — rzekł Wołodyjowski.

— I my! — zawołali dwaj Skrzetuscy.

— Ot! szkoda, że stare oczy pociemku nie widzą, — ozwał się pan Zagłoba — bo pewniebym wam samym iść nie dał... Ale cóż! gdy się jeno zmroczy, już ani szablą mi się nie złożyć... Po dniu, po dniu, przy słońcu, to tam stary lubi jeszcze ruszyć w pole. Dawajcie mi co najteższych Szwedów, byle w południe!

— Ja zaś pójdę — rzekł, namyśliwszy się, dzierżawca z Wąsoszy. — Gdy bramę wysadzą, pewnie wojsko hurmem do szturm skoczy, a tam w zamku siła w sprzętach i klejnotach może być wszelakiej dobroci.

I wyszli wszyscy, bo też się już mroczyło na dworze; został w kwaterze sam tylko pan Zagłoba, który przez chwilę nasłuchiwał, jako śnieg chrzęścił pod stopami odchodzących; potem zaś jął podnosić kolejno gaśiorki i patrzeć pod światło płonące na kominie, jeżeli się co jeszcze w którym zostało.

Tamci zaś szli ku zamkowi w pomroce i wietrze, który wstał od strony północnej i dał coraz silniej, wył, huczał, niosąc ze sobą tumany rozbitego w proch śniegu.

— Dobra noc do podsadzania petardy! — rzekł Wołodyjowski.

— Ale i do wycieczki — odrzekł pan Skrzetuski. — Musimy mieć pilne oko i muszkietników gotowych.

— Dałby Bóg, — rzekł pan Tokarzewicz — żeby pod Częstochową była jeszcze większa zadymka. Zawszeć naszym w murach cieplej.... Ale coby tam Szwedów na strażach pomarzło, toby pomarzło.... Trastia ich maty mordowała!

— Straszna noc! — rzekł pan Stanisław — słyszycie waćpanowie, jak wyje, jakoby Tatarzy do ataku powietrzem szli?

— Albo jakby dyabli *requiem* Radziwiłłowi śpiewali — dorzucił Wołodyjowski.

ROZDZIAŁ X.

W zamku zaś wielki zdrajca patrzył także w kilka dni później na zapadający na całuny śnieżne mrok i słuchał wycia wichru.

Dopalała się zwolna lampa jego życia. Dnia tego w południe jeszcze chodził, jeszcze spoglądał z blanków na namioty i drewniane szałaszy wojsk sapieżyńskich; lecz w dwie godziny później zaniemógł tak, iż musiano go odnieść do komnat.

Od owych czasów kiejdańskich, w których po koronę sięgał, zmienił się do niepoznania. Włos na głowie zbielał, naokoło oczu poczyniły się czerwone obwódki, twarz mu obwisła i nabrzękała, więc wydawała się jeszcze ogromniejszą, ale byłato twarz już półtrupia, naznaczona błękitnymi piętnami i straszna, przez swój wyraz piekielnych cierpień.

A jednak, lubo życie jego niemal na godziny się już liczyć mogło, przecie żył zadługo, bo przeżył nie tylko wiarę w siebie, w swoją pomyślną gwiazdę, nie tylko nadzieje swoje i zamiary, ale tak głęboki swój upadek, że gdy spoglądał na dno tej przepaści, do której się stoczył, sam sobie wierzyć nie chciał. Wszystko go zawiodło: wypadki, wyrachowania, sprzymierzeńcy.

On, któremu niedość było być najpotężniejszym panem polskim, księciem państwa rzymskiego, wielkim hetmanem i wojewodą wileńskim; on, któremu Litwa cała była nie do miary pragnień i pożądlivosti, zamknięty był teraz w jednym ciasnym zameczku, w którym czekała go tylko albo śmierć, albo niewola. I patrzył codziennie we drzwi, która z dwóch strasznych bogiń pierwszej wejdzie wziąć jego duszę i przez pół już rozpadające się ciało.

Z jego ziem, z jego włości i starostw można było niedawno udzielné królestwo wykroić, dziś nie był panem nawet i murów tykocińskich.

Przed kilkoma zaledwie miesiącami z sąsiednimi królami jeszcze traktował, dziś jeden kapitan szwedzki z niecierpliwością i lekceważeniem słuchoł jego rozkazów i wolę jego śmiało naginać do swojej.

Gdy go opuściły wojska, gdy z magnata i pana, który trząsł krajem, został bezsilnym nędzarzem, który sam potrzebował ratunku i pomocy, Karol Gustaw pogardził nim. Byłby pod niebiosą wynosił potężnego pomocnika, ale odwrócił się z dumą od suplikanta.

Jako opryszka, Kostkę Napierskiego, oblegano niegdyś w Czorszynie, tak jego, Radziwiłła, oblegano teraz w zamku tykocińskim. I kto oblegał? Sapieha, największy wróg osobisty!

Gdy go dostaną, powloką go na sąd, gorzej niż opryszka, bo jako zdrajcę.

Opuścili go krewni, przyjaciele, kolligaci. Wojska zajechały jego dobra, rozwiały się w mgłę skarby, bogactwa i ów pan, ów książę, który niegdyś dwór francuski dziwił i oślepił przepychem, który na ucztach tysiące szlachty przyjmował, który po dziesięć tysięcy

własnych wojsk trzymał, odziewał, żywił, nie miał teraz czem mdlejących sił odżywić i strach powiedzieć! on, Radziwiłł, w ostatnich chwilach swego życia, niemal w godzinę śmierci — był głodny!

W zamku dawno już brakło żywności, ze szczupłych pozostałych zapasów komendant szwedzki skąpe wydzielał racye, a książę nie chciał go prosić.

Gdyby przynajmniej gorączka, która trawiła jego siły, odjęła mu była i przytomność! Ale nie! Pierś jego podnosiła się coraz ciężej, oddech zmieniał się w chrapanie, opuchłe nogi i ręce ziębły, lecz umysł mimo chwilowych obłądów, mimo strasznych mar i wizyj, które przesuwaly mu się przed oczyma, pozostawał przez większą część godzin jasny. I widział ów książę cały swój upadek, całą nędzę i poniżenie, widział ów dawny wojownik zwycięzca całą klęskę — i cierpienia jego były tak niezmierne, że chyba z jego grzechami mogły się porównać.

Bo prócz tego, jako Oresta Eriny, tak jego szarpały wyrzuty sumienia, a nie było nigdzie na świecie takowej świątyni, do której mógłby się przed niemi schronić. Szarpały go w dzień, szarpały w nocy, na polu i pod dachem; дума nie mogła im zdzierżyć, ani ich odeprzeć. Im głębszy był jego upadek, tem szarpały go zacieklej. I miewał takie chwile, że darł własne piersi. Gdy nieprzyjaciele naszli ojczyznę ze wszystkich stron, gdy nad jej losem nieszczęsnym, nad jej bólami i krwią przelaną litowały się obce narody — on, hetman wielki litewski, zamiast ruszyć w pole, zamiast poświęcić jej ostatnią kroplę krwi, zamiast świat zdziwić jak Leonidas, jak Temistokles, zamiast zastawić ostatni kontusz jak Sapieha, związał się z jednym z nieprzyjaciół i prze

ciwko matce, przeciwko własnemu panu podniósł świętokradzką rękę i ubroczył we krwi bliskiej, drogiej... On to wszystko uczynił, a teraz jest u kresu nie tylko hańby, ale i życia, porachunku bliski, tam, na tamtej stronie... Co go tam czeka?

Włos jeżył mu się na głowie, gdy o tem myślał. Bo gdy podnosił rękę na ojczyznę, sam sobie wydawał się w stosunku do niej wielki, a teraz zmieniło się wszystko. Teraz on zmałał, a natomiast ta Rzeczpospolita, wstająca z prochu i krwi, wydawała się mu jakaś wielka i coraz większa, grozą tajemniczą pokryta, świętego majestatu pełna, straszna. I rosła ciągle jeszcze w jego oczach i olbrzymiała coraz więcej. Czuł się wobec niej prochem i jako książę i jako hetman i jako Radziwiłł. Nie mógł pojąć, coto jest. Jakieś fale nieznane wzbierały koło niego, płynęły z hukiem, łoskotem, napływały coraz bliżej, piętrzyły się coraz straszniej, a on rozumiał, że utonąć musi, że utonęłoby w tym ogromie takich stu, jak on. Lecz czemuż owej grozy i tajemniczej siły nie widział pierwiej; czemuż, szalony, porwał się przeciw niej. Gdy te myśli huczały mu w głowie, strach go brał przed tą matką, przed tą Rzeczpospolitą, bo nie poznawał jej rysów, tak dawniej dobrotliwych i łagodnych.

Duch się w nim łamał i w piersiach zamieszkało mu przerażenie. Chwilami myślał, że otacza go całkiem inny kraj, inni ludzie. Przez obłązione mury dochodziło wszystko, co się w obłąconej Rzeczypospolitej działo, a działy się rzeczy dziwne i przerażające. Rozpocznęła się wojna na śmierć i życie przeciw Szwedom i zdrajcom — tem straszniejsza, że przez nikogo

nie przewidywana. Rzeczpospolita poczęła karać. Było w tem coś z gniewu bożego za obrażony majestat.

Gdy przez mury doszła wieść o oblężeniu Częstochowy, Radziwiłł, kalwin, zląkł się i przestraszył już nie wyszedł więcej z jego duszy, bo właśnie wtedy, po raz pierwszy, dostrzegł te tajemnicze fale, które wstawszy, miały pochłonąć Szwedów i jego; wtedy najście szwedzkie wydało mu się nie najściem, ale świętokradztwem, a karą niezawodną. Wtedy poraz pierwszy spadła zasłona z jego oczu i ujrzał odmienioną twarz ojczyzny, już nie matki, ale karzącej królowej.

Wszyscy, którzy pozostali jej wierni i służyli z serca i duszy, poszli w górę i wyrastali coraz bardziej, kto przeciw niej grzeszył — upadał.

— Więc nie wolno myśleć nikomu — mówił sobie książę — ni o wyniesieniu własnem, ni rodu swego, jeno żywot, siły i miłość trzeba jej ofiarować?

Ale dla niego było zapóźno, bo już nie miał nic do ofiarowania, bo już nie miał przed sobą przyszłości, chyba pozagrobową, na której widok drżał.

Od chwili oblężenia Częstochowy, gdy jeden krzyk straszny wyrwał się z piersi niezmiernego kraju, gdy jakoby cudem znalazła się w nim jakaś dziwna, do tej pory zapoznawana i niepojęta siła — gdy nagle rzekłbyś tajemnicza, pozaświatowa ręka podniosła się w jego obronie, nowe zwątpienie wżarło się w duszę książęcą, bo nie mógł opędzić się strasznym myśłom, że Bóg stoi przy tamtej sprawie i przy tamtej wierze.

A gdy takie myśli huczały mu w głowie, wtedy o swojej własnej wierze wątpił i wówczas rozpacz jego przechodziła nawet miarę jego grzechów.

Ziemski upadek, duszy upadek, ciemność, nicość — oto do czego doszedł i czego się doświadczył, służąc sobie.

A jednak, jeszcze w początkach wyprawy z Kiejdan na Podlasie pełen był nadziei. Sapieha, nierównie gorszy wódz, bił go wprawdzie w polu, resztki chorągwi go opuszczały, lecz krzepił się myślą, że lada dzień nadciągnie mu w pomoc Bogusław. Przyleci to młode orle radziwiłłowskie, na czele pruskich, luterskich zastępów, które śladem litewskich chorągwi do papieżników nie przejdą, a wówczas zgniotą we dwóch Sapiechę, zetrą jego siły, zetrą konfederatów i położą się na trupie Litwy, jako dwa lwy na trupie łani i samym rykiem odstraszą tych, którzyby im chcieli ją wydrzeć.

Lecz czas płynął, siły Janusza topniały; nawet cudzoziemskie regimenty przechodziły do groźnego Sapiehy; upływały dni, tygodnie, miesiące, a Bogusław nie nadchodził.

Nakoniec rozpoczęło się oblężenie Tykocina.

Szwedzi, których garść przy Januszu została, bronili się bohatersko, bo straszliwemi okrucieństwami poprzednio się zmazawszy, wiedzieli, że nawet poddanie się nie ochroni ich przed mściwą ręką Litwinów. Książę w początkach oblężenia jeszcze miał nadzieję, że w ostatnim razie może sam król szwedzki ruszy mu na odsiecz, a może pan Koniecpolski, który na czele sześciu tysięcy koronnej jazdy przy Karolu się znajdował. Lecz próżno się spodziewał. Nikt o nim nie myślał, nikt z pomocą nie nadciągał.

— Bogusławie! Bogusławie! — powtarzał książę, chodząc po tykocińskich komnatach — jeśli brata nie chcesz ratować, to ratuj przynajmniej Radziwiłła!...

Wreszcie w ostatniej rozpacz, postanowił książę

uczynić krok, na który srodze oburzała się jego duma: to jest błagać o ratunek księcia Michała z Nieświeża.

List jego przejęli jednak w drodze sapieżyńscy ludzie, zaś wojewoda witebski przesłał Januszowi w odpowiedzi pismo księcia krajczego, które przed tygodniem sam otrzymał.

Janusz znalazł w nim ustęp, głoszący co następuje:

„Jeśli w. w. miłościwego pana mego doszły wieści, iż ja krewnemu, księciu wojewodzie wileńskiemu, w pomoc iść zamierzam, tedy im w. w. pan mój miłościwy nie wierz, albowiem z tymi ja tylko za jedno trzymam, którzy w wierze ku ojczyźnie i panu naszemu wytrwać, a dawne wolności tej prześwietnej Rzeczypospolitej restaurować pragną. Co się po mnie nie pokaże, abym zdrajców od słusznej i należytej kary miał zasłaniać. Bogusław też nie nadciągnie, bo jako słyszę, elektor o sobie woli myśleć i nie chce sił rozdzielać, a *quod attinet* Koniczowskiemu, ten chyba do wdowy w konkury posunie, która aby nią została, na rękę mu, by książę wojewoda zgorzał jako najprędzej“.

Ten list, do Sapiehy adresowany, odjął nieszczęsnemu Januszowi resztę nadziei i nie pozostało mu nic innego, jak czekać, aby się spełniły jego losy.

Oblężenie dobiegało końca.

Wieść o odjeździe pana Sapiehy tej minuty niemal przedarła się przez mury, ale nadzieja, że wskutek jego odjazdu kroki nieprzyjacielskie zostaną zaniechane, krótko trwała, gdyż przeciwnie, w pułkach pieszych znać było ruch jakiś niezwykajny. Uplłynęło jednak kilka dni dość spokojnie, bo zamiar wysadzenia bramy

petardą spełzył na niczem, lecz nadszedł 31 grudnia, w którym tylko zapadająca noc mogła przeszkodzić oblegającym, widocznie bowiem gotowali coś przeciw zamkowi, jeśli nie szturm, to przynajmniej nowy atak działał na nadwątlone mury.

Dzień miał się ku schyłkowi. Książę leżał w sali tak zwanej „Rogowej“, położonej w zachodniej części zamku. Na ogromnym kominie paliły się całe smoliste karpysosnowe, rzucając żywy blask na białe i dość puste ściany. Książę leżał nawznak na tureckiej sofie, wysuniętej umyślnie na środek komnaty, aby ciepło płomieni mogło do niej dochodzić. Bliżej komina, nieco w cieniu, spał na kobierczyku paź, koło księcia zaś siedzieli, drzemiąc na krzesłach: pani Jakimowiczowa, niegdyś dozorczyńni fraucymeru w Kiejdanach, drugi paź, medyk, a zarazem astrolog książęcy i Charłamp.

Ten ostatni bowiem nie opuścił księcia, chociaż z dawnych wojskowych został przy nim prawie sam jeden. Gorzka to była służba, bo serce i dusza starego towarzysza były właśnie za murami tykocińskimi, w obozie Sapiehy, jednakże trwał wiernie przy dawnym wodzu. Biedne żołnierzysko wychudło z głodu i niewczasów, jak kościotrup. Z twarzy jego został tylko nos, który teraz wydawał się jeszcze większy i wąsy, jak wiechy. Ubrany był w zbroję całkowitą, pancierz, naramienniki i misiurkę z drucianym czepcem, który spływał mu na ramiona. Żelazne karwasze świeciły mu na łokciach, bo tylko co był wrócił z murów, na które przed chwilą wychodził patrzeć, co się dzieje i na których codzien szukał śmierci. Teraz zaś zdrzemnął się ze znużenia, choć książę rzeźił straszliwie, jakby konać począł i choć wiatr wył i gwizdał na zewnątrz.

Nagle krótkie drgania poczęły wstrząsać olbrzymiem ciałem Radziwiłła i przestał rzeźić. Zbudzili się zaraz ci, którzy go otaczali i poczęli patrzeć bystro najprzód na niego, potem na siebie.

Lecz on rzekł:

— Jakoby mi ktoś z piersi zlazł: lżej mi...

Potem zwrócił nieco głowę, począł patrzeć uważnie ku drzwiom, nakoniec ozwał się:

— Charłamp!

— Sługa waszej ks. mości

— A czego tu Stachowicz chce?

Pod biednym Charłampem zadygotały nogi, bo o ile nieustraszony był w boju, o tyle zabobonny, więc obejrzał się szybko i rzekł przytłumionym głosem:

— Stachowicza tu niemasz. Wasza ks. mość kazała go w Kiejdanach rozstrzelać.

Książę przymknął oczy i nie odpowiedział ani słowa.

Przez jakiś czas słyhać tylko było żałosne i przeciągłe wycie wichru.

— Płacz ludzki w tym wichrze słyhać — rzekł znów książę, otwierając całkiem przytomnie oczy. — Ale jam nie sprowadzał Szwedów, jeno Radziejowski.

A gdy nikt nie odpowiadał, po małej chwili dodał:

— On najwięcej winien, on najwięcej winien, on najwięcej winien.

I jakaś otucha wstąpiła mu do piersi, jak gdyby uradowało go wspomnienie, że był ktoś od niego winiejszy.

Wkrótce jednak inne, cięższe myśli musiały mu przyjść do głowy, bo twarz mu pociemiała i powtórzył kilkakrotnie:

— Jezus! Jezus! Jezus!

I znowu napadła go duszność; począł rzeźić jeszcze straszniej, niż poprzednio.

Tymczasem z zewnątrz doszły odgłosy wystrzałów muszkietowych, zrazu rzadkich, potem coraz gęstszych, ale wśród zamieci śnieżnej i wycia wichru nie brzmiały zbyt głośno i można było myśleć, że to rozlegają się jakieś ustawiczne stukania do bramy.

— Biją się! — rzekł medyk książęcy.

— Jako zwyczajnie! — odpowiedział Charłamp. — Ludzie marzną w zamieci, to wołają się bić dla rozgrzewki.

— Szósty już dzień tego wichru i śniegu — odpowiedział medyk. — Wielkie zmiany przyjdą w tem królestwie, bo niezwykajna to rzecz!

Na to odrzekł Charłamp:

— Daj je Boże! Nie stanie się nic gorszego!

Dalszą rozmowę przerwał im książę, na którego znów przyszła ulga:

— Charłamp!

— Sługa waszej ks. mości.

— Czy mi się ze słabości tak wydaje, czy też Oskierka parę dni temu chciał petardą bramę wysadzić?

— Chciał, wasza ks. mość, ale Szwedzi petardę porwali i sam nieszkodliwie postrzelon, a sapieżyńscy odbici.

— Jeżeli nieszkodliwie, to znów będzie tentował... A który dzień?

— Ostatni grudnia, wasza ks. mość.

— Boże bądź miłościw duszy mojej!... Nie do-

żyję już Nowego Roku... Dawno mi przepowiadano, iż w każdym piątym roku śmierć stoi koło mnie.

— Bóg łaskaw, wasza ks. mość.

— Bóg jest z panem Sapiehą — odpowiedział książe głucho.

Nagle począł się oglądać i rzekł:

— Zimno na mnie od niej idzie.... Nie widzę jej, ale czuję, że ona tu jest.

— Kto taki, wasza ks. mość?

— Śmierć!

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

Nastąpiła chwila milczenia, słyhać tylko było szept pacierzy, odmawianych przez panią Jakimowiczową.

— Powiedzcie — ozwał się książe przerywanym głosem — zali wy naprawdę wierzycie, że poza waszą wiarą nikt zbawion być nie może?

— I w godzinę śmierci można jeszcze od błędów rewokować — odrzekł Charłamp.

Odgłosy wystrzałów stały się w tej chwili jeszcze gęstsze. Huk dział począł wstrząsać szybami, które za każdym razem odpowiadały żalostnem dźwięczeniem.

Książę słuchał czas jakiś spokojnie, poczem uniósł się zlekka na wezglówiu, zwolna oczy poczęły się rozszerzać, źrenice błyskać. Siadł; przez chwilę trzymał rękoma głowę, nagle krzyknął, jak w obłąkaniu:

— Bogusław! Bogusław! Bogusław!

Charłamp wybiegł jak szalony z komnaty.

Zamek cały trząsł się i dygotał od huku dział.

Nagle dał się słyszeć krzyk kilku tysięcy głosów, poczem targnęło coś z okropnym łomotem ścianami, aż główne i węgle z komina wyspały się na posadzkę, jednocześnie Charłamp wpadł z powrotem do sali.

— Sapieżyńscy bramę wysadzili! — krzyknął —
Szwedzi uciekli do wieży!.... Nieprzyjacieli tuż!....
wasza ks. mość....

Dalsze słowa zamarły mu w ustach. Radziwiłł siedział na sofie z oczyma wyszłemi na wierzch; otwartymi ustami łapał raz poraz powietrze, zęby miał wyszczerzone, rękoma darł sofę, na której siedział i patrząc z przerażeniem w głąb komnaty, krzychał, a raczej chrapał między jednym oddechem a drugim:

— To Radziejowski... Ja nie... Ratunku!...
Czego chcecie?! Weźcie tę koronę!... To Radziejowski...
Ratujcie, ludzie! Jezus! Jezus! Maryo!

To były ostatnie słowa Radziwiłła.

Następnie porwała go straszliwa czkawka, oczy wyszły mu jeszcze okropniej z oprawy, wyprężył się, padł nawznak i pozostał bez ruchu.

— Skonał! — rzekł medyk.

— Maryi wzywał! słyszeliście, choć kalwin! —
ozwała się pani Jakimowiczowa.

— Dorzucie na ogień! — rzekł do struchlałych paziów Charłamp.

Sam zaś zbliżył się do trupa, przymknął mu powieki, zaczem zdjął z pancerza złocisty obraz Bogarodzicy, który na łańcuszku nosił i ułożywszy ręce Radziwiłła na piersiach, włożył mu go między palce.

Światło ognia odbiło się od złotego tła obrazu, a ów odblask padł na twarz wojewody i rozweselił ją tak, że nigdy nie wydawała się tak spokojna.

Charłamp siadł obok ciała i wsparłszy łokcie o kolana, ukrył oblicze w dłoniach.

Milczenie przerywał tylko huk wystrzałów.

Nagle stało się coś strasznego. Błysnęła najprzód

okropna jasność; zdawało się, że świat cały w ogień się zmienił, a jednocześnie niemal rozległ się taki huk, jakoby ziemia zapadała się pod zamkiem. Zachwiały się ściany, pułap zrysował się z przeraźliwym trzaskiem, okna wszystkie runęły na podłogę i szkło szyb rozbiło się w setne okruchy. Przez puste otwory okien wdarły się w tej chwili tumany śniegu i wicher począł wyć ponuro w kątach sali.

Wszyscy ludzie, w komnacie będący, padli twarzami na ziemię, wszyscy oniemieli ze strachu.

Podniósł się pierwszy Charłamp i zaraz spojrzął na trupa wojewody; ale trup leżał równo, spokojnie, jeno obrazek złocisty przechylił się mu nieco w rękach.

Charłamp odetchnął. Poprzednio był pewien, że to hurma szatanów wdarła się do sali po ciało książęce.

— Słowo stało się ciałem! — rzekł — to Szwedzi musieli wysadzić prochami wieżę i siebie...

Lecz z-zewnątrz nie dochodził żaden odgłos. Widocznie wojska sapieżyńskie stały w niemym podziwieniu, albo może w obawie, że cały zamek jest podminowany i że prochy kolejno wybuchają będą.

— Dorzućcie do ognia! — rzekł pacholećtom Charłamp.

I znów komnata zapłonęła jaskrawem, migotliwym światłem. Naokoło trwała cisza śmiertelna, jeno ogień syczał, jeno wicher wył i śnieg walił coraz większy przez puste okna.

Aż nareszcie zabrzmiały zmieszane głosy, potem rozległ się brzęk ostróg i tupot licznych kroków; drzwi od sali otworzyły się naroścież i żołnierze wpadli do środka.

Uczyliło się jasno od gołych szabel i coraz to wię-

cej postaci rycerskich, przybranych w hełmy, kapuzy, kołpaki, tłoczyło się przeze drzwi. Wielu niosło w rękach latarnie i ci świecili niemi, postępując ostrożnie, chociaż w komnacie widno było i tak od ognia.

Nakoniec z tłumu wyskoczył mały rycerz, cały w szmelcowanej zbroi i krzyknął:

— Gdzie wojewoda wileński?

— Tu! — rzekł Charłamp, ukazując na ciało, leżące na sofie.

Pan Wołodyjowski spojrzał i rzekł:

— Nie żyje!

— Nie żyje! nie żyje! — poszedł głos z ust do ust. — Nie żyje zdrajca i przedawczyk!

— Tak jest — rzekł ponuro Charłamp. — Ale jeśli sponiewieracie ciało jego i na szablach je roznieście, złe uczynicie, bo Najświętszej Panny przed skonem wzywał i jej konterfekt w rękę dźrzył!

Słowa te wielkie uczyniły wrażenie. Krzyki umilkły. Natomiast żołnierze poczeli się zbliżać, obchodzić sofę i przypatrywać się nieboszczykowi. Ci, którzy mieli latarnie, świecili mu niemi w oczy, a on leżał olbrzymi, posępny, z hetmańskim majestatem w twarzy i zimną powagą śmierci.

Żołnierze przychodzili kolejno, a między nimi i starszyzna. Zbliżył się więc Stankiewicz i dwaj Skrzetuscy i Horotkiewicz i Jakób Kmicie i Oskierka i pan Zagłoba.

— Prawda jest!... — rzekł cichym głosem pan Zagłoba, jakby bał się zbudzić księcia. — Najświętszą Pannę w rękach trzyma i blask mu od Niej na lica pada...

To rzekłszy, zdjął kołpak z głowy. W tej chwili

uczynili to wszyscy inni. Nastąpiło milczenie pełne szacunku, które przerwał wreszcie Wołodyjowski.

— Ach! — rzekł — już on na sądzie bożym i ludzie nic do niego nie mają!

Tu zwrócił się do Charłampa:

— Lecz ty, nieszczęśniku, czemuśto dla niego ojczyzny i pana odstąpił?

— Dawajcie go sam!... — ozwało się zaraz kilka głosów.

Na to Charłamp wstał i wyjąwszy szablisko, cisnął ją z brzękiem na ziemię.

— Macie mnie, rozsiekajcie! — rzekł. — Nie odstąpiłem go razem z wami, gdy był potężny jako król, a potem nie godziło mi się go opuszczać, gdy był w miszery i gdy nikt przy nim nie pozostał. Oj! nie utylłem na tej służbie, bom trzy dni już nic w gębie nie miał i nogi się chwieją pode mną... Ale macie mnie, rozsiekajcie! gdyż i do tego się przyznaję... — tu głos pana Charłampa zadrgał — żem go miłował...

To rzekłszy, zatoczył się i byłby upadł, ale Zagłoba otworzył mu ramiona, chwycił go, podtrzymał, a potem krzyczeć począł:

— Na żywy Bóg! Dajcie mu jeść i pić!...

Trafiło to wszystkim do serca, więc wzięto pana Charłampa pod ręce i wyprowadzono go zaraz z komnaty. Poczem i żołnierze poczęli ją kolejno opuszczać, żegnając się pobożnie.

W drodze do kwatery pan Zagłoba rozważał coś w umyśle, zastanawiał się, chrząkał, nareszcie pociągnął za połę pana Wołodyjowskiego.

— Panie Michale! — rzekł.

— A czego?

— Już mnie zawziętość na Radziwiłła minęła, co nieboszczyk, to nieboszczyk!... Odpuszczam mu z serca, że na szyję moję nastawał.

— Przed trybunałem on niebieskim! — odrzekł Wołodyjowski.

— Otóż, otóż!... Hm! żeby mu to co pomogło, dałbym zresztą i na mszę, bo widzi mi się, że ma tam okrutnie kruchą sprawę.

— Bóg miłosierny!

— Że miłosierny, to miłosierny, aleć i On bez abominacyi na heretyków patrzeć nie może. A to nie tylko heretyk, ale i zdrajca. Ot co!

Tu pan Zagłoba zadarł głowę i począł spoglądać ku górze.

— Boję się, — rzekł po chwili — żeby mi który Szwed, z tych, co się prochami wysadzili, na łeb nie zleciał, bo że ich tam w niebie nie przyjęto, to pewna!

— Dobrzy pachołkowie! — rzekł z uznaniem pan Michał — woleli zginąć, niż się poddać. Mało takich żołnierzy w świecie!

Poczem szli w milczeniu, nagle pan Michał zatrzymał się.

— Billewiczówny w zamku nie było — rzekł.

— A z kąd wiesz?

— Pytałem onych paziów. Bogusław ją wziął do Taurogów.

— Oj! — rzekł Zagłoba — to jakoby wilkowi kozę powierzono. Ale to nie twoja rzecz, tobie przeznaczona tamta pestka!

ROZDZIAŁ XI.

Lwów od chwili przybycia króla zmienił się w istotną stolicę Rzeczypospolitej. Wraz z królem przybyła większa część biskupów z całego kraju i wszyscy ci świeccy senatorowie, którzy nie służyli nieprzyjacielowi. Wydane lauda zwołały również pod broń szlachtę województwa ruskiego i dalszych przyległych, która stanęła licznie a zbrojno, z tem większą łatwością, że Szwedów wcale w tych stronach nie było. Rosły też oczy i serca na widok tego pospolitego ruszenia, w niczem albowiem nie przypominało ono owego wielkopolskiego, które pod Ujściem tak słabą stawiło nieprzyjacielowi zaporę. Przeciwnie, nadciągała tu groźna i wojownicza szlachta, z dzieckami na koniu i w polach hodowana, wśród ciągłych napadów tatarskiej dziczy, przywykła do przelewu krwi i pożogi, lepiej władająca szablą, niż łaciną. Świeżo jeszcze wyćwiczyła ją Chmielniczyzna, siedem lat bez przerwy trwająca, tak, że nie było między nimi człowieka, któryby tyle razy przynajmniej w ogniu nie był, ile sobie lat liczył. Coraz nowe ich roje przybywały do Lwowa. Jedni ciągnęli od przepaścistych Bieszczadów, inni znad Prutu, Dniestru i Seretu; którzy siedzieli na krętych dorzeczach Dniestrowych, którzy siedzieli nad

roztoczystym Bohem, których nad Siniuchą nie stała z łona ziemi inkursya chłopska, którzy na tatarskich rubieżach się ostali, ci wszyscy na głos pana dążyli teraz do Lwiego grodu, aby ztamtąd na nieznanego jeszcze nieprzyjaciela pociągnąć. Waliła szlachta z Wołynia i z dalszych jeszcze województw, taką nienawiść rozpałała we wszystkich duszach straszna wieść o podniesieniu przez nieprzyjaciela świętokradzkiej ręki na Patronkę Rzeczypospolitej w Częstochowie.

Zaś kozactwo nie śmiało stawić przeszkód, bo nawet w najzatwardziały poruszyły się serca i zresztą samo było od Tatarów zmuszone bić przez posłów czołem królowi i po raz setny przysięgi wierności ponawiać. Groźne dla królewskich nieprzyjaciół poselstwo tatarskie pod wodzą Subaghazi-beja bawiło we Lwowie, ofiarując w imieniu chanowem sto tysięcy ordy na pomoc Rzeczypospolitej, z której czterdzieści tysięcy mogło zaraz zpod Kamieńca w pole wyruszyć.

Prócz poselstwa tatarskiego zjechała i legacya z Siedmiogrodu dla prowadzenia wszczętych z Rakoczym o następstwo tronu rokowań; bawił i poseł cesarski, był nuncyusz papieski, który razem z królem przyjechał, codzień nadjeżdżały deputacye od wojsk koronnych i litewskich, od województw i ziem z oświadczeniami wierności dla majestatu i chęci obrony do upadłego najechanej ojczyzny.

Rosła tedy fortuna królewska, podnosiła się w oczach ku podziwowi wieków i narodów, tak niedawno zupełnie pogiębiona Rzeczypospolita. Rozpałały się dusze ludzkie żądzą wojny i odwetu, a jednocześnie okrzepły. I jak na wiosnę deszcz ciepły a obfity topi śniegi, tak potężna nadzieja stopiła zwątpienie. Nie-

tylko chciano zwycięstwa, ale wierzono w nie. Corazto nowe wieści pomyślne, choć często nieprawdziwe, przechodziły z ust do ust. Raz wraz opowiadano to o odebranych zamkach, to o bitwach, w których nieznanne pułki pod nieznanymi dotąd wodzami rozgromiły Szwedów, to o strasznych chmurach chłopstwa, podnoszącego się jako szarańcza przeciw nieprzyjacielowi. Imię Stefana Czarnieckiego coraz częściej pojawiało się na wszystkich ustach.

Szczegóły o onych wieściach były często nieprawdziwe, ale razem wzięte, odbijały jako zwierciadło to, co się działo w całym kraju.

Lecz we Lwowie było jakoby ustawiczne święto. Gdy król przybył, witało go miasto uroczyście: więc duchowieństwo trzech obrządków, rajcy miejscy, kupiectwo, cechy. Na placach i ulicach, gdzie okiem rzuciłeś, powiewały chorągwie białe, szafirowe, purpurowe, złociste. Dumnie podnosili Lwowianie swego złotego lwa w błękitnem polu, z chlubą wspominając zaledwie przeszłe kozackie i tatarskie napady. Za każdym ukazaniem się królewskiem, krzyk się czynił pomiędzy tłumami, a tłumów nigdy nie brakło.

Ludność podwoiła się w ostatnich dniach. Prócz senatorów, biskupów, prócz szlachty, napłynęły i tłumy chłopstwa, bo się rozbiegła wieść, że król zamyśla los chłopski poprawić. Więc sukmany i gunie pomieszały się z żółtymi kapotami mieszczan. Przemysłni Ormianie o smagłych twarzach porozbijali szalasy z towarem i bronią, którą chętnie kupowała zgromadzona szlachta.

Była znaczna liczba i Tatarów przy poselstwie i Węgrzyni i Wołosi i Rakuszanie, moc ludu, moc woj-ska, moc odmiennych twarzy, moc strojów dziwnych,

barwnych, jaskrawych, a rozmaitych, moc służby dworskiej: więc olbrzymich pajuków, hajduków, janczarów, kraśnych Kozaków, laufrów z cudzoziemska przybranych.

Na ulicach od rana do wieczora gwar ludzki, przejeżdżanie to chorągwi komputowych, to oddziałów konnej szlachty, krzyki komendy, migotanie zbroi i gołych szabel, rżenie koni, hurkot armat i śpiewy pełne grózb i przekleństw dla Szweda.

A dzwony w kościołach polskich, ruskich i ormiańskich biły nieustannie, zwiastując wszystkim, że król jest we Lwowie i że Lwów to ze stolic pierwszy, ku wieczystej swej chwale, przyjął króla wygnańca.

Bito mu też czołem, gdzie się tylko pokazał; czapki wylatywały w górę, a okrzyki: „vivat!“ wstrząsały powietrzem; bito czołem i przed karocami biskupów, którzy przez okna żegnali zgromadzone tłumy; kłaniano się też i wykrzykiwano senatorom, czcząc w nich wierność dla pana i dla ojczyzny.

Tak wrzało całe miasto. Nawet nocą palono na placach stopy drzewa, przy których koczowali mimo zimy i mrozu ci, którzy się w kwaterach dla zbytniego ścisłu pomieścić nie mogli.

Król zaś trawił dni całe na naradach z senatorami. Przyjmowano poselstwa zagraniczne, deputacje ziem i wojsk; obmyślano sposoby zapełnienia pustego skarbcza pieniędzmi; używano wszelkich sposobów, aby rozniecić wojnę tam wszędzie, gdzie nie płonęła dotąd.

Latali gońcy do miast znaczniejszych, we wszystkie strony Rzeczypospolitej, aż hen do dalekich Prus i na Żmudź świętą; do Tyszowiec, do hetmanów, do pana Sapiehy, który po zburzeniu Tykocina szedł z woj-

skiem swoim wielkimi pochodami na południe; szli gońcy i do pana chorążego wielkiego Koniecpolskiego, który jeszcze stał przy Szwedach. Tam, gdzie było trzeba, posyłano zasiłki pieniężne, ekscytowano ospalszych manifestami.

Król uznał, uświęcił i potwierdził konfederacją Tyszowiecką i sam do niej przystąpił, wzięwszy wodze wszelkich spraw w swe niestrudzone ręce: pracował od rana do nocy, więcej dobro Rzeczypospolitej, niż własny wczas, niż własne zdrowie ważąc.

Lecz jeszcze nie tu był kres jego usiłowań; postanowił bowiem zawrzeć w imieniu swoim i stanów takie przymierze, którego by żadna potęga ziemska przemóc nie zdołała, a któreby w przyszłości do poprawy Rzeczypospolitej mogło posłużyć.

Nadeszła nareszcie ta chwila.

Tajemnica musiała się przedrzeć od senatorów do szlachty, a od szlachty do pospólstwa, gdyż od rana mówiono; że w czasie nabożeństwa stanie się coś ważnego, że król jakieś uroczyste śluby będzie składał. Mówiono, o poprawie losów chłopskich i o konfederacji z niebem; inni wszelako twierdzili, że to są niebывałe rzeczy, których przykładów dzieje nie podają, ale ciekawość była podniecona i powszechnie czegoś oczekiwano.

Dzień był mroźny, jasny, drobnouchne żdźbła śniegu latały po powietrzu, błyszcząc nakształt iskier. Piechota łanowa lwowska i powiatu żydaczowskiego, w półszubkach błękitnych, bramowanych złotem i pół regimentu węgierskiego, wyciągnęły się w długi szereg przed katedrą, trzymając muszkiety przy nogach; przed nimi, nakształt pasterzy, przechodzili wzdłuż i wpoprzek oficerowie z trzciniami w rękę. Pomiędzy

dwoma szpalerami płynął jak rzeka do kościoła tłum różnobarwny. Więc najprzód szlachta i rycerstwo, a za nią senat miejski z łańcuchami pozłocistemi na szyjach i ze świecami w ręku, a prowadził go burmistrz, słynny na całe województwo medyk, przybrany w czarną togę aksamitną i biret; za senatem szli kupcy, a między nimi wielu Ormia. w zielonych ze złotem myckach na głowie i w obszernych wschodnich chałatach. Ci, chociaż do innego obrządku należąc, ciągnęli wraz z innymi, by stan reprezentować. Za kupiectwem dążyły cechy z chorągwiami, a więc: rzeźnicy, piekarze, szewcy, złotnicy, konwisarze, szychterze, płatnerze, kordybanci, miodowarzy i ilu tylko innych jeszcze było; z każdego ludzie wybrani szli za swoją chorągwią, którą niósł okazalszy od wszystkich urodą chorąży. Zaczem dopiero waliły bractwa różne i tłum pospolity, w łyczkowych kapotach, w kozuchach, guniach, sukmanach, mieszkańcy przedmieść, chłopci. Nie tamowano przystępu nikomu, dopóki kościół nie zapełnił się szczelnie ludźmi wszelakich stanów i płci obojej.

Nakoniec zaczęły zajeżdżać i karety, lecz omijały główne drzwi, albowiem król, biskupi i dygnitarze mieli osobne wejście bliżej wielkiego ołtarza. Co chwila wojsko prezentowało broń, następnie żołnierze spuszczały muszkiety do nogi i chuchali na zmarznięte dłonie, wyrzucając z piersi kłęby pary.

Zajechał król z nuncyuszem Widonem, potem arcybiskup gnieźnieński z księciem biskupem Czarotoryskim, potem ksiądz biskup krakowski, ksiądz arcybiskup lwowski, kanclerz wielki koronny, wielu wojewodów i kasztelanów. Ci wszyscy znikali w bocznych drzwiach, a ich karoce, dwory, masztalerze i wszelkiego

rodzaju dworscy utworzyli jakby nowe wojska, stojące z boku katedry.

Ze mszą wyszedł nuncyusz apostolski Widon, przybrany na purpurze w ornat biały, naszywany perłami i złotem.

Dla króla urządzono klęcznik między wielkim ołtarzem a stallami, przed klęcznikiem leżał rozpostarty dywan turecki. Kanonickie krzesła zajęli biskupi i świeccy senatorowie.

Różnobarwne światła, wchodzące przez okna w połączeniu z blaskiem świec, od których ołtarz gorzeć się zdawał, padały na twarze senatorskie, ukryte w cieniu kanonickich krzesel, na białe brody, na wspinałe postawy, na złote łańcuchy, aksamity i fiolety. Rzekłbyś: rzymski senat, taki w tych starcach majestat i powaga; gdzieniegdzie wśród sędziwych głów widać twarz senatora-wojownika, gdzieniegdzie błysnie jasna główka młodego panięcia; wszystkie oczy utkwione w ołtarz, wszyscy modlą się; błyszczą i chwieją się płomienie świec; dymy z kadzielnic igrają i kłębią się w blaskach. Z drugiej strony stallów kościół nabity głowami, a nad głowami tęcza chorągwi, jako tęcza kwiatów się mieni.

Majestat króla Jana Kazimierza padł wedle zwyczaju krzyżem i korzył się przed Majestatem Bożym. Wreszcie wydobył ksiądz nuncyusz z cyborium kielich i zbliżył się z nim do klęcznika. Wówczas król podniósł się z jaśniejszą twarzą, rozległ się głos nuncyusza: „*Ecce Agnus Dei*“ i król przyjął komunię.

Przez jakiś czas klęczał schylony; nakoniec podniósł się, oczy zwrócił ku niebu i wyciągnął obie ręce.

Uciszyło się nagle w kościele, tak, że oddechów ludzkich nie było słychać. Wszyscy odgadli, że chwila nadeszła i że król jakiś ślub będzie czynił; wszyscy słuchali w skupieniu ducha, a on stał ciągle z wyciągniętymi rękoma, wreszcie głosem wzruszonym, ale jak dzwon donośnym, tak mówić począł:

„Wielka człowieczeństwa Boskiego Matko i Panno! Ja, Jan Kazimierz, Twego Syna, Króla królów i Pana mego i Twojem zmiłowaniem się król, do Twych Najświętszych stóp przychodząc, tę oto konfederacyą czynię: Ciebie za Patronkę moję i państwa mego Królową dzisiaj obieram. Mnie, Królestwo moje Polskie, Wielkie Księstwo Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflanckie i Czernihowskie, wojsko obojga narodów i pospólstwo wszystkie, Twojej osobliwej opiece i obronie polecam; Twojej pomocy i miłosierdzia w terazniejszym utrapieniu królestwa mego, przeciwko nieprzyjaciołom pokornie żebrzę...“

Tu padł król na kolana i milczał chwilę, w kościele cisza ciągle trwała śmiertelna, więc wstawszy, tak dalej mówił:

„A że wielkiemi Twemi dobrodziejstwami zniewolony, przymuszony jestem z narodem polskim do nowego i gorącego Tobie służenia obowiązku, obiecuję Tobie, mojem, ministrów, senatorów, szlachty i pospólstwa imieniem, Synowi Twemu Jezusowi Chrystusowi, Zbawicielowi naszemu, cześć i chwałę przez wszystkie krainy królestwa polskiego rozszerzać, czynić wolę, że gdy za zlitowaniem Syna Twego otrzymam wiktoryą nad Szwedem, będę się starał, aby rocznica w państwie mem odprawiała się solennie do skończenia

świata, rozpamiętywaniem łaski boskiej i Twojej, Panno Przczysta!“

Tu znów przerwał i klęknął. W kościele uczynił się szmer, lecz głos królewski wnet go uciszył i choć drżał teraz skruchą, wzruszeniem, tak dalej mówił jeszcze donośniej:

„A że, z wielkim żalem serca mego uznaję, dla jęczenia w opresyi ubogiego pospółstwa oraczów, przez żołnierstwo uciemionego, od Boga mego sprawiedliwą karę przez siedem lat w królestwie mojem różnemi plagami trapiącą nad wszystkich ponoszę, obowiązuję się, iż po uczynionym pokoju starać się będę ze stanami Rzeczypospolitej, usilnie, ażeby odtąd utrapione pospółstwo wolne było od wszelkiego okrucieństwa, w czem Matko miłosierdzia, Królowo i Pani moja, jakoś mnie natchnęła do uczynienia tego wotum, abys łaską miłosierdzia u Syna Twego uprosiła mi pomoc do wypełnienia tego, co obiecuję“.

Słuchało tych słów królewskich duchowieństwo, senatorowie, szlachta, gmin. Wielki płacz rozległ się w kościele, który najprzód w chłopskich piersiach się zerwał i z onych wybuchnął, a potem stał się powszechny. Wszyscy wyciągnęli ręce ku niebu, rozplakane głosy powtarzały: „Amen! amen! amen!“ na świadectwo, że swoje uczucia i swoje wota ze ślubem królewskim łączą, Uniesienie ogarnęło serca i zbratały się w tej chwili w miłości dla Rzeczypospolitej i jej Patronki. Zaczem radość niepojęta jako czysty płomień rozpalila się na twarzach, bo w całym tym kościele nie było nikogo, ktoby jeszcze wątpił, że Bóg Szwedów pogrąży.

Król zaś po ukończonem nabożeństwie, wśród grzmotu wystrzałów z muszkietów i dział, wśród gromkich okrzyków: „wiktorya! wiktorya! niech żyje!“ jechał do grodu i tam onę niebieską konfederacją wraz z Tyszowiecką roborował.

ROZDZIAŁ XII.

Po owych uroczystościach różne wieści zaczęły nadlatywać jako ptastwo skrzydlate do Lwowa. Były dawniejsze i świeże, mniej lub więcej pomyślne, ale wszystkie dodawały ducha. Więc najprzód konfederacya Tyszowiecka szerzyła się jak pożar. Kto żyw przystępował do niej, zarówno ze szlachty, jak z pospólstwa. Miasta dostarczały wozów, strzelby i piechoty, Żydzi pieniądze. Nikt nie śmiał się przeciw jej uniwersałom; najospalsi na koń siadali. Nadszedł też i groźny manifest Witemberga, zwrócony przeciw związkowi. Ogień i miecz miał karać tych, którzy do niego przystępowali. Ale sprawiło to taki skutek, jakby kto chciał prochem płomień zasypać. Manifest ów, zapewne za wiedzą królewską i dla tem większego podniesienia zawziętości przeciw Szwedom, rozrzucono w wielkiej ilości egzemplarzy po Lwowie i nie godzi się mówić, co pospólstwo dokazywało z temi papierami, dość, że wiatr je nosił srodze pohańbione po lwowskich ulicach, żacy zaś pokazywali ku uciesze tłumów w jasełkach „Witembergową konfuzyą“, śpiewając przytem pieśń, poczynając się od słów:

Witemberku nieboże,
Lepiej zmykaj za morze
Jak zając!

Bo gdy sypną się guzy,
To pogubisz rajtuzy,
Zmykając!

On zaś, jakby czyniąc zadość słowom pieśni, zdał komendę w Krakowie dzielnemu Wirtzowi, a sam udał się śpiesznie do Elbląga, gdzie król szwedzki przebywał wraz z królową, trawiając czas na ucztach i radując się w sercu, że tak prześwietnego królestwa stał się panem.

Przyszły także do Lwowa doniesienia o upadku Tykocina i rozweseliły umysły. Dziwnem było, że poczęto o tem mówić, nim jakikolwiek goniec przybył. Nie zgadzano się tylko co do tego, czy książę wojewoda wileński umarł, czy w niewoli, twierdzono wszakże, że pan Sapieha na czele znacznej potęgi wszedł już z Podlasia w województwo lubelskie, ażeby się z hetmanami połączyć, że po drodze bije Szwedów i z każdym dniem w siłę rośnie.

Nakoniec od niego samego przybyli posłowie i w znacznej liczbie, bo ni mniej ni więcej tylko całą chorągiew przysłał wojewoda do dyspozycji królewskiej, pragnąc przez to okazać cześć panu, zabezpieczyć od wszelkiej możliwej przygody jego osobę, a może i własne podnieść przez to znaczenie.

Przywiódł ów znak młody pułkownik Wołodjowski, dobrze królowi znajomy, zaraz też Jan Kazimierz kazał mu stanąć przed sobą i ścisnąwszy za głowę, rzekł:

— Witaj sławny żołnierzyku! Siła upłynęło wody, od kiedy straciliśmy cię z oczu. Bodaj, że pod Bere-

steczkiem widzieliśmy cię ostatni raz, całego we krwi unurzonego.

Pan Michał pochylił się do kolan pańskich i odrzekł:

— I w Warszawie później, miłościwy panie, byłem też w zamku z dzisiejszym panem kasztelanem kijowskim.

— A służył cię ciągle? Nie zachciało ci się to domowych wczasów użyć?

— Bo Rzeczpospolita była w potrzebie, a w onych zawieruchach i substancya przepadła. Nie mam, gdziebym głowę złożył, miłościwy panie, ale sobie nie przykrzę, tak myśląc, że to dla majestatu i ojczyzny pierwsza żołnierska powinność.

— Bodaj takich więcej! bodaj więcej... Nie panoszyłby się nieprzyjaciel. Da Bóg, przyjdzie czas i na nagrody, a teraz powiadaj, coście z wojewodą wileńskim uczynili?

— Wojewoda wileński na sądzie Bożym. Właśnie wtedy z niego duch wyszedł, gdyśmy do ostatniego szturmu szli.

— Jakżeto ono było?

— Oto jest relacya wojewody witebskiego — rzekł pan Michał.

Król wziął pismo i zaczął czytać, ale ledwie zaczął, zaraz przerwał:

— Myli się w tem pan Sapieha — rzekł — pisząc, iż wielka litewska buława *vacat*; nie *vacat*, bo jemu ją oddaję.

— Niema też nad niego godniejszego — odrzekł pan Michał — i całe wojsko będzie do śmierci waszej kr. mości za ten uczynek wdzięczne.

Uśmiechnął się król na owę prostoduszną konfidencją żołnierską i czytał dalej.

Po chwili westchnął.

— Mógłby Radziwiłł być najpiękniejszą perłą w tej sławnej koronie, gdyby duma i błędy, które wyznawał, nie wysuszyły mu duszy... Stało się! Niezbadane wyroki boskie!... Radziwiłł i Opaliński... prawie w jednym czasie... Sądź ich Panie, nie wedle ich grzechów, ale wedle Twojego miłosierdzia.

Nastało milczenie, poczem król zaczął dalej czytać.

— Wdzięczni jesteśmy panu wojewodzie, — rzekł, skończywszy — że mi całą chorągiew i największego, jako pisze, kawalera pod rękę przysyła. Ale tu mi bezpiecznie, a kawalerowie, zwłaszcza tacy owo, w polu teraz najpotrzebniejsi. Wypocznijcie trochę, a potem was panu Czarnieckiemu w sukurs podeszłę, bo na niego pewnie największy impet się zwróci.

— Dość my już wypoczywali pod Tykocinem, miłośniwy panie: — ozwał się z zapałem mały rycerz — teraz chybaby konie trochę odżywić, my zaś moglibyśmy i dziś jeszcze ruszyć, bo z panem Czarnieckim rozkosze będą niewypowiedziane!... Szczęście to wielkie patrzeć w oblicze miłośniwego naszego pana, ale do Szwedów też nam pilno.

Król rozpromienił się. Ojcowska dobroć osiadła mu na obliczu i rzekł, patrząc z zadowoleniem na siarczystą postać małego rycerza:

— Tyś to, żołnierzyku, pierwszy pułkownikowską buławę pod nogi nieboszczykowi księciu wojewodzie rzucił?

— Nie pierwszym rzucił, wasza kr. mość, ałem

pierwszy raz, a daj Boże, ostatni, przeciw dyscyplinie wojennej wykroczył.

Tu zaciął się pan Michał i po chwili dodał:

— Nie lża było inaczej!

— Pewnie — rzekł król. — Ciężkie to były, czasy, na tych, którzy powinność wojskową rozumieją, ale i posłuch musi mieć swoje granice, za którymi się wina rozpoczyna. Siła tam starszyny przy Radziwille się ostało?

— W Tykocinie znaleźliśmy z oficyjerów jednego tylko pana Charłampa, który zrazu księcia nie opuściwszy, nie chciał go potem w mizeryi opuszczać. Kompasya go jeno przy księciu trzymała, bo afekt przyrodzony do nas ciągnął. Ledwieśmy go odkarmili, taki tam już był głód, a on sobie jeszcze od gęby odejmował, aby księcia pożywić. Teraz tu do Lwowa przyjechał, miłosierdzia waszej królewskiej mości błagać, a i ja do nóg twoich za nim, miłościwy panie, upadam, bo to człek służył i dobry żołnierz.

— Niechże tu przyjdzie — rzekł król.

— Ma on też ważną rzecz waszej królewskiej mości, panu memu miłościwemu, objawić, którą był z ust księcia Bogusława w Kiejdanach słyszał, a która zdrowia i bezpieczeństwa świętej dla nas osoby waszej kr. mości attinet.

— Czy nie o Kmicicu?

— Tak jest, miłościwy panie!...

— A ty znałeś Kmicica?

— Znałem i biłem się z nim, ale gdzieby teraz był, tego nie wiem.

— Co o nim myślisz?

— Miłościwy panie, skoro on takiej imprezy się

podjął, to niema tych mąk, którychby nie był godzien, bo wyrzutek to z piekła rodem.

— To nieprawda, — rzekł król — wszystko to księcia Bogusława wymyślił... Ale położywszy na stronę owę sprawę, powiadaj, co o tym człeku wiesz z jego dawniejszych czasów?

— Żołnierz to był zawsze wielki i w dziele wojennem niezrównany. Tak jak on Chowańskiego podchodził, że w kilkaset ludzi do utrapienia całą potencją nieprzyjacielską przywiódł, tegoby nikt inny nie potrafił. Cud, że z niego skóry nie zdarto i na bęben nie naciągniono! Gdyby kto był wówczas Chowańskiemu samego księcia wojewodę w ręce wydał, jeszczeby go tak nie usatysfakcyonował, jak z Kmicica podarek mu uczyniwszy... Jakże! do tego doszło, że Kmicic Chowańskiego sztućcami jadał, na jego kobierczyku sypiał, jego saniami i na jego koniu jeździł. Ale potem i dla swoich był ciężki, swawolił okrutnie, kondemnatami *instar* pana Łaszczka mógł sobie kierejkę podszyć, a już w Kiejdanach całkiem się pograżał.

Tu pan Wołodyjowski opowiedział szczegółowo wszystko, co zaszło w Kiejdanach.

Jan Kazimierz zaś słuchał chciwie, a gdy wreszcie doszedł pan Michał do tego, jak pan Zagłoba uwolnił najprzód siebie, a potem wszystkich kompanionów z radziwiłłowskiej niewoli, począł się król za boki brać ze śmiechu.

— *Vir incomparabilis! vir incomparabilis!* — powtarzał. — A jestże on tu z tobą?

— Na rozkazy waszej kr. mości! — odpowiedział Wołodyjowski.

— Ulisesa ten szlachcic przeszedł! Przeprowadź-

że mi go do stołu na wesołą chwilę i panów Skrzetuskich z nim razem, a teraz powiadaj, co wiesz więcej o Kmicicu?

— Z listów przy Rochu Kowalskim znalezionych dowiedzieliśmy się dopiero, iż po śmierć nas do Birżów posyłano. Gonił nas jeszcze książę i wojskiem starał się otoczyć, ale nie przykrył. Wymknęliśmy się szczęśliwie... I niedość, bośmy niedaleko Kiejdan Kmicica złapali, którego zaraz na rozstrzelanie ordynowałem.

— Oj! — rzekł król. — To widzę, prędko tam u was na Litwie szło!

— Wszelako przedtem pan Zagłoba kazał go obszukać, jeśli jakowych listów przy sobie nie ma. Jakoż znalazło się pismo hetmańskie, z którego dowiedzieliśmy się, że gdyby nie Kmicic, toby nas do Birżów nie wywożono, ale nie mieszkając, w Kiejdanach rozstrzelano.

— A widzisz! — wtrącił król.

— Potem tedy nie godziło nam się więcej na żywot jego nastawać. Puściliśmy go... Co dalej czynił, nie wiem, ale od Radziwiłła jeszcze nie odszedł. Bóg raczy wiedzieć, coto za człowiek... Łatwiej o każdym innym mieć opinią, niż o takim wicherze. Przy Radziwiłle został, potem gdzieś jechał... I znowu ostrzegł nas, iż książę z Kiejdan ciągnie. Trudno negować, jak znaczną nam przysługę oddał, bo gdyby nie owo ostrzeżenie, byłby wojewoda wileński na ubezpieczone wojska napadał i pojedynczo chorągwie znosił... Sam nie wiem, miłościwy panie, co mam myśleć... Jeśli to oszczerstwo, co książę Bogusław powiadał...

— Zaraz się to okaże — rzekł król...

I zaklaskał w dłonie.

— Zawołaj tu pana Babinicza — rzekł do pazia, który ukazał się w progu.

Paz zniknął, a po chwili drzwi komnaty królewskiej otwarły się i stanął w nich pan Andrzej. Pan Wołodyjowski nie poznał go zrazu, był bowiem młody rycerz bardzo zmieniony i wybladły, jako że od ostatniej walki w wężozie nie mógł jeszcze przyjść do siebie. Patrzył tedy na niego pan Michał, nie poznawając.

— Dziw! — ozwał się wreszcie — gdyby nie chudość gęby i nie to, że wasza kr. mość inne powiedziała nazwisko, rzekłbym: panie Kmicic!

Król uśmiechnął się i odrzekł:

— Opowiadał mi tu właśnie ów mały rycerz o jedynym okrutnym hultaju, który się tak nazywał, ale jam mu jako na dłoni wywiódł, że się w swym sądzie pomylił i pewien jestem, że mi pan Babinicz przyświadczy.

— Miłościwy panie, — odparł prędko Babinicz — jedno słowo w. kr. mości lepiej tego hultaja oczyści, niż największe moje przysięgi!

— I głos ten sam — mówił ze wzruszającym zdumieniem mały pułkownik — jeno tej blizny przez gębę nie było.

— Mości panie, — rzekł na to Kmicic — łeb szlachecki, to rejestr, na którym coraz inna ręka szablą pisze... Ale jest tu i twoja konotatka, poznajże mnie...

To rzekłszy, schylił podgołoną głowę i wskazał palcem na długą białawą brózdę, ciągnącą się tuż koło czuba.

— Moja ręka! — krzyknął pan Wołodyjowski — to Kmicic!

— A ja ci mówię, że ty Kmicica nie znasz! — wtrącił król.

— Jakto, miłościwy panie?....

— Boś znał wielkiego żołnierza, ale swawolnika i radziwiłłowskiego w zdradzie socyusza... A tu stoi Hektor częstochowski, któremu Jasna Góra po księdu Kordeckim najwięcej zawdzięcza, tu stoi obrońca ojczyzny i sługa mój wierny, który mnie własną pierśią zastawił i życie mi ocalił, gdym w wąwozach, jako między stadem wilków, dostał się między Swedów. Takito ów nowy Kmicic... Poznajże go i pokochaj, bo wart tego!

Pan Wołodyjowski począł ruszać żółtymi wąsikami, nie wiedząc, co rzec, a król dodał:

— I wiedz o tem, że nie tylko on nie księciu Bogusławowi nie obiecywał, ale pierwszy na nim za ich praktyki zemstę wywarł, bo go porwał i chciał go w wasze ręce wydać.

— I nas ostrzegł przed księciem wojewodą wileńskim! — zawołał mały rycerz. — Jakież anioł tak waszmości nawrócił?

— Uściskajcie się! — rzekł król.

— Odrazum waszmości pokochał! — ozwał się pan Kmicic.

Więc padli sobie w objęcia, a król patrzył na to i usta raz po razu, wedle swojego zwyczaju, z zadowoleniem wydymał. Kmicic zaś ścisnął tak serdecznie małego rycerza, że aż go w górę podniósł jak kota i nieprędko napowrót na nogi postawił.

Poczem król wyszedł na codzienną naradę, zwłaszcza że i obaj hetmani koronni przybyli do Lwowa, którzy mieli tam wojsko tworzyć, aby później poprowadzić je w pomoc panu Czarnieckiemu i konfede-

rackim oddziałom, uwijającym się pod różnymi wodzami po kraju.

Rycerze zostali sami.

— Pójdź waszmość pan do mojej kwatery, — rzekł Wołodujowski — znajdziesz tam Skrzetuskich i pana Zagłobę, którzy radzi usłyszają to, co mnie król jego mość powiadał. Jest też tam i pan Charłamp.

Lecz Kmicic przystąpił do małego rycerza z wielkim niepokojem w twarzy.

— Siła ludzi znaleźliście przy księciu Radziwille? — spytał.

— Ze starszyny jeden Charłamp był przy nim.

— Nie o wojskowych pytam, dla Boga!... a z niewiaśc?...

— Zgaduję o co chodzi: — odparł, zapłoniwszy się nieco, mały rycerz — pannę Billewiczównę książe Bogusław wywiózł do Taurogów.

Na to zmieniło się w oczach oblicze Kmicica; więc najprzód stało się blade jak pergamin, potem czerwone, potem jeszcze bielsze, niż poprzednio. Zrazu słowa nie znalazł, jeno nozdrzami parsknął, chwytając powietrze, którego widocznie nie stawało mu w pierśsiach. Następnie chwycił się obu rękoma za skronie i biegając jak szalony po komnacie, jął powtarzać:

— Gorze mnie, gorze, gorze!

— Chodź waść, Charłamp lepszą ci zda relacją, bo był przy tem — rzekł Wołodujowski.

ROZDZIAŁ XIII.

Wyszedszy od króla, szli obaj rycerze w milczeniu. Wołodyjowski mówić nie chciał, Kmicic nie mógł, bo go ból i wściekłość kasały; przebijali się tedy przez tłumy, które się były zebrały na ulicach bardzo licznie, wskutek wieści, że pierwszy zagonik Tatarów, obiecanych przez chana królowi, nadciągnął i ma wejść do miasta, aby się zaprezentować królowi. Mały rycerz prowadził, Kmicic leciał jak błędny za nim, z kołpakiem nasuniętym na oczy, potrącając ludzi po drodze.

Dopiero, gdy wyszli na miejsce przestronniejsze, pan Michał chwycił Kmicica za przegub ręki i rzekł:

— Pomiarkuj się waść!... Desperacyą nic nie wskórasz!...

— Ja nie desperuję, — odrzekł Kmicic — jeno mi jego krwi potrzeba!

— Możesz być pewien, że go między nieprzyjaciółmi ojczyzny znajdziesz!

— Tem lepiej! — mówił gorączkowo pan Andrzej — ale choćbym go i w kościele znalazł...

— Dla Boga nie bluźnij! — przerwał coprędzej mały pułkownik.

— Ten zdrajca do grzechu mnie przywodzi!

Zamilkli na chwilę, poczem pierwszy pan Kmicie spytał:

— Gdzie on teraz jest?

— Może w Taurogach, a może i nie. Charłamp będzie lepiej wiedział.

— Chodźmy!

— Już niedaleko. Chorągiew za miastem stoi, a my tu... i Charłamp z nami.

Wtem Kmicie począł oddychać tak ciężko, jak człowiek, który pod stromą górę wchodzi.

— Słabym jeszcze okrutnie — ozwał się.

— Tem większego pomiarkowania waszmości potrzeba, ile że z takim rycerzem będziesz miał sprawę.

— Już raz miałem i ot! co mi po niej ostało.

To rzekłszy, Kmicie ukazał na pręgę w twarzy.

— Powiedźże mi waść, jako to było, bo król jegomość ledwie wspomniał?

Pan Kmicie począł opowiadać i choć przytem zębami zgrzytał i aż kołpaczkiem cisnął o ziemię, jednak myśl jego oderwała się od nieszczęścia i uspokoił się trochę.

— Wiedziałem, żeś waść rezolut — rzekł mały rycerz — ale żeby Radziwiłła zpośród jego chorągwi porwać, tegom się i po waćpanu nie spodziewałem.

Tymczasem doszli do kwatery. Dwaj Skrzetuscy, pan Zagłoba, dzierzawca z Wąsoszy i Charłamp zajęci byli oglądaniem kożuszków krymskich, które handlujący Tatar przyniósł właśnie do wyboru. Charłamp, który najlepiej znał Kmicica, poznał go też od jednego rzutu oka i upuściwszy kożuszek, zakrzyknął:

— Jezus, Marya!

— Niech będzie Imię Pańskie pochwalone! —
zawołał dzierżawca z Wąsoszy.

Lecz zanim wszyscy ochłonęli ze zdziwienia, Wo-
łodyjowski rzekł:

— Przedstawiam waszmościom częstochowskiego
Hektora i wiernego sługę królewskiego, któren za wia-
rę, ojczyznę i majestat krew przelewał.

Tu, gdy zdziwienie jeszcze wzrosło, począł zacny
pan Michał opowiadać z wielkim zapałem, co od króla
o kmicicowych zasługach, a od samego pana Andrzeja
o porwaniu księcia Bogusława słyszał i wreszcie tak
skończył:

— Nietylko więc nieprawda to jest, co książę Bo-
gusław o tym kawalerze powiadał, ale przeciwnie: nie
ma on większego wroga od pana Kmicica i dlatego
pannę Billewiczównę z Kiejdan wywiózł, aby w jaki-
kolwiek sposób zemstę nad nim wyrzucić.

— I nam ten kawaler życie ocalił i konfederackie
chorągwie przed księciem wojewodą ostrzegł — zawołał
pan Zagłoba. — Wobec takich zasług, za nic dawne
grzechy! Dla Boga! dobrze, że z tobą, panie Michale,
nie sam do nas przyszedł, dobrze też, że chorągiew
nasza za miastem, bo okrutna w laudańskich przeciwko
niemu zawziętość i zanimby zipnął, wprzódby go byli
na szablach roznieśli.

— Witamy waszmości całym sercem, jako brata
i przyszłego kammilitona! — rzekł Jan Skrzetuski.

Charłamp aż się za głowę brał.

— Taki się nigdy nie pogrąży! — mówił — z każ-
dej strony wypłynie i jeszcze sławę na brzeg wyniesie!

— A nie mówiłem wam tego! — wołał Zagłoba —
jakem go tylko w Kiejdanach ujrzał, zarazem sobie

pomyślał: to żołnierz i rezolut! I pamiętacie, że wnet poczęliśmy się w gębę całować. Prawda, że za moją przyczyną Radziwiłł pogrążon, ale i za jego. Bóg mnie natchnął w Billewiczach, żem go nie dopuścił rozstrzelać... Mości panowie, nie godzi się takiego kawalera sucho przyjmować, aby zaś nas o nieszczerłość nie posądził!

Usłyszawszy to Rzędzian, wyprawił zaraz Tatara z kozuszkami, a sam zakrzętnął się z pacholkiem około napitków.

Lecz pan Kmicic myślał tylko o tem, aby się od Charłampa o wyzwoleniu Oleńki jaknajprędzej wywiedzieć.

— Byłeś waść przy tem? — pytał.

— Prawie, żem się z Kiejdan nie ruszał — odrzekł nosacz. — Przyjechał książę Bogusław do naszego księcia wojewody. Na wieczerzę wystroił się tak, że oczy bolały patrzeć i widać było, że mu panna Billewiczówna bardzo w oko wpadła, bo ledwie że nie mrucał z ukontentowania, jak kot, gdy go po grzbiecie głaszczą. Ale o kocie powiadają, że pacierze odmawia, a książę Bogusław, jeśli je odmawiał, to chyba dyabłu na chwałę. A przymilał się, a łasił, a zalecał...

— Zaniechaj! — rzekł pan Wołodyjowski — zbyt wielką mękę temu rycerzowi zadajesz!

— Przeciwnie! Mów waść, mów! — zawołał Kmicic.

— Gadał tedy przy stole, — rzekł Charłamp — iż nie żadna to ujma nawet i Radziwiłłom ze szlachciankami się żenić i że on sam wolałby wziąć szlachciankę, niż one księżniczki, które mu ichmość królestwo francuscy swatali, a których nazwisk nie spaamiętałem, bo

takie były cudaczne, jakoby kto ogary w kniei nawo-
tywał.

— Mniejsza z tem! — rzekł Zagłoba.

— Owoż, widocznie to mówił, aby onę pannę ska-
ptować, co my zrozumiawszy zaraz, poczęliśmy jeden na
drugiego spoglądać i mrógać, słusznie mniemając, że
się potrzask na inocencyą gotuje.

— A ona? a ona?!... — pytał gorączkowo
Kmicic.

— Ona, jakoto dziewczka z wielkiej krwi i górnej
maniery, żadnego nie pokazywała ukontentowania, zgoła
na niego nie patrząc, dopieroż gdy o waszmość panu
mówić książę Bogusław począł, zaraz w niego utkwiała
oczy. Straszna rzecz, co się stało, gdy powiedział, iżes
mu się wasza mość ofiarował za ileś tam dukatów króla
porwać i żywego albo umarłego Szwedom dostawić.
Myśleliśmy, że dusza z panny wyjdzie, ale cholera na
waćpana tak była w niej wielka, że słabość niewieścią
przemogła. Jak on też zaczął prawić, z jaką abomi-
nacyą waszmościne propozycye odrzucił, dopieroż za-
częła go wielbić i wdzięcznie nań spoglądać, a potem
już i ręki mu nie umknęła, gdy ją od stołu chciał
odprowadzić.

Kmicic oczy dłońmi zatknął.

— Bijże, bij! kto w Boga wierzy! — powtarzał.
Nagle zerwał się z miejsca.

— Bądźcie waszmościovie zdrowi!

— Jakżeto? dokąd? — pytał Zagłoba, zastąpi-
wszy mu drogę.

— Król mi permisją da, a ja pojedę i znajdę
go! — mówił Kmicic.

— Na rany boskie! czekaj waść! Jeszcze się

wszystkiego nie dowiedział, a szukać go masz czas. Z kim pojedziesz? gdzie go znajdziesz?

Kmicic może byłby nie słuchał, ale sił mu zbrakło, gdyż był ranami wycieńczony, więc obsunął się na ławę i plecami wsparłszy się o ścianę, przymknął oczy.

Zagłoba podał mu kielich wina, a on chwycił go drżącymi rękoma i rozlewając płyn na brodę i piersi, wychylił do dna.

— Niemasz tu nic straconego, — rzekł Jan Skrzetuski — jeno roztropności trzeba tem większej, że z tak znamienitym panem sprawa. Prędkim uczynkiem, a nagłą imprezą, możesz waćpan zgubić pannę Billewiczównę i siebie.

— Wysłuchaj Charłampa do końca — rzekł pan Zagłoba.

Kmicic zacisnął zęby.

— Słucham cierpliwie.

— Czy chętnie panna wyjeżdżała, — ozwał się Charłamp — tego nie wiem, bom przy jej wyjeździe nie był; wiem, że pan miecznik rosieński protestował, któremu najprzód perswadowano, potem go w cekhauzie zamknięto, a wreszcie pozwolono wolno do Billewicz odjechać. Panna w złych rękach, niema co ukrywać, bo wedle tego, co o młodym księciu powiadają, bisurmanin żaden na płęć gładką nie jest tak łasy. Gdy mu białogłowa jaka w oko wpadnie, wówczas choćby była zameżna, gotów i o to nie dbać.

— Gorze! gorze! — powtórzył Kmicic.

— Szelma! — krzyknął Zagłoba.

— Dziwno mi tylko to, że ją książę wojewoda zaraz Bogusławowi wydał! — rzekł Skrzetuski.

— Ja nie statysta, — odrzekł na to Charłamp —

więc powtórzę waszmościom jeno to, co oficyjerowie powiadali, a mianowicie Ganchoff, który wszystkie arcana książęce wiedział. Słyszałem na własne uszy, jak ktoś wykrzyknął przy nim: „Nie pożywi się Kmicic po naszym młodym księciu!“ — a Ganchoff powiada tak: Więcej tam polityki w tem wywiezieniu, niż afektu. Żadnej (powiada) książę Bogusław nie daruje, ale byle mu ta panna opór dała, to w Taurogach nie będzie mógł z nią uczynić, jak z innemi; bo hałasoby powstały, tam zaś księżna wojewodzina z córką bawi, na które Bogusław musi się wielce oglądać, gdy do ręki młodej księżniczki pretenduje. . . Ciężko mu będzie (powiada) cnotliwego udawać, ale w Taurogach musi.

— Kamień powinien waści spaść z serca! — zawołał pan Zagłoba — bo widać z tego, że nic dziewce nie grozi.

— To czemu ją wywiózł? — wrzasnął Kmicic.

— Dobrze, że się do mnie udajesz, — odpowiedział Zagłoba — bo ja niejedno wnet wyrozumiem, nad czem kto inny rokby napróżno głowę łamał. Czemu ją wywiózł? Nie neguję, że mu musiała wpaść w oko, ale wywiózł ją i dlatego, aby przez nią wszystkich Billewiczów, którzy są liczni i możni, od nieprzyjacielskich uczynków przeciw Radziwiłłom powstrzymać.

— Może to być! — rzekł Charłamp. — To pewna, że w Taurogach bardzo musi żądze przyrodzone miarkować i *ad extrema* posunąć się nie może.

— Gdzie on teraz jest?

— Książę wojewoda suponował w Tykocinie, że musi być u króla szwedzkiego w Elblągu, do którego po posiłki miał jechać. To pewna, że go teraz w Taurogach niemasz, bo go tam posłańcy nie znaleźli.

Tu Charłamp zwrócił się do Kmicica:

— Chcesz wasza mość posłuchać prostego żołnierza, to powiem, co myślę: jeżeli tam pannę Billewiczównę już jaka przygoda w Taurogach spotkała, albo jeżeli książę afekt w niej rozbudzić zdołał, to wasza mość nie masz tam po co jechać, jeżeli zaś nie, jeżeli jest przy księżnej pani i z nią razem do Kurlandyi pojedzie, to tam bezpieczniejsza, niż gdziekolwiek i lepszego miejsca nie znalazłbyś wasza mość dla niej w całej tej Rzeczypospolitej, zalanej płomieniem wojny.

— Jeśliś waść taki rezolut, jako powiadają, a jak i ja sam mniemam, — wtrącił Skrzetuski — to najprzód ci Bogusława dostać, a mającego w ręku, wszystko otrzymasz.

— Gdzie on teraz jest? — powtórzył Kmicic, zwracając się do Charłampa.

— Jużem waszej mości powiedział, — odparł nosacz — ale wasza mość od zgryzot się zapamiętywasz. Suponuję, że jest w Elblągu i pewnie wraz z Carolusem Gustawem w pole przeciw panu Czarnieckiemu ruszy.

— Waść zaś najlepiej uczynisz, gdy z nami do pana Czarnieckiego ruszysz, bo w ten sposób prędko się z Bogusławem spotkać możecie — rzekł pan Wołodyjowski.

— Dziękuję waszmościom za życzliwe rady! — zawołał Kmicic.

I począł się żegnać żywo ze wszystkimi, oni zaś nie zatrzymywali go, wiedząc, że człek strapiony ni do rozmowy, ni do kielicha niezdatny, natomiast pan Wołodyjowski rzekł:

— Odprowadzę waszmość do arcybiskupiego pałacu, boś tak zalterowan, że jeszcze gdzie na ulicy padniesz.

— I ja! — rzekł Jan Skrzetuski.

— To chodźmy wszyscy! — dodał Zagłoba.

Przypasali więc szable, nałożyli burki ciepło i wyszli. Na ulicach jeszcze więcej było ludzi, niż poprzednio. Co chwila spotykali oddziały zbrojnej szlachty, żołnierzy, sług pańskich i szlacheckich, Ormian, Żydów, Wołochów, ruskich chłopów z przedmieść popalonych w czasie dwóch napadów Chmielnickiego.

Kupcy stali przed swemi sklepami, okna domów pełne były głów ciekawych. Wszyscy powtarzali, że czambulik już nadszedł i że niebawem przeciagnie przez miasto, ażeby prezentować się królowi. Kto żyw chciał widzieć ów czambulik, bo wielka to była osobliwość spoglądać na Tatarów przejeżdżających spokojnie przez ulice grodu. Inaczej dotąd Lwów widywał tych gości, a raczej widywał ich tylko za murami, w postaci chmur nieprzejrzaných, na tle płonących przedmieść i okolicznych wiosek. Teraz mieli wjechać jako sojusznicy przeciw Szwedom. To też rycerze nasi zaledwie mogli utorować sobie przez tłumy drogę. Co chwila okrzyki: „Jadą! jadą!“ przebiegały z jednej ulicy na drugą, a wówczas tłumy zbijały się w tak gęste masy, że ani podobna było kroku postąpić.

— Ha! — rzekł Zagłoba — przystańmy nieco. Panie Michale, przypomną nam się niedawne czasy, gdyśmy to nie z boku, ale wprost w ślepią patrzyli tym skurczybykom. A jażto i w niewoli u nich siedziałem. Powiadają, że przyszły chan kubek w kubek do mnie podobny... Ale co tam przeszłe zbytki wspominać!

— Jadą! jadą! — rozległo się znów wołanie.

— Bóg serca psu bratów odmienił, — mówił dalej Zagłoba — że zamiast krainy ruskie pustoszyć, w su-

kurs nam idą... Cud to wyraźny! Bo powiadam wam, iż gdyby za każdego poganina, którego ta stara ręka do piekła wysłała, jeden grzech mi był odpuszczony, jużbym był kanonizowany i wigilią musielibyście do mnie pościć, albo byłbym na wozie ognistym żywcem do nieba porwan.

— A pamiętasz waćpan, jakto było wonczas, gdyśmy to znad Waładynki od Raszkowa do Zbaraża jechali?...

— Jakże nie pamiętam! Coś to w wykrot wpadł, a ja za nimi przez gąszcza aż do gościńca pogałem. To, jakeśmy po ciebie wrócili, wszystko rycerstwo nie mogło się oddziwić, bo co kierz, to jedna bestya leżała.

Pan Wołodyjowski pamiętał, że wonczas było wcale naodwrot, ale zrazu nic nie odrzekł, bo się bardzo zdumiał, nim zaś ochłonał, głosy po raz dziesiąty, czy któryś poczęły wołać:

— Jada! jada!...

Okrzyk stał się powszechny, potem ucichło i wszystkie głowy zwróciły się w tę stronę, z której czambulik miał nadciągnąć. Jakoż zdala ozwała się wrzaskliwa muzyka, tłumy zaczęły się rozstępować ze środka ulicy ku ścianom domostw, z końca zaś ukazali się pierwsi tatarscy jezdcy.

— Patrzcie! i kapelę mają ze sobą, to u Tatarów niezwyuczajna rzecz.

— Bo się chcą jaknajlepiej zaprezentować, — odrzekł Jan Skrzetuski — ale przecie niektóre czambuły mają swoich muzykantów, którzy im przygrywają, gdy koszem gdzie na dłuższy czas zapadną. Wyborowy też to musi być komunik!

Tymczasem jezdcy zbliżyli się i poczęli przecią-

gać mimo. Najprzód jechał na srokatym koniu śniady, jakoby w dymie uwędzony Tatar, dwie piszczałki w gębie mający. Ten, przechyliwszy w tył głowę i zamknięwszy oczy, przebierał po owych dudkach palcami, wydobywając z nich tony piskliwe i ostre, a tak szybkie, że ucho zaledwie je ułović mogło. Za nim jechało dwóch trzymających kije, przybrane na górnych końcach w mosiężne brzękułki i potrząsających niemi jakoby z wściekłością; tuż dalej kilku dźwiękało przeraźliwie w miedziane talerze, inni bili w bębny, inni grali kozacką modą na teorbanach, wszyscy zaś, z wyjątkiem piszczalników, śpiewali, a raczej wyli od czasu do czasu do wtóru dziką pieśń, błyskając przytem zębami i przewracając oczy. Za tą niesformą i dziką muzyką, która przesuwiała się jak gomon przed mieszkańcami Lwowa, cłapał po cztery konie w rzędzie cały oddział, złożony z około czterystu ludzi.

Był to istotnie wyborowy komunik, na pokaz i cześć królowi polskiemu, do jego rozporządzenia, jako zadatek przez chana przysłany. Dowodził nim Akbah-Ułan z dobruckich, zatem najtęższych w boju Tatarów, stary i doświadczony wojownik, wielce w ałusach dla swojego męstwa i srogości szanowany. Jechał on teraz w środku, między muzyką a resztą oddziału, przybrany w różową aksamitną, ale mocno wypłowiałą i zaciasną na jego potężną figurę szubę, wytartemi kunami podbitą. Na brzuchu trzymał piernacz, taki, jakiego zażywali pułkownicy kozaccy. Czerwona jego twarz stała się od chłodnego wiatru siną i kołysał się nieco na wysokiej kulbace, od czasu do czasu spoglądał na boki, albo obracał głowę ku swym Tatarom, jakoby nie był zupełnie pewien, czy wytrzy-

mają na widok tłumów, niewiast, dzieci, sklepów otwartych, towarów kosztownych i czy nie rzucą się z dzikim okrzykiem na te cuda.

Lecz oni jechali spokojnie, jako psy na sforze prowadzone i bojące się harapa i tylko z ponurych a łakomych spojrzeń można było dociec, co się dzieje w duszach tych barbarzyńców. Tłumy zaś patrzyły na nich ciekawie, chociaż prawie nieprzyjaźnie, tak wielka była w tych stronach Rzeczypospolitej przeciw pogaństwu zawziętość. Od czasu do czasu zrywały się okrzyki: „A hu! a hu!“ jakoby na wilków. Byli wszelako i tacy, którzy siła sobie obiecywali po nich.

— Okrutnego stracha Szwedzi przed Tatarami mają i ponoś żołnierze dziwy sobie o nich prawią, od czego terror coraz wzrasta — mówili patrzący na Tatarów.

— I słusznie — odpowiadali inni. — Nie rajtaron to Carolusa z Tatarami wojować, którzy a zwłaszcza dobruccy i naszej jeździe czasem dotrzymują. Nim się ów ciężki rajtar obejrzy, już go Tatar na arkan weźmie.

— Grzech pogańskich synów w pomoc wzywać! — odzywały się głosy.

— Grzech nie grzech, a taki się przydadzą!

— Bardzo przystojny czambulik! — mówił pan Zagłoba.

Rzeczywiście Tatarzy owi dobrze byli przybrani, w kożuchy białe, czarne i pstre, wełną do góry; czarne łuki i sahadaki pełne strzał kołysały im się na plecach, każdy miał przytem szablę, co nie zawsze w wielkich czambułach bywało, gdyż biedniejsi na takowy zbytek zdobyć się nie mogli, posługując się

w ręcznym boju szczęką końską, do kijà przywiązana. Ale byli to ludzie, jak się rzekło, na pokaz, więc niektórzy mieli nawet i samopały, pochowane w wojłkowych pokrowcach, a wszyscy siedzieli na dobrych koniach, drobnych wprawdzie, dość chudych i nisko długogrzywe łby noszących, lecz nieporównanej szybkości w biegu.

W środku oddziału szły cztery wielbłądy jeszcze; tłum zgadywał, że w tych jukach znajdowały się dary chanowe dla króla; ale w tem się mylono, bo chan wolał brać dary, niż dawać; obiecywał wprawdzie posiłki, ale nie darmo.

To też gdy oddział minął, pan Zagłoba rzekł:

— Drogo te auxilia będą kosztowały! Niby to sprzymierzeńcy, ale i oni kraju naniszczą... Po Szwedach i po nich jednego dachu całego w Rzeczypospolitej nie zostanie.

— Pewnie, że okrutnie to ciężki socyzus — odrzekł Jan Skrzetuski. — Znamy ich już!

— Słyszałem jeszcze w drodze, — rzekł pan Michał — że król nasz jegomość taką umowę zawarł, iż do każdego pięciuset ordyńców ma być dodany nasz oficyjer, przy którym będzie komenda i prawo kary. Inaczej istotnieby ci przyjaciele niebo a ziemię jeno zostawili.

— A tenże czambułek?... Co też król z nim uczyni?

— Dę rozporządzenia królewskiego ich chan przysłał, tak prawie jakoby w darze, a chociaż sobie i za nich policzy, przecie król może uczynić z nimi, co zechce i pewnie ich panu Czarniekiemu razem z nami podeszle.

— No! to już pan Czarniecki w ryzach utrzymać ich potrafi.

— Chybaby mieszkał między nimi, inaczej zaraz za jego oczyma zaczęłyby zbytkować. Nie może być, tylko i tym zaraz oficjera dodadzą.

I ten będzie dowodził? A ówże tusty aga co będzie czynił?

— Jeśli nie trafi na kpa, to będzie rozkazy spełniał.

— Bądźcie waszmościowie zdrowi! bądźcie mi zdrowi! — zakrzyknął nagle Kmicic.

— Dokąd tak śpieszno?

— Panu do nóg paść, aby mi komendę nad tymi ludźmi powierzył!

ROZDZIAŁ XIV.

Tegoż samego dnia Akbah-Ułan bił czołem królowi, a zarazem wręczał mu listy chanowe, w których ten ostatni powtarzał obietnicę wyruszenia w sto tysięcy ordy przeciw Szwedom, byle mu czterdzieści tysięcy talarów z góry wypłacono i byle pierwsze trawy pokazały się na polach, bez czego, jako że w spustoszo-
nym wojną kraju, trudno byłoby tak wielką moc koni wyżywić. Co zaś do owego czambuliku, to wysłał go teraz chan na dowód miłości ku „najmilszemu bratu“, aby i Kozacy, którzy o nieposłuszeństwie jeszcze zamysłali, ujrzeli widomy znak, że miłość owa trwa statecznie i że niech jeno pierwszy odgłos o buncie dojdzie uszu chanowych, wówczas mściwy gniew jego spadnie na wszystkie kozactwo.

Król przyjął wdzięcznie Akbah-Ułana i obdarzył go pięknym dzianetem, oświadczył, że wyszle go niebawem w pole do pana Czarnieckiego, albowiem chce, aby i Szwedzi przekonali się dowodnie, jako chan daje pomoc Rzeczypospolitej. Zaświeciły się oczy Tatarsa, gdy usłyszał, iż pod panem Czarnieckim będzie służył, bo go znał z dawnych wojen ukraińskich i na równi ze wszystkimi agami wielbił.

Mniej natomiast spodobał mu się ustęp chano-
wego listu, proszący króla, aby czambulikowi dodał
dobrze znającego kraj oficera, któryby oddział prowa-
dził, a zarazem ludzi i samego Akbah-Ułana od ra-
bunku i zbytków nad mieszkańcami powstrzymywał.
Wolałby był zapewne Akbah-Ułan nie mieć nad sobą
takiego patrona, lecz że wola chanowa i królewska
były wyraźne, przeto uderzył tylko czołem raz jeszcze,
kryjąc starannie niechęć, a może obiecując sobie w du-
szy, że nie on przed patronem, ale patron przed nim
pokłony będzie wybijał.

Zaledwie Tatar się oddalił i senatorowie odeszli,
gdy Kmicic, który przy boku królewskim podczas au-
dyencji się trzymał, padł do nóg pańskich i rzekł:

— Miłościwy panie! Niegodzien jestem łaski,
o którą proszę, ale tyle mi na niej, co właśnie na sa-
mem życiu zależy. Pozwól, miłościwy ojcze, abym nad
tymi ordyńcami komendę mógł objąć i z nimi zaraz
w pole ruszyć.

— Nie odmawiam, — rzekł zdziwiony Jan Kazi-
mierz — bo lepszego przywódcy trudnoby mi dla nich
znaleść. Trzeba tam kawalera wielkiej fantazyi i rezo-
luta, aby ich w rzye umiał utrzymać, gdyż inaczej
zaraz i naszych zaczną palić, a mordować... Temu
się jeno stanowczo przeciwuję, byś jutro miał ruszać,
nim ci się skóra po szwedzkich rapierach zagoi.

— Czuję, że niechaj mnie jeno wiatr w polu
owieje, zaraz słabość mi przejdzie i siła we mnie
wstąpi napowrót, a co do Tatarów, to już ja sobie
z nimi rady dam i na miękki wosk ich ugniotę.

— Ale co ci tak pilno? Dokąd chcesz iść?

— Na Szweda, miłościwy panie!... Nic tu już

więcej nie wysiedzę, bo czegom chciał, to już mam: to jest łaskę twoją i grzechów dawniejszych odpuszczenie... Pójdę do pana Czarnieckiego razem z Wołodyjowskim, albo i z osobna będę nieprzyjaciela podchodził, jako dawniej Chowańskiego, a w Bogu ufam, że mi się poszczęści.

— Nie może inaczej być, tylko jeszcze cię coś innego ciągnie w pole!

— Jako ojcu wyznam i całą duszę wyjawię.... Książę Bogusław, nie kontentując się potwarzą, jaką na mnie rzucił, jeszcze i dziewczkę tę z Kiejdan wywiózł i w Taurogach ją więzi, albo gorzej: bo na jej uczciwość, na jej cnotę, na jej panięńską cześć nastaje... Panie miłościwy!... Rozum mi się w głowie miesza, gdy pomyślę, w jakichto rękach ona nieboga.... Na Mękę Pańską! mniej te rany bołą... Toż ta dziewczka dotąd myśli, że ja się temu potępieńcowi, temu arcy-psu ofiarowałam na majestat twój, panie, rękę podnieść... i za ostatniego wyrodka mnie ma! Nie wytrzymam, miłościwy królu, nie mogę, póki jego nie dostanę, póki jej nie wydre... Daj mi, panie, tych Tatarów, a jać przysięgam, że nie swojej jeno prywaty będę dochodził, ale tyle Szwedów natłokę, że ten dziedziniec łbami można będzie wymościć...

— Uspokój się! — rzekł król.

— Gdybym, panie, miał służbę dla prywaty porzucić i obrony majestatu i Rzeczypospolitej zaniechać, wstydby mi było prosić, ale tu się jedno z drugim schodzi. Przyszła pora Szwedów bić? jaż nic innego nie będę czynił... Przyszła pora zdrajcę ściagać, jaż go będę ściagał do Inflant, do Kurlandi, choćby się

do septentrionów, albo nawet za morze do Szwecyi schronił, pójdę za nim!

— Mamy wiadomości, jako tuż, tuż Bogusław z Carolusem z Elbląga wyruszy.

— To im pójdę na spotkanie!

— Z takim czambulikiem? Kapeluszem cię przykryją.

— Chowański mnie w ośmdziesiąt tysięcy przykrywał i nie przykrył.

— Co jest wiernego wojska, to pod panem Czarnieckim. Oni na pana Czarnieckiego *ante omnia* uderzą!

— Pójdę do pana Czarnieckiego. Tem śpieszniej trzeba mu, miłościwy panie, sukurs dać.

— Do pana Czarnieckiego pójdziesz, ale do Taurogów w tak szczupłej liczbie się nie dostaniesz. Wszystkie zamki na Żmudzi nieprzyjacielowi książę wojewoda wydał i wszędzie szwedzkie prezydyja stoją, a one Taurogi, widzi mi się, coś nad samą granicą pruską, od Tylży nieopodal.

— Na samej granicy elektorskiej, miłościwy panie, ale po naszej stronie, a od Tylży będzie cztery mile. Co nie mam dojść, dojdę i nietylko ludzi nie wytracę, ale jeszcze się do mnie po drodze siła rezolutów zbieży. I to rozważ, miłościwy panie, że gdzie się tylko pokażę, tam cała okolica na koń przeciw Szwedom siędzie. Pierwszy będę Żmudź ekscytował, jeżeli kto inny tego nie uczyni. Gdzież to teraz nie można dojechać, gdy w całym kraju, jak w garnku. Już ja zwyczajny obracać się w ukropie.

— Bo i na to nie patrzysz, że Tatarzy może i nie zechcą tak daleko iść za tobą?

— A no! a no! niech jeno nie zechcą, niech jeno

spróbują: — mówił Kmicic, ściskając na samą myśl zęby — jak ich jest czterystu, czy tam ilu, tak ich każę czterystu powiesić!... Drzew nie zbraknie!... Niech mi się popróbują buntować...

— Jędre! — zawołał król, wpadając w dobry humor i wydymając usta — jak mi Bóg miły, tak lepszego pasterza dla tych owieczek nie znajdę! Bierźże ich i prowadź, gdzie ci się żywnie podoba!

— Dziękuję, miłościwy panie! ojciec dobrotliwy! — rzekł rycerz, ściskając kolana królewskie.

— Kiedy chcesz ruszyć? — pytał Jan Kazimierz.

— Boga mi! jutro!

— Może Akbah-Ułan nie zechce, że to konie mają zdrożone?

— To go sobie każę do kulbaki na arkanie przytroczyć i piechotą pójdzie, jeżeli konia żałuje.

— Widzę już, że się z nim uporasz. Przecie do brych, póki można, sposobów używaj. A teraz... Jędre... dziś już późno, ale jutro chcę cię jeszcze zobaczyć... Tymczasem, weź ten pierścień, powiesz swojej regalistce, że go od króla masz i że król jej nakazuje, aby jego wiernego sługę i obrońcę statecznie miłowała...

— Dajże Boże! — mówił ze łzami w oczach junak — dajże Boże, abym nie inaczej zginął, tylko w twojej obronie, panie miłościwy!

Tu król cofnął się, bo było już późno, a Kmicic poszedł do swej kwatery do drogi się gotować i rozmyślać od czego począć, gdzie najpierwej jechać należy?

Przyszły mu na myśl słowa Charłampa, iż jeżeli tylko pokaże się, że księcia Bogusława w Taurogach niema, to najlepiej tam dziewczynę zostawić, bo isto-

tnie z Taurogów, jako leżących na samej granicy, łątwo się było do Tylży, pod elektorską opiekę schronić. Zresztą, jakkolwiek Szwedzi opuścili w ostatniej potrzebie księcia wojewodę wileńskiego, przecie należało się spodziewać, że dla jego wdowy respekt mieć będą, zatem, byle Oleńka została pod jej opieką, to nic złego spotkać ją nie może. Jeżeli zaś do Kurlandyi pojedą, to tem lepiej.

— I do Kurlandyi jechać z moimi Tatarami nie mogę, — rzekł sobie Kmicic — bo to już inne państwo.

Chodził tedy i pracował głową. Godzina płynęła za godziną, on zaś nie pomyślał jeszcze o spoczynku i tak ożywiła go myśl nowej wyprawy, że choć rano jeszcze był słaby, teraz czuł, że wracają mu siły i gotów był zaraz na konia siadać.

Pacholikowie skończyli wreszcie zawiązywanie troków i zbierali się iść na spoczynek, gdy nagle ktoś począł skrobać we drzwi izby.

— Kto tam? — zawołał Kmicic.

Poczem do pacholika:

— Idźno, obacz!

Pacholik poszedł i rozmówiwszy się za drzwiami, wrócił niebawem.

— Jakiś żołnierz chce pilno widzieć się z waszą miłością. Powiada, że się zowie Soroka.

— Puszczaj, na miły Bóg! — krzyknął Kmicic.

I nie czekając, by pacholik spełnił rozkaz, sam skoczył ku drzwiom.

— Bywaj, miły Soroka! bywaj!

Żołnierz wszedł do izby i pierwszym ruchem chciał paść do nóg swego pułkownika, bo byłto raczej przyjaciel i sługa, równie wierny, jak przywiązany, lecz

żołnierska subordynacja przemogła, więc wyprostował się i rzekł:

— Na rozkazy waszej miłości!

— Witaj, miły towarzyszu, witaj! — mówił żywo Kmicic — myślałem, że cię tam usiekli w Częstochowie!

I ścisnął go za głowę, a potem jął nawet potrząsać jego rękoma, co mógł uczynić nie pospolitując się zbyt, gdyż Soroka pochodził z zaścianku, z drobnej szlachty.

Dopieroż i stary wachmistrz jął obejmować kolana pańskie.

— Zkąd idziesz? — pytał Kmicic.

— Z Częstochowy, wasza miłość.

— I mnie szukałeś?

— Tak jest.

— A od kogożeście się tam dowiedzieli, że żyję?

— Od ludzi Kuklinowskiego. Ksiądz Kordecki wielką mszę z radości celebrował na dziękczynienie Bogu. Potem jako gruchnęło, że pan Babinicz przeprowadził króla przez góry, tak już wiedziałem, że to wasza miłość, nikt inny.

— A ksiądz Kordecki zdrów?

— Zdrów, wasza miłość, jeno nie wiadomo, czyli go anieli żywcem do nieba lada dzień nie wezmą, bo to święty człowiek.

— Pewnie, że nie inaczej. Gdzieżeśto się dowiedział, że z królem do Lwowa przybył?

— Myślałem sobie tak: skoro wasza miłość króla odprowadzał, to musi przy nim być, bałem się wszelako, że wasza miłość już może w pole wyruszył i że się spóźnię.

— Jutro z Tatury ruszam!

— To się dobrze stało, bo ja waszej miłości trzosów odwożę pełnych dwa: ten co był na mnie i jegomoścín, a oprócz tego one kamuszki świecące, coś my je z kołpaków bojarom zdejmowali i te, które wasza miłość zabrał wtedy, gdyśmyto skarbczyk Chowańskiego zagarnęli.

— Dobre były czasy, gdyśmy skarbczyk ogarnęli, ale nie musi tam tego już wiele być, bom też przygarstkę księdzu Kordeckiemu zostawił.

— Nie wiem, ile jest, jeno ksiądz Kordecki właśnie mówił, że inożnaby za to dwie tęgie wsie kupić.

To rzekłszy Soroka, zbliżył się do stołu i począł zdejmować z siebie trzosi.

— A kamuszki w onej blaszance — dodał, kładnąc obok trzosów żołnierską manierkę na wódkę.

Pan Kmicic nic nie mówiąc, wytrząsnął w garść nieco czerwonych złotych, bez rachuby i rzekł do wachmistrza:

— Masz!

— Do nóg upadam waszej miłości! Ej! żebyto ja miał w drodze choć jeden takowy dukacik!

— Albo co? — spytał rycerz.

— Bom okrutnie z głodu osłabł. Mało gdzie teraz człeka kawałkiem chleba poczęstują, bo każdy się boi, to i nogi wkońcu ledwie z głodu wlokłem.

— Na miły Bóg! przecież to wszystko miał przy sobie!

— Nie śmiałem bez permisyi — rzekł krótko wachmistrz.

— Trzymaj! — rzekł Kmicic, podając mu drugą garść.

Poczem krzyknął na pacholików:

— Nuże, szelmy! Jeść mu dać, nim pacierz mi-
nie, bo łby pourywam!

Pacholikowie skoczyli jeden przez drugiego i wkrótce stanęła przed Soroką ogromna misa wędz-
nej kiełbasy i flaszka z wódką.

Żołnierz wpił pożądlive oczy w posiłek, wargi
i wąsy mu drgały, lecz sięść przy pułkowniku nie
śmiał.

— Siadaj, jedz! — zakomenderował Kmicic.

Ledwie skończył, już sucha kiełbasa poczęła chrzę-
ścić w potężnych szczękach Soroki. Dwaj pacholikowie
patrzyli na niego, wytrzeszczając oczy.

— Ruszajcie precz! — zawołał Kmicic.

Chłopcy kopnęli się co ducha za drzwi; rycerz zaś
chodził śpiesznymi krokami po komnacie i milczał, nie
chcąc przeszkadzać wiernemu słudze. Ten zaś, ilekroć
nalał sobie kieliszek gorzałki, tylekroć spoglądał zukosa
na pułkownika w obawie, czy zmarszczenia brwi nie
dostrzeże, poczem wychylał napitek, zwracając się ku
ścianie.

Kmicic chodził, chodził, wreszcie począł sam
z sobą rozmawiać.

— Nie może być inaczej! — mruczał — trzeba
tam tego posłać... Każę powiedzieć jej... Na nic!
Nie uwierzy!... Listu czytać nie zechce, bo mnie za
zdrajcę i psa ma... Niech jej w oczy nie lezie, jeno
niechaj patrzy i mnie da znać, co się tam dzieje.

Tu zawołał nagle:

— Soroka!

Żołnierz zerwał się tak szybko, że mało stołu nie
przewrócił i wyciągnął się jak struna.

— Wedle rozkazu!

— Tyś człek wierny i w potrzebie fraut. Pojedziesz w daleką drogę, ale nie o głodzie.

— Wedle rozkazu!

— Do Taurogów, na granicę pruską. Tam panna Billewiczówna mieszka... u księcia Bogusława... Dowiesz się, czy on tam jest... i będziesz miał na wszystko oko... Jej w oczy nie leż, chyba, iżby się zdarzyło, żeby samo wypadło. Wówczas powiesz jej i zaprzysięgniesz, żem króla przez góry przeprowadził i że przy jego osobie jestem. Ona ci pewnie nie uwierzy, bo mnie tam książę oczernił, że na zdrowie majestatu nastaje, co jest łgarstwo psa godne!

— Wedle rozkazu!

— W oczy, powiedziałem, nie leż, bo i tak ci nie uwierzy... Ale gdyby się zdarzyło, powiedz, co wiesz. A bacz na wszystko i słuchaj! A sam się pilnuj, bo jeżeli książę tam jest i jeśli cię pozna, on, albo ktokolwiek z dworu, to cię na pal wbiją!

— Wedle rozkazu!

— Byłbym posłał starego Kiemlicza, ale on na tamtym świecie, bo w parowie usieczon, a synowie za głupi. Ci pójda ze mną. Byłeś w Taurogach?

— Nie, wasza miłość.

— Pójdziesz do Szczuczyna, ztamtąd samą granicą pruską, hen! aż do Tylży. Taurogi będą o cztery mile naprzeciw, po naszej stronie... Siedz w Taurogach tak długo, póki wszystkiego nie wymiarkujesz, a potem wracaj. Znajdziesz mnie tam, gdzie będę... Rozpytuj o Tatarów i pana Babinicza. A teraz ruszaj spać do Kiemliczów!... Jutro w drogę!

Po tych słowach Soroka odszedł, Kmicic zaś długo jeszcze spać się nie kładł, ale wreszcie zmęczenie

przemogło. Wówczas rzucił się na łoże i zasnął snem kamiennym.

Nazajutrz wstał orzeźwion wielce i silniejszy, niż wczora. Cały dwór już był na nogach i rozpoczęły się zwykle dzienne czynności. Kmicic poszedł najprzód do kancelaryi po nominacyą i po list żelazny, następnie odwiedził Subaghazi beya, naczelnika chanowego poselstwa we Lwowie i miał z nim długą rozmowę.

W czasie tej rozmowy zanurzał pan Andrzej po dwakroć rękę w kalecie. Za to też, gdy wychodził, Subaghazi pomieniał się z nim na kołpaki, wręczył mu piernacz z zielonych piór i kilka łokci również zielonego jedwabnego sznura.

Zaopatrzony w ten sposób, wrócił pan Andrzej do króla, który był właśnie ze mszy przyjechał, więc padł jeszcze raz młody junak do nóg pańskich, poczem w towarzystwie Kiemliczów i pacholków udał się wprost za miasto, gdzie Akbah-Ułan stał z czambułem.

Stary Tatar przyłożył na jego widok rękę do czoła, ust i piersi, ale dowiedziawszy się, kto jest Kmicic i z czym przyjechał, wnet nasrożył się; twarz mu pociemniała i oblokła się dumą.

— Skoro król cię na przewodnika przysłał, — rzekł do Kmicica w łamanym rusińskim języku — to będziesz mi drogę pokazywał, chociaż ja i sam trafiłbym, gdzie potrzeba, a tyś młody i niedoświadczony.

— Zgóry mi przeznacz, czem mam być — pomyślał Kmicic — ale póki można, będę politykował.

Tu ozwał się głośno:

— Akbahu-Ułanie, król mnie tu na wodza, nie na przewodnika przysyła... I to ci powiem, że lepiej uczynisz, woli jego kr. mości nie negując.

— Nad Tatarami chan, nie król stanowi! —
odrzekł Akbah-Ułan.

— Akbah-Ułanie — powtórzył z naciskiem pan
Andrzej — chan darował cię królowi, jakoby mu psa
albo sokoła darował, dlatego nie uwłaczaj mu, aby cię
zaś jako psa na powrót nie wzięto.

— Alła! — krzyknął zdumiony Tatar.

— Ejże, nie rozdrażniaj mnie! — odrzekł Kmicic.

Lecz oczy Akbaha-Ułana krwią zasły. Przez
czas jakiś słowa nie mógł przemówić; żyły na karku
mu spęczniały, ręka chwyciła za kindżał.

— Kęsim! kęsim! — krzyknął przyduszonym
głosem.

Ale i pan Andrzej, chociaż obiecał sobie polity-
kować, miał już dosyć, gdyż bardzo z natury był po-
rywczy. Więc w jednej chwili podrzuciło nim coś tak,
jakby go gadzina zgnęła, całą dłonią porwał Tatara
za rzadką brodę i zadartszy mu głowę do góry tak,
jak gdyby mu coś na pułapie chciał pokazać, począł
mówić przez zaciśnięte zęby:

— Słuchaj, kozi synu! Wolałbyś nikogo nad sobą
nie mieć, by palić, rabować, wycinać!... Przewodni-
kiem chcesz mnie mieć! Ot, masz przewodnika! masz
przewodnika!

I przyparłszy go do ściany, począł tłóć głowę
jego o zgrab.

Puścił go wreszcie zupełnie osłupiałego, ale nie
sięgającego już do noża. Kmicic, idąc za popędem swej
gorącej krwi, odkrył mimowoli najlepszy sposób prze-
konywania ludzi wschodnich, do niewolnictwa przywy-
kłych. Jakoż w potłóczonej głowie Tatara, mimo całej
wściekłości, jaka go dusiła, błysnęła zaraz myśl, jak

potężnym i władnym być musi ów rycerz, który z nim, Akbah-Ułanem, postępuje w ten sposób, i okrwawione wargi jego powtórzyły po trzykroć wyraz:

— Bagadyr! Bagadyr! Bagadyr!

Kmicic tymczasem nałożył na głowę kołpak Subaghaziego, wyciągnął zielony piernacz, który aż dotąd umyślnie trzymał za plecami, za pas wetknięty, i rzekł:

— Patrz tu, rabie! i tu!

— Ała! — ozwał się przerażony Ułan.

— I tu! — dodał Kmicic, wydobywając sznur z kieszeni.

Lecz Akbah-Ułan leżał już u jego nóg i bił czołem.

W godzinę później Tatarzy wyciągnęli się długim węzłem po drodze, wiodącej ze Lwowa ku Wielkim Oczom, a pan Kmicic, siedząc na dzielnym cisawym koniu, którego król mu podarował, oganiał czambuł, jak pies owczarski ogania owce. Akbah-Ułan spoglądał na młodego junaka z przestachem i podziwieniem.

Tatarzy, znawcy ludzi wojennych, odgadli na pierwszy rzut oka, że pod tym wodzem nie zbraknie im krwi i łupu, więc szli ochotnie, ze śpiewaniem i graniem.

Kmicicowi zaś serce rośło, gdy patrzył na owe postacie, podobne do zwierząt leśnych, bo przybrane w kozuchy i wielbłądzie kaftany wełną do góry. Fala dzikich głów kołysała się pod miarę końskich ruchów, on zaś liczył je i rozmyślał, co będzie można z taką potęgą przedsięwziąć.

— Osobliwszyż to komunik, — myślał sobie — i tak mi się wydaje, jakobym stada wilków przywo-

dził, ale z takimi właśnie można przejść całą Rzeczpospolitą i całe Prusy przetratować. Czekażcie, książę Bogusławie!

Tu chętnie myśli poczęły mu napływać do głowy, gdyż do chętności wielce był skłonny.

— Bóg dał człeku obrotność, — mówił sobie — wczora miałem jeno dwu Kiemliczów, a dziś czterysta koni za mną człapie. Niech jeno taniec rozpoczną, będę miał tysiąc, albo i dwa takich hultajów, żeby się ich i dawni kompaniowie nie powstydzili.... Czekażcie, książę Bogusławie!

Lecz po chwili, dla uspokojenia sumienia, dodał:

— A przytem ojczyźnie i majestatowi znacznie usłużę...

I wpadł w wyborny humor. Bawiło go też niezmiernie i to, że szlachta, Żydzi, chłopci, nawet większe kupki pospolitego ruszenia, nie mogły się oprzeć w pierwszej chwili przerażeniu na widok jego wojska. A była mgła, bo odwilż przesycała wilgotnym tumanem powietrze. Więc coraz to się zdarzało, że ktoś nadjeżdżał blisko i nagle spostrzegłszy kogo ma przed sobą, wykrzykiwał:

— Słowo stało się ciałem!

— Jezus, Marya, Józef!

— Tatarzy! orda!

Lecz Tatarzy mijali spokojnie bryki, wozy ładowne, stada koni i przejeżdżających. Inaczejby było, gdyby wódz pozwolił, ale samowolnie nie przedsięwziąć nie śmieli, bo na własne oczy patrzyli przy wyruszeniu, jako temu wodzowi sam Akbah-Ułan strzemię trzymał.

Tymczasem Lwów już zniknął w dali za mgłami. Tatarzy przestali śpiewać i czambuł poruszał się zwolna

wśród tumanów pary, podnoszącej się z koni. Nagle tętent rumaka rozległ się za czambułem.

Po chwili ukazało się dwóch jeźdźców. Jeden z nich był pan Wołodyjowski, drugi dzierżawca z Wąsoszy. Obaj, pomijając oddział, pędzili wprost do pana Kmicica.

— Stój! stój! — wołał mały rycerz.

Kmicic wstrzymał konia.

— To wasza mość!

Wołodyjowski osadził z kolei szkapę.

— Czołem! — rzekł — listy od króla! Jeden do waszmości, drugi do wojewody witebskiego.

— Jaż do pana Czarnieckiego jadę, nie do pana Sapiehy.

— Przeczytaj jeno najprzód pismo!

Kmicic złamał pieczęć i czytał co następuje:

„Dowiadujemy się przez gońca, świeżo od pana wojewody witebskiego przybyłego, jako pan wojewoda nie może tu do krajów małopolskich ciągnąć i z drogi znów na Podlasie nawraca, a to z przyczyny księcia Bogusława, który z wielką potęgą nie przy królu szwedzkim zostawa, lecz na Tykocin i na pana Sapiehę uderzyć zamysła. Że zaś *magna pars* sił pana sapieżyńskich na prezydyach zostać musiała, przeto rozkazujemy ci, abyś z owym tatarskim komunikem panu wojewodzie szedł w pomoc. A gdy i twojej ochocie w ten sposób zadość się czyni, niepotrzebniebyśmy mieli ci pośpiech nakazywać. Drugi list oddasz wojewodzie, w którym pana Babinicza, wiernego sługę naszego afektom wojewodzińskim, a przedewszystkiem opiece Boskiej polecamy. *Jan Kazimierz*, król“.

— Na miły Bóg! na miły Bóg! Oto szczęśliwa

dla mnie nowina! — zawołał Kmicic. — Nie wiem już jako królowi jegomości i waszmość panu mam za nią podziękować!

— Sam też podjąłem się jechać, — odrzekł mały rycerz — a to z kompasji dla waszmości, bom widział twoją boleść i dlatego, aby listy napewno doszły.

— Kiedyż ów goniec przyszedł?

-- Byliśmy u króla na obiedzie, ja, dwaj panowie Skrzetuscy, pan Charłamp i pan Zagłoba. Nie wyimajnujesz sobie waćpan, co tam pan Zagłoba wyprawiał, jako o niezaradności Sapia i swoich zasługach opowiadał. Dość, że królowi aż ślozy od ustawicznego rzechotania się płynęły, a obaj hetmani za boki bezustanku się trzymali. Wtem wszedł pokojowiec z listem, na którego król zaraz się obruszył: „Idź do kata, (rzecze) może zła nowina, nie psuj mi uciechy!“ Dopieroż gdy się dowiedział, że to od pana Sapichy, zabrał się do czytania. Jakoż złą nowinę wyczytał, bo się potwierdziło to, o czem już dawno mówiono, że elektor przysięgi wszystkie złamał i ostatecznie przeciw prawemu panu z królem szwedzkim się połączył.

— Jeszcze jeden wróg, jakoby ich mało dotąd było! — krzyknął Kmicic.

I złożył ręce.

-- Boże wielki! Niech mi jeno na tydzień pan Sapiaha do Prus książęcych pozwoli, a da Bóg miłosierny, że dziesiąte pokolenia mnie i moich Tatarów wspominać będą!...

— Może to być, że tam pójdziecie, — odrzekł pan Michał — ale wprzód musicie Bogusława znosić, gdyż właśnie wskutek onej elektorskiej zdrady zaopatrzone go w ludzi i na Podlasie mu iść dozwolono.

— To się spotkamy, jako dziś dzień, jako Bóg na niebie, tak się spotkamy! — mówił z iskrzącymi oczyma Kmicic. — Gdybyś mi waszmość nominacją na województwo wileńskie przywiózł, nie ucieszyłbyś mnie lepiej!

— Król też zaraz zakrzyknął: „Gotowa dla Jędrka ekspedycya, od której dusza się w nim uraduje“. Chciał też wnet pokojowego za waścią wystać, ale ja powiadam: Sam pojedę, to go jeszcze pożegnam.

Kmicic przechylił się na koniu i chwycił małego rycerza w objęcia.

— Bratby tyle dla mnie nie uczynił, ileś już waszmość uczynił! Dajże Boże czemkolwiek się wywdzięczyc!

— Ba! Przecie waćpana rozstrzelać chciałem.

— Bom też czego lepszego był nie wart. Nic to! Niech mnie w pierwszej bitwie usieką, jeżeli pomiędzy wszystkim rycerstwem bardziej kogo od waćpana miłuję!...

Tu znowu poczęli się ściskać, na pożegnanie zaś rzekł pan Wołodyjowski:

— A pilnuj się z Bogusławem! pilnuj się, bo z nim niełatwo!

— Jednemu z nas już śmierć pisana!

— Dobrze!

— Ej, żebyś to waszmość, któryś jest do szabli jeniusz, swoje arkana mi odkrył! Cóż! niema czasu!... Ale i tak anieli mi pomogą i krew jego obaczę, chyba, że przedtem oczy moje zamkną się na zawsze na światło dzienne.

— Bóg pomagaj!... Szcześliwej drogi!...

A dajcie tam dzięgielu zdrajcom Prusakom! — rzekł pan Wołodyjowski.

— Bądźcie spokojni. Obrzydnie im luterstwo!

Tu pan Wołodyjowski kiwnął na Rzędziana, który przez ten czas z Akbahem-Ułanem rozmawiając, dawne przewagi Kmicica nad Chowańskim rozpowiadał, poczem obaj odjechali z powrotem do Lwowa.

Kmicic zaś zawrócił z miejsca czambułem, jako woźnica wozem zawraca i poszedł wprost ku północy.

ROZDZIAŁ XV.

Jakkolwiek Tatarzy, a zwłaszcza dobruccy, umieli zbrojnym mężom w polu piersią do piersi stawać, przecie najmilszą dla nich wojną był mord bezbronnych, branie niewiast i chłopów w jasyr, a przedewszystkiem grabież. Wielce też przykrzyła się droga owemu czambulikowi, który prowadził Kmicic, pod żelazną bowiem jego ręką dzicy wojownicy musieli w baranków się zmienić, trzymać noże w pochwach, a zgaszone hubki i zwinięte łyka w biesagach. Z początku szemrali.

Około Tarnogrodu, kilkunastu umyślnie pozostało w tyle, aby puścić „czerwone ptaki“ w Chmielewsku i poswawolić z młodyciami. Lecz pan Kmicic, który już się ku Tomaszowowi posunął, wrócił na pierwszy odblask pożogi i kazał winnym wywieszać się wzajemnie. A tak już był opanował Akbah-Ułana, że ten nietylko oporu nie stawiał, ale przynaglał skazanych, aby prędzej się wieszali, gdyż inaczej „bagadyr“ będzie się gniewał. Odtąd „barankowie“ szli spokojnie, zbijając się w najciaśniejsze kupy po wsjach i miasteczkach, aby na którego podejrzenie nie padło. I egzekucya, choć ją tak srodze przeprowadził Kmicic, nie wzbudziła nawet przeciw niemu niechęci, ani nienawiści, takie już bo-

wiem miał szczęście ów zabijaka, że zawsze podwładni tyle właśnie czuli dlań miłości, ile i strachu.

Prawda, że pan Andrzej nie dał i im krzywdy uczynić. Kraj był srodze przez niedawny napad Chmielnickiego i Szeremeta spustoszony, więc o żywność i paszę, jako na przednowku, było trudno, a mimo tego wszystko musiało być na czas i wbród, a w Krynicach, gdy mieszkańcy opór stawili i nie chcieli żadnej śpiży dostarczyć, kazał ich kilku pan Andrzej siec batożkami, podstarościego zaś uderzeniem obuszka rozciągnął.

Ujęło to niezmiernie ordyńców, którzy słuchając z lubością wrzasków bitych Kryniczan, mówili pomiędzy sobą:

— Ej! sokół nasz Kmitah, nie da swoim barankom krzywdy uczynić!

Dość, że nietylko nie pochudli, ale spaśli się jeszcze, ludzie i konie. Stary Ułan, któremu brzucha przybyło, spoglądał z coraz większym podziwem na junaka i językiem mlaskał.

— Gdyby mi syna Allah dał, chciałbym mieć takiego. Nie marłbym na starość głodu w ałusie! — powtarzał.

Kmicic zaś od czasu do czasu uderzał go pięścią w brzuch i mówił:

— Słuchaj wieprzu! Jeśli ci Szwedzi kałduna nie rozetną, to wszystkie śpiżarnie w niego schowasz!

— Gdzie tu Szwedzi? Łyka nam pogniją, łuki popróchnieją — odpowiedział Ułan, któremu tęskno było za wojną.

Jakoż istotnie jechali najprzód takim krajem, do którego noga szwedzka dojść nie zdołała, dalej zaś takim, w którym były swego czasu prezydya, ale już je

konfederacya wyparła. Spotykali natomiast wszędzie mniejsze i większe kupy szlachty, ciągnące zbrojno w rozmaite strony i niemniejsze kupy chłopstwa, które nieraz zastępowały im groźnie drogę, a którym często trudno było wytłómaczyć, że mają do czynienia z przyjaciółmi i sługami króla polskiego.

Doszli wreszcie do Zamościa. Zdumieli się Tatarzy na widok tej potężnej fortecy, a cóż dopiero, gdy im powiedziano, że niedawno jeszcze wstrzymała ona całą potęgę Chmielnickiego.

Pan Jan Zamoyski, ordynat, pozwolił im na znak wielkiej przychylności i łaski wejść do miasta. Wpuszczono ich bramą Szczepreszyńską, albo inaczej Ceglana, gdyż dwie inne były z kamienia. Sam Kmicic nie spodziewał się ujrzeć nic podobnego i nie mógł wyjść z podziwu na widok ulic szerokich, włoską modą pod linją równo budowanych, na widok wspaniałej kolegiaty i burs akademickich, zamku, murów, potężnych dział i wszelkiego rodzaju „opatrzenia“. Jak mało który z magnatów mógł się porównać z wnukiem wielkiego kanclerza, tak mało która forteca z Zamościem.

Lecz największy zachwyt ogarnął ordynców, gdy ujrzeli ormiańską część miasta. Nozdrza ich chciwie wciągały woń safjanu, którego wielkie fabryki prowadzili przemysłni przybysze z Kaffy, a oczy śmiały im się do bakalij, wschodnich kobierców, pasów, sadzonych szabel, gindżałów, łuków, lamp tureckich i wszelkiego rodzaju kosztowności.

Sam pan cześnik koronny wielce przypadł do serca Kmicicowi. Był to prawdziwe królewiatko w swoim Zamościu: człek w sile wieku, wielce przystojny, chociaż nieco cherlawy, gdyż w leciech pierwszej młodości

niedość upały natury hamował. Zawsze jednak lubił płec białą, a zdrowie jego nie do tyła było nadwątlone, aby wesołość znikła mu z oblicza. Dotychczas nie ożenił się, a jakkolwiek najznamienitsze domy w Rzeczypospolitej otwierały mu szeroko podwoje, utrzymywał, że nie może dość gładkiej dziewczki w nich znaleźć. Znalazł ją później nieco, w osobie młodej panienki francuskiej, która lubo w innym zakochana, oddała mu bez wahania dla jego bogactw swą rękę, nie przewidując, że ów pierwszy wzgardzony ozdobi kiedyś koroną królewską swoją i jej głowę.

Pan Zamościa nie odznaczał się byстрыm dowcipem, jeno go miał tyle, co na własną potrzebę. O godności i urzędy nie zabiegał, chociaż same szły ku niemu, a gdy przyjaciele strofowali go, iż mu przyrodzonej ambicyi braknie, odpowiadał:

— Nieprawda, że mi jej braknie, jeno mam więcej od tych, którzy się kłaniają. Po co mi dworskie progi wycierać? W Zamościu nietylko ja Jan Zamoy-ski, ale Sobiepan Zamoy-ski.

Zwano go też powszechnie Sobiepanem, z którego przydomka wielce był kontent. Rad też udawał prostaka, chociaż wychowanie odebrał wykwintne i młodość na podróżach po cudzych krajach spędził. Sam powiadał się zwyczajnym szlachicem i dużo o mierności swego „staniku“ mawiał, może dlatego, by mu inni zaprzeczali, a może, by mierności dowcipu nie spostrzegli. Zresztą było człek zacny i lepszy syn Rzeczypospolitej od wielu innych.

A jako on przypadł do serca Kmicicowi, tak i Kmicic jemu, przeto też go na pokoje zamkowe zaprosił i gościł, bo i to lubił, by jego gościnność chwalono.

Pan Andrzej poznał w zamku wiele znamienitych osób, przedewszystkiem zaś księżnę Gryzeldę Wiśniowiecką, siostrę pana Zamoyskiego, a wdowę po wielkim Jeremim, po panu swego czasu w Rzeczypospolitej prawie największym, który jednakowoż całą niezmierną fortunę w czasie inkursyi kozackiej był utracił, tak, iż księżna siedziała w Zamościu, na łasce u brata Jana.

Lecz byłato pani tak pełna wspaniałości, majestatu i cnoty, iż pierwszy pan Jan prochy przed nią zdmuchiwał, a przytem bał się jej, jak ognia. Nie było też wypadku, żeby woli jej zadość nie uczynił lub żeby się jej w ważniejszych wypadkach nie radził. Powiadali nawet dworscy, że księżna pani rządzi Zamościem, armią, skarbami i panem bratem starostą; lecz ona nie chciała korzystać ze swej przewagi, całą duszą oddana boleści po mężu i wychowaniu syna.

Syn ów właśnie był niedawno z dworu wiedeńskiego na krótki czas do kraju powrócił i bawił przy niej. Byłto młodzieńczyk w wiosnie lat; lecz napróżno pan Kmicic szukał w nim tych znamion, które syn wielkiego Jeremiego nosić w obliczu powinien.

Postać młodego książątka była pełna wdzięku; twarz duża, nalana, wypukłe oczy patrzyły nieśmiało; usta miał grube, wilgotne, jak u ludzi skłonnych do uciech stołu; olbrzymie i czarne jak skrzydło kruka włosy, spadały mu aż na ramiona. Wziął też po ojcu tylko owe krucze włosy i smagłość cery.

Ci, którzy mu byli bliżsi, upewniali jednak pana Kmicica, że młody książę ma duszę szlachetną, pojęcie niepospolite i znakomitą pamięć, dzięki której prawie wszystkimi językami rozmówić się może i że tylko pewna ociężałość ciała i ducha, oraz przyrodzone ła-

komstwo w jedzeniu, stanowią wady tego niepospolitego zkadinał panięcia.

Jakoż wdawszy się z nim w rozmowę, przekonał się pan Andrzej, że książę nietylko ma pojętny dowcip i trafny sąd o wszystkim, ale i dar jednania sobie ludzi. Kmicic pokochał go po pierwszej rozmowie tem uczuciem, w którym jest najwięcej litości. Uczuł, że dałby wiele, by temu sierocie wrócić świetny los, jaki mu się prawem z urodzenia należał.

Lecz przekonał się także przy pierwszym obiedzie, iż prawdą było, co mówiono o łakomstwie Michała. Młody książę zdawał się nie myśleć o niczem więcej tylko o jedzeniu. Wypukłe jego oczy śledziły niespokojnie każdą potrawę, a gdy mu przynoszono półmisek, nabierał ogromne kupy na talerz i jadł chciwie, z mlaskaniem wargami, jak tylko łakomcy jadają. Marmurowa twarz księżnej przyoblekała się na ów widok jeszcze większym smutkiem. Kmicicowi zaś stało się nieswojo, tak dalece, że odwrócił oczy i spojrzał na pana Sobiepana Zamoyskiego.

Lecz pan starosta kałuski nie patrzył ani na księcia Michała, ani na swego gościa. Kmicic poszedł za jego wzrokiem i poza ramieniem księżnej Gryzeldy ujrzał prawdziwie cudne zjawisko, którego nie zauważył dotąd.

Byłato malutka główka dziewczęca, biała jak mleko, kraśna jak róża, a wdzięczna jak obrazek. Drobnuchne, same przez się wijące się loczki, zdobiły jej czoło, bystre oczki strzygły ku oficerom, siedzącym wedle pana starosty, nie pomijając i jego samego; wreszcie zatrzymały się na panu Kmicicu i patrzyły

nań z uporem, tak pełnym zalotności, jakby mu chciały w głąb serca zajrzeć.

Lecz Kmicic niełatwo się konfundował; więc jął zaraz patrzeć w te oczki zgoła zuchwale, a następnie trącił w bok siedzącego podle pana Szurskiego, porucznika nadwornej pancерnej chorągwi ordynackiej i spytał półgłosem:

— A coto za firka ogoniasta?

— Mości panie, — odrzekł ostro pan Szurski — nie mów lekce, kiedy nie wiesz o kim mówisz... Nie żadna to firka, jeno panna Anna Borzobohata Krasieńska... I waćpan inaczej jej nie zwij, jeśli nie chcesz swojej grubijanitatis żałować!

— Aspan chyba nie wiesz, że firka to taki ptak i bardzo wdzięczny, dlatego też żadnego w tem przewisku kontemptu niemasz, — odparł, śmiejąc się Kmicic — ale miarkując z waszmościnej cholery, srode musisz być zakochany!

— A kto tu niezakochany? — mruknał opryskliwie Szurski — sam pan starosta ledwie oczu nie wypatry i jako na szydle siedzi.

— Widzę to, widzę!

— Co tam waćpan widzisz!... On, ja, Grabowski, Stołagiewicz, Konojadzki, Rubecki z dragonii, Pieczynga, wszystkich pograżyła... I z waćpanem stanie się to samo, jeżeli tu długo posiedzisz. Jej dwudziestu czterech godzin dosyć!

— Ej, panie bracie! Nie dałaby i we dwadzieścia cztery miesiące rady!

— Jakże to? — pytał z oburzeniem pan Szurski — toś waś ze spiży, czy co?

— Nie! Jeno gdy kto waćpanu ostatniego talara

z kieszeni ukradnie, to się już nie potrzebujesz bać złodzieja...

— Chyba, że tak! — odrzekł Szurski.

Kmicic zaś sposepniał nagle, bo mu własne zgryzoty na myśl przyszły i nie zważał więcej, że czarne oczki coraz to uporczywiej w niego patrzyły, jak gdyby pytając: jak się nazywasz i z kąd się wzięłeś, młody rycerzu?

A Szurski mruczał:

— Wierci, wierci!... Wierciła tak i we mnie, póki do serca nie dowierciła... Teraz ani dba!

Kmicic otrząsnął się z zamyślenia.

— Czemu się który z was nie żeni, u kaduka!

— Bo jeden drugiemu przeszkadza!

— Ba, to dziewczka gotowa osiąść na koszu....

Choć, co prawda, jeszcze w tej gruszce białe ziarnka być muszą.

Na to Szurski wytrzeszczył oczy i pochyliwszy się do ucha Kmicica, rzekł wielce tajemniczo:

— Mówią, że jej dwadzieścia pięć lat, jak Boga kocham! Jeszcze przed inkursją hultajską była u księżnej Gryzeldy.

— Dziw nad dziwy, nie dałbym jej nad szesnaście, niechby ośmnaście, najwyżej!

Tymczasem „licho“ domyśliło się widocznie, że o niem mowa, bo oczki jarzące nakryło powiekami i jeno boczkim trochę strzelało ku Kmicicowi, pytając ciągle: ktoś jest, taki urodziwy? z kąd się wzięłeś?

A on mimowoli począł pokręcać wąsa.

Po obiedzie wziął go pod ramię pan starosta kałuski, który z uwagi na dworne maniery Kmicica, traktował go jak niepowszedniego gościa.

-- Panie Babinicz, — rzekł — wszakże waszmość mówiłeś mi, żeś z Litwy?

— Tak jest, panie starosto.

— Powiedzże mi, zali nie znasz na Litwie Podbipiętów?

— Znać nie znam, bo też już ich na świecie nie masz, przynajmniej tych, którzy się Zerwikapturem pieczętowali. Ostatni pod Zbarażem poległ. Był to największy rycerz, jakiego Litwa wydała. Kto u nas o Podbipiętach nie wie!

— Słyszałem i ja o tem, ale owo dlaczego pytam: jest na respekcie u siostry mojej jedna panna, która się Borzobohata Krasieńska nazywa... Ród zacny!... Była ona narzeczoną tego Podbipięty, który zabit pod Zbarażem. Sierota to, bez ojca i matki, a chociaż siostra księżna wielce ją miłuje, przecie ja, przyrodzonym opiekunem siostry będąc, tem samem mam i onę dziewczynę w opiece.

— Miłaż to opieka! -- wtrącił Kmicic.

Pan starosta kałuski uśmiechnął się, mrógnął oczyma i mlasnął językiem:

— Co? marcepanik! co?...

Lecz wnet spostrzegłszy, iż się zdradza, przybrał twarz poważną.

— Zdrajco! — rzekł pół żartem, a pół seryo — chciałeś mnie na hak przywieść, ledwiem się nie wygadał!...

— Z czem? — pytał pan Kmicic, patrząc mu bystro w oczy.

Tu Sobiepan ostatecznie zmiarkował, że lotnością dowcipu gościowi nie sprosta i zaraz rzecz obrócił.

— Ten Podbipięta, — rzekł — zapisał jej jako-

weś folwarki, tam w waszych stronach. Nazwisk nie pamiętam, bo cudaczne: jakieś Bałtupie, Syruciany, Myszykiszki, słowem, wszystko, co miał. Dalibóg nie pamiętam... Pięć czy sześć folwarków.

— Ba! klucze to raczej, nie folwarki. Podbipięta był człek wielce możny i gdyby ta panna do całej jego fortuny kiedyś doszła, mogłaby mieć własny fraucymer i między senatorami męża szukać.

— Także powiadasz? Znasz owe wioski?

— Znam jeno Lubowicze i Szeputy, bo te koło mojej majątności leżą. Samej leśnej granicy będzie mil ze dwie, a polnej i łącznej drugie tyle.

— Gdzieżto jest?

— W Witebskiem.

— Oj! daleko, nie warta ta sprawa zachodu, ile, że tamte kraje pod nieprzyjacielem.

— Jak nieprzyjaciół wyżeniem, to do majątności dojdziem. Ale Podbipiętowie mają swoje majątności i w innych stronach, a na Żmudzi bardzo znaczne, wiem o tem dobrze, bo mam też i tam kawał ziemi.

— Widzę, że i waszmościna substancya nie torba sieczki?

— Nic to teraz nie przynosi. Ale cudzego mi nie trzeba.

— Poradźże mi waszmość, jakby dziewczynę na nogi postawić?

Kmicie rozśmiał się.

— Wolę o tem radzić, niż o czem innem. Najlepiej do pana Sapiehy się udać. Byle sprawę wziął do serca, to jako wojewoda witebski i najznamienitsza na Litwie persona, siła mógłby wskórać.

— Mógłby awizy do trybunałów rozesłać, że to

testamentem Borzobohatej zapisano, aby dalsi krewni nie szarpali.

— Tak jest. Ale trybunałów teraz niemasz, a pan Sapieha co innego też ma na głowie.

— Moznaby dziewczynę w ręce mu i w opiekę oddać. Mając ją na oczach, prędzejby dla niej co uczynił.

Kmicic spojrział ze zdziwieniem na pana starostę.

— Co on w tem ma, że się chce jej ztąd pozbyć? — pomyślał.

Starosta zaś mówił dalej:

— Trudno, aby w obozie, w namiocie pana wojewody witebskiego mieszkała, ale mogłaby przy córkach wojewodzińskich zostawać.

— Nie rozumiem! — pomyślał Kmicic — zaliby on naprawdę chciał jej być tylko opiekunem?

— W tem jeno trudność, jakby ją w tamte strony w dzisiejszych niespokojnych czasach wysłać. Trzebaby z kilkaset ludzi, a ja Zamościa ogałacać nie mogę. Gdybym to znalazł kogo, coby ją w bezpieczeństwie dowiózł... Oł, waćpan mógłbyś się podjąć, bo i tak do pana Sapiehy idziesz. Dałbym ci listy... a waćpan dałbyś mi kawalerski parol, że ją bezpiecznie doprowadzisz.

— Ja mam ją do pana Sapiehy prowadzić? — rzekł ze zdumieniem Kmicic.

— Alboż to taka funkcyja niemiła... Choćby też i do afektu po drodze przyszło?

— Ehe! — rzekł Kmicic — już tam moje afekty kto inny dzierżawi, a choć tenuty mi nie płaci, przecie dzierżawcy zmieniać nie myślę.

— Tem lepiej, z tem większą spokojnością ci ją powierzę.

Nastała chwila milczenia.

— Co? podjąłbyś się? — spytał starosta.

— Z Tatarami idę.

— Powiadali mi ludzie, że się Tatarzy waćpana gorzej ognia boją. No, co? podjąłbyś się?

— Hm! dlaczego by nie, gdybym waszę wielmożność miał tem zobowiązać... Jenó...

— Aha! myślisz, że trzeba, aby księżna permissyą dała... Da! jak mi Bóg miły! Bo imaginuj sobie, że ona mnie posądza...

Tu pan starosta począł coś długo szeptać do ucha Kmicicowi, wreszcie dodał głośno:

— Okrutnie była za to na mnie krzywa, a ja uszy kładłem po sobie, bo to z babami wojować! at! wolałbym Szwedów pod Zamościem. Ale będzie miała najlepszy dowód, że nic złego nie zamyslałam, skoro sam dziewczkę chcę ztąd wyprawiać. Srodze się zdziwi, prawda... No! przy pierwszej sposobności o tem z nią pogadam.

To rzekłszy starosta, zakreślił się i odszedł, Kmicic zaś popatrzył za nim i mruknął:

— Wniki jakieś, panie starosto, zastawiasz, a choć celu nie rozumiem, przecie sidło widzę dobrze, bo i wnicznik z ciebie okrutnie niezgrabny.

Pan starosta zaś kontent był z siebie, chociaż dobrze to pojmował, że połowa dopiero roboty została dokonana, a pozostawała druga, tak trudna, że na myśl o niej ogarniało go zwątpienie, a nawet i strach: prosto należało uzyskać pozwolenie księżnej Gryzeldy,

której surowości i przenikliwego rozumu bał się pan starosta z całej duszy.

Jednak poczawszy, pragnął jaknajprędzej doprowadzić dzieło do skutku, nazajutrz więc rano po mszy, po śniadaniu i po przeglądzie najmniejszej piechoty niemieckiej udał się na pokoje księżnej.

Zastał samą panią, haftującą ornat do kolegiaty. Za nią Anusia zwijała rozwieszony na dwóch krzesłach jedwab; drugi motek koloru różanego założyła na szyję i migając szybko rączkami, biegła naokoło krzesła, goniąc odwijającą się nitkę.

Panu staroście pojaśniały oczy na jej widok, ale prędko przybrał oblicze w powagę i przywitawszy się z księżną, tak niby od niechcenia zaczął:

— Ten pan Babinicz, co tu z Tatary przyjechał to jest Litwin. Można jakiś człek i wielce grzeczny, a rycerz podobno zawołany. Zauważyłaś go, pani siostrze?

— Samżeś go do mnie przyprowadzał — odrzekła obojętnie księżna Gryzelda. — Uczciwą ma twarz i na dobrego żołnierza wygląda.

— Rozpytywałem się go też o owe majątności pannie Borzobohatej zapisane. Powiada, że to fortuna niemal radziwiłłowskiej równa.

— Daj Boże Anusi. Lżejsze jej będzie sieroctwo, a potem starość — rzekła pani.

— Jest jeno to *periculum*, żeby dalsi krewni nie rozdrapali. Babinicz powiada, że wojewoda witebski mógłby, gdyby chciał, tem się zająć. Zaczny to człek i nam wielce życzliwy, któremubym córkę własną powierzył... Dośćby mu awizę do trybunału posłać i opiekę oznajmić. Ale Babinicz powiada, iż na to

potrzeba, aby panna Anna sama pojechała w tamtę stronę.

— Dokąd? do pana Sapiehy?

— Albo do panien Sapieżanek, aby tam była, aby instalacya pro forma mogła być uczyniona.

Wojewoda zmyślił w tej chwili „instalacyą pro forma“, słusznie mniemając, że księżna przyjmie tę fałszywą monetę za dobrą.

Ona zaś pomyślała przez chwilę i rzekła:

— Jakże jej tu teraz jechać, gdy Szwedzi po drodze?

— Mam właśnie wiadomość, że z Lublina ustąpili. Cały kraj z tej strony Wisły wolny.

— I któżby to Hankę do pana Sapiehy odprowadził?

— Choćby ten sam Babinicz.

— Z Tatarami? Bójże się Boga, panie bracie, tożto lud dziki i niesforny.

— Ja się tam nie boję — wtrąciła, dygając Anusia.

Lecz księżna Gryzelda zmiarkowała już, że pan brat przyszedł z jakimś gotowym planem, więc wyprawiła Anusię z pokoju, sama zaś poczęła spoglądać pytającym wzrokiem na pana starostę.

On zaś rzekł, jakby do siebie samego:

— Ordyńcy ci w proch się przed Babiniczem rozsypują. Wiesza ich za lada niesubordynacyą.

— Nie mogę na taką ekspedycyą pozwolić — odpowiedziała księżna. — Dziewczyna jest zacna, ale bałamutna i łatwo w ludziach zapały budzi... Sam to wiesz najlepiej. Nigdybym jej nie powierzyła człeku młodemu i nieznanemu.

— Nieznany on tam nie jest, bo kto o Babini-
czach nie słyisał, jako o familiantach i statecznych lu-
dziach! (pierwszy pan starosta nigdy w życiu o Babini-
czach nie słyisał). Zresztą — mówił dalej — mogłabyś
jej którą ze statecznych niewiast do kompanii dodać, to
i decorum byłoby zachowane. Za Babinicza ja ręczę. Po-
wiem ci i to, pani siostró, że ma on w tamtych stronach
narzeczoną, w której srodze jest, jak sam powiada, za-
kochany... A kto zakochany, temu co innego w głowie.
Grunt w tem, że taka druga sposobność nieprędko
może się trafić; natomiast może fortuna dziewię prze-
paść i na dojrzałe lata zostanie bez dachu nad głową.

Księżna przestała haftować, podniosła głowę
i utkwiała w bracie przenikliwie oczy.

— Co ty masz w tem, żeby ją złąd wyprawić?

— Co ja mam w tem? — mówił spuszcżając wzrok
pan starosta — co mogę mieć? nic!

— Janie!... tyś się z Babiniczem zmówił na jej
cnotę?!

— Ot, jest! Jak mi Bóg miły! tego tylko brakło.
Przeczytasz tedy list, który do pana Sapiehy napiszę
i własny dodasz... A jać jeno przyrzekam, iż się z Za-
mościa nie ruszę. Wreszcie sama Babinicza wybadasz
i sama go prosić będziesz, aby się funkcyi podjął. Skoro
mnie posądzasz, to nie chcę o niczem wiedzieć.

— Czemu zaś tak nastajesz, by ona wyjechała
z Zamościa?

— Bo jej dobra pragnę i o fortunę niezmierną
chodzi. Wreszcie... przyznaję! Siła mi na tem zależy,
aby ona z Zamościa wyjechała. Oto sprzykrzyły mi się
twoje posądzienia. nie w smak i to, że na mnie ustawnie
brwi marszczysz i surowie spoglądasz... Myślałem, że

pryzwalając na odjazd dziewczyny, znajdę najlepsze argumentum przeciw podejrzeniom. Dalibóg! dość mi tego, bom też nie żaden żak, ani mydłek, który się nocą pod okna skrada... Powiem ci więcej: oficerowie mi się przez nią jeden na drugiego burzą i szablami na się trzaskają, ni zgody, ni porządku, ni służby, jak należy. Dość mi tego! Ale skoro jeszcze oczyma we mnie świdrujesz, to rób, jak chcesz, a Michała sama pilnuj, bo to twoja, nie moja sprawa.

— Michała? — rzekła ze zdumieniem księżna.

— Ja przeciw dziewczynie nic nie mówię... Nie bałamuci go więcej niż innych, ale jeśli ty, pani siostrze, nie widzisz jego strzelistych spojrzeń i gorących afektów, to ci jeno to powiem, że i Kupido tak nie zaślepia, jak macierzyńska miłość.

Brwi księżnej ściągnęły się, a lica jej przybladły.

Starosta zaś, widząc, że wreszcie utrafił, uderzył się rękoma po kolanach i mówił dalej:

— Ot, tak! pani siostrze, ot, tak!... Co mnie do tego! Niechże jej Michałek jedwab' do zwijania podaje, niech parska, patrząc na nią, niech się płoni, niech przez dziurki we drzwiach na nią spogląda!... A mnie co!... Wreszcie... bo ja wiem!... Fortuna piękna... ród! no! szlachecki, a ja się tam nad szlachtę nie wynoszę. Chcesz sama, dobrze! Lata jeno ponoś niedobrane, ale to znów nie moja rzecz.

To rzekłszy, pan starosta powstał i skłoniwszy się siostrze bardzo uprzejmie, zabierał się do odejścia.

Księżnej tymczasem krew napłynęła do twarzy. Dumna pani w całej Rzeczypospolitej nie widziała partyi godnej Wiśniowieckiego, a za granicą chyba mię-

dzy arcyksiężniczkami austriackimi, więc też słowa brata przypiekły ją jakby rozpalonem żelazem.

— Janie! — rzekła — czekaj!

— Pani siostró — odrzekł starosta kałuski — chciałem, primo: złożyć ci dowód, iż niestusznie mnie posądzasz, secundo: iż powinnaś kogo innego pilnować. Teraz uczynisz, jak zechcesz, jać nie mam więcej nic do gadania.

Tu pan Zamoyski skłonił się i wyszedł.

ROZDZIAŁ XVI.

Pan starosta kałuski niezupełnie kłamał przed siostrą, mówiąc o afektach Michałowych dla Anusi, gdyż młode księżatko kochało się w niej tak, jak i wszyscy, nie wyłączając paziów dworskich. Ale była to miłość niezbyt gwałtowna i zgoła nie przedsiębiorcza; raczej słodkie rozdurzenie głowy i zmysłów, nie poryw serca, które miłując, do wiecznego posiadania umiłowanego przedmiotu dąży. Do takiego dążenia nie miał Michał dość energii.

Niemniej księżna Gryzelda, marząc o świetnej przyszłości dla syna, przeraziła się mocno tem uczuciem.

W pierwszej chwili zdumiała ją nagła zgoda pana starosty na wyjazd Anusi; obecnie przestała o tem myśleć, tak dalece całą jej duszę zajęło grożące niebezpieczeństwo. Rozmowa z synem, który bladł i drżał przed nią, a wprzód, nim się do czego przyznał, już począł łązy wylewać, utwierdziła ją w mniemaniu, że niebezpieczeństwo jest groźne.

Jednakże nie odrazu przewyciężyła skrupuły sumienia i dopiero gdy Anusia, której chciało się nowy świat i nowych ludzi zobaczyć, a może i pobałamucić

pięknego kawalera, przypadła jej do nóg z prośbą o pozwolenie, księżna nie znalazła dość siły, by go jej odmówić.

Anusia zalewała się wprawdzie łzami na myśl rozłąki ze swą panią i matką, ale dla sprytnej dziewczyny było zupełnie jasnym, że prosząc o rozłąkę, oddała tem samem od siebie wszelkie podejrzenia, jakoby w jakichś z góry powziętych celach bałamuciła młode ksiąźątko lub też samego pana starostę.

Księżna Gryzelda, chcąc się przekonać, czy nie ma jakiej zмовy między bratem starostą a Kmicicem, kazała temu ostatniemu stawić się przed sobą. Przyrzeczenie pana starosty, że nie ruszy się z Zamościa, uspokoiło ją wprawdzie znacznie, chciała jednak poznać bliżej człowieka, który miał dziewczynę przeprowadzać.

Rozmowa z Kmicicem uspokoiła ją zupełnie.

Młodemu szlachcicowi patrzyła z siwych oczu taka szczerosc i prawda, że niepodobna było o niej wątpić. Przyznał się od razu, że w innej zakochany i przeto do bałamuctwa nie ma ni chęci, ni głowy. Wreszcie dał parol kawalerski, iż dziewczynę obroni przed wszelką przygodą, chyba sam pierwiej głową nałożył.

— Do pana Sapiehy ją dowiozę bezpiecznie, gdyż starosta powiadał, że nieprzyjaciel i z Lublina ustąpił... Ale potem nie chcę nic o niej wiedzieć... I nie dlatego, abym powolnych służb dla waszej ks. mości miał się wzdragać, bo dla wdowy po największym wojowniku i chwale całego narodu gotowem zawsze krew przelać... Ale że mam tam swoje ciężkie sprawy, z których nie wiem, czyli skórę całą wyniosę.

— Nie chodzi też o nic więcej, — odrzekła księżna — jeno, byś ją do pana sapieżyńskich rąk oddał,

a pan wojewoda uczyni to dla mnie, iż dalszej nad nią opieki nie odmówi.

Tu wyciągnęła mu rękę, którą on ze czcią największą ucałował; ona zaś rzekła jemu na pożegnanie:

— Czuwaj, panie kawalerze, czuwaj! I tem się nie ubezpieczaj, że kraj od nieprzyjaciela wolny.

Ostatnie słowa zastanowiły Kmicica, lecz nie miał czasu nad niemi rozmyślać, bo wkrótce ułapił go pan starosta.

— Cóż, mości rycerzu, — rzekł wesoło — największą ozdobę z Zamościa mi wywozisz?

— Ale z wolą pańską — odpowiedział Kmicic

— Pilnujże jej dobrze. Łakomy to specyał! Gotów ci ją kto odbić!

— A niech jeno popróbuje! O wa! Dałem parol kawalerski księżnej pani, a u mnie parol święta rzecz!

— No! na śmiech jeno mówię... Nie potrzebujesz się bać, ani ostrożności nadzwyczajnych przedsiębrać.

— A taki poproszę jw. pana o jakąś kolaskę zamykaną i blachami opatrzoną.

— Dam ci i dwie!... Ale przecież zaraz nie jedziesz?

— Bogać. Pilno mi! I tak tu zadługo siedzę.

— To wypraw swoich Tatarów najprzód do Krasnegostawu. Ja ze swej strony pchnę gońca, ażeby tam obroki były dla nich gotowe, a tobie eskortę własną aż do Krasnegostawu dam. Nic cię tu spotkać złego nie może, bo to kraj mój... Dam ci dobrych pachotków z niemieckiej dragonii, ludzi śmiałych i dróg świado-

mych... Zresztą do Krasnegostawu trakt, jak sierpem rzucił.

— A czemu to mam się sam ostawać?

— Abyś się z nami dłużej zabawił, miłym mi jesteś gościem i radbym waćpana choćby cały rok zatrzymać. A przytem posłałem po stada do Perespy, może się jakowyś bachmacik dla waćpana wybierze, który cię w potrzebie nie zawiedzie, wierzaj!...

Kmicic spojrzął bystro w oczy staroście, potem, jakby powziąwszy nagle postanowienie, rzekł:

— Dziękuję i ostaję, a Tatarów najprzód wyprawię.

I poszedł zaraz wydać im rozkazy, a wzięwszy na stronę Akbaha-Ułana, tak mówił:

— Akbah-Ułanie. Macie iść naprzód do Krasnegostawu, prostym traktem, jakoby kto sierpem rzucił. Ja tu ostaję i w dzień po was ruszę, mając starościńską eskortę. Słuchajże teraz, co ci powiem: oto mi do Krasnegostawu nie pójdziecie, jeno mi w pierwszych lasach niedaleko za Zamościem przypadnij, tak, aby żywa dusza o was nie wiedziała; a gdy wystrzał na gościńcu usłyszycie, to do mnie, bo mi tu chcą jakoś nieszczerłość wyrządzić.

— Twoja wola — odrzekł Akbah-Ułan, przykładając dłoń do czoła, ust i piersi.

— Przejrzałem cię, panie starosto! — rzekł do siebie Kmicic. — W Zamościu siostry się boisz, więc chcesz dziewczynę porwać i gdzieś wpobliżu osadzić, a ze mnie instrumentum swych żądź uczynić, a kto wie, czy i gardła nie wzięć. Czekajże! Trafieś na lepszego od się... I sam się we własny potrzask uchwycisz!

Wieczorem porucznik Szurski zastukał do drzwi

Kmicica. Oficer także coś wiedział, czegoś się domyślał, a że Anusię miłował, wolał więc, by odjechała, niż żeby w moc pana starosty wpadła. Jednakże mówić otwarcie nie śmiał, a może także nie miał pewności; dziwił się więc tylko, iż Kmicie zgodził się na wystanie przodem Tatarów; zaręczał, że drogi nie są tak bezpieczne, jako mówią, że wszędy włóczą się kupy zbrojne i do gwałtownych uczynków skore.

Lecz pan Andrzej postanowił udawać, że niczego się nie domyśla.

— Co mnie może spotkać? — mówił — przecie pan starosta kałuski daje mi własną eskortę!

— Ba! Niemców!

— Zali to niepewni ludzie?

— Tym psubratom nigdy ufać nie można. Bywało, że zmówiwszy się w drodze, do nieprzyjaciół zbiegali...

— Szwedów przecie niema z tej strony Wisły.

— Są psiajuchy w Lublinie! Nieprawda, że wyszli. Szczerze waszmości radzę, nie wyprawiaj naprzód Tatarów, bo w większej kupie zawsze bezpieczniej.

— Szkoda, żeś mi waćpan wprzód tego nie mówił. Jeden mam język w gębie i raz danego rozkazu nie cofam.

Jakoż nazajutrz Tatarzy ruszyli naprzód, Kmicie miał zaś jechać pod wieczór, tak, aby na pierwszy nocleg stanąć w Krasnymstawie. Tymczasem wręczono mu dwa listy do pana Sapiehy: jeden od księżnej, drugi od pana starosty.

Kmicie miał wielką ochotę otworzyć ten ostatni, jednak nie śmiał, natomiast przejrawszy go pod światło, przekonał się, że w środku jest czysty papier. Od-

krycie to upewniło go ostatecznie, że i dziewczyna i listy mają mu być w drodze odebrane.

Tymczasem przyszło stado z Perespy i pan starosta obdarzył młodego rycerza nad podziw pięknym bachmacikiem, którego on z wdzięcznością przyjął, myśląc sobie w duszy, że dalej na nim zajędzie, niż się pan starosta spodziewa. Myślał także o swoich Tatarach, którzy już musieli w lasach zapaść i śmiech pusty go brał. Chwilami znów burzył się w duszy i obiecywał sobie dać panu staroście dobrą naukę.

Nadszedł wreszcie czas obiadu, który upłynął bardzo pośpiesznie. Anusia miała czerwone oczy; oficerowie milczeli głucho, jeden pan starosta był wesół i kazał dolewać w kielichy, które Kmicie spełniał jeden za drugim. Lecz gdy nadeszła pora odjazdu, niewiele osób żegnało odjeżdżających, gdyż pan starosta powyprawiał oficerów po służbie.

Anusia padła do nóg księżnie i długo nie można jej było oderwać, sama zaś księżna miała w twarzy niepokój widoczny. Może i wyrzucała sobie pęcichu, iż pozwoliła na odjazd wiernej służki, wśród takich czasów, w których nietrudno było o przygodę. Lecz głośny płacz Michała, który trzymając pięści przy oczach, buczał jak żak szkolny. utwierdził dumną panią w przekonaniu, iż trzeba dalszym skutkom młodocianego afektu zapobiec. Wreszcie uspokajała się i tą nadzieją, że w rodzinie sapieżyńskiej znajdzie dziewczyna opiekę, bezpieczeństwo i wreszcie ową wielką fortunę, mającą jej los na resztę życia zabezpieczyć.

— Waścinej cnocie, męstwu i honorowi ją powierzam — rzekła raz jeszcze księżna do Kmicica —

a waćpan pamiętaj, iżes mi zaprzysiągł, jako ją bez szwanku do pana Sapiehy odprowadzisz.

— Jako szkło będę wiózł, a w potrzebie pakułami obwinę, zem zaś parol dał, to chyba śmierć mi go dochować przeszkodzi — odrzekł rycerz.

I podał ramię Anusi, ona zaś zła była na niego, bo wcale na nią nie patrzył i dość lekko traktował, więc podała mu rękę bardzo dumnie, odwracając wzrok i głowę w inną stronę.

Żal jej było odjeżdżać i strach ją teraz brał, ale cofać się było już zapóźno.

Nadeszła chwila: siedli więc, ona do karetki ze starą sługą, panną Suwalską, on na koni i ruszyli. Dwunastu rajtarów niemieckich otaczało kolaskę i wóz z Anusinemi łubami. Gdy wreszcie skrzypnęły brony w Warszawskiej bramie i rozległ się turkot kół po zwodzonym moście, Anusia uderzyła w płacz głośny.

Kmicie pochylił się do kolaski.

— Nie bój się waćpanna, nie zjem cię!

— Grubijan! — pomyślała Anusia.

Jechali czas jakiś wedle domów leżących za murami, wprost ku Staremu Zamościu, poczem wyjechali na pola i wjechali w bór, który w owych czasach ciągnął się pagórzystym krajem aż hen do Bugu i za Bug z jednej strony, z drugiej szedł przerywany wsiami aż do Zawichosta.

Noc już zapadła, ale bardzo pogodna i widna, traktńczył się srebrnym szlakiem; ciszę przerywał tylko hurkot karetki i tętent koni rajtarskich.

— Tu już moi Tatarowie muszą tkwić w gąszczach jako wilcy — pomyślał Kmicie.

Wtem nadstawił ucha.

— Cota? — zapytał oficera, dowodzącego rajtarami.

— Słysząc tętent!... Jakiś jeździec pędzi w skok za nami! — odrzekł oficer.

Zaledwie skończył, dopadł na spienionym koniu Kozak, wołając:

— Pan Babinicz! pan Babinicz! Pyśmo od pana starosty!

Orszak wstrzymał się. Kozak podał list Kmicicowi.

Kmicic rozłamał pieczęć i przy świetle latarni, umieszczonej przy koźle kolaski, czytał, co następuje:

„Mości, a mnie wielce miły, panie Babinicz! Wprędce po odejździe panny Borzobohatej Krasieńskiej doszła mnie wieść, iż Szwedzi nietylko nie ustąpili z Lublina, ale na mój Zamość uderzyć zamierzają. Wobec tego dalsza droga i peregrynacya stają się niepodobne. Zważywszy więc owe *pericula*, na jakie białogłowa narażonaby być mogła, chcemy pannę Borzobohatą mieć z powrotem w Zamościu. Ciż sami rajtarowie ją odwiozą, waćpana zaś, któremu w dalszą drogę musi być pilno, napróżno fatigare nie chcemy. Którą wolę naszą oznajmując waszej mości, prosimy, abyś rajtarem wedle naszych chęci rozkazy wydać zechciał“.

— Przecie jest w nim tyle uczciwości, że na głowę moję nie nastaje, jeno mnie na dudka chce wystrychnąć — pomyślał Kmicic. — Wraz się też okaże jawnie, czy jest w tem zasadzka, czyli jej niema.

Tymczasem Anusia wysadziła głowę przez okno.

— A co tam? — spytała.

— Nic! Pan starosta kałuski jeszcze raz waćpannę mojemu męstwu poleca. Nic więcej.

Tu zwrócił się do woźnicy i rajtarów:

— Jazda!

Lecz oficer dowodzący rajtarami osadził konia.

— Stój! — krzyknął na woźnicę.

Poczem do Kmicica:

— Jaktó: jazda?

— A poco dłużej w lesie stać! — spytał z głupia frant Kmicic.

— Bo wasza mość odebrałeś jakowys rozkaz.

— A waści co do tego! Odebrałem i właśnie dlatego rozkazuję: jazda!

— Stój! — zawołał oficer.

— Jazda! — powtórzył Kmicic.

— Co tam? — spytała znów Anusia.

— Nie pojedziem ni kroku dalej, nim rozkazu nie obaczę! — rzekł stanowczo oficer.

— Rozkazu nie obaczysz, bo nie tobie go przysłano!

— Skoro waszmość słuchać go nie chcesz, to ja go wykonam... Ruszajże sobie tedy waszmość z Bogiem do Krasnegostawu i bacz, abyśmy czego nie przyłożyli na drogę, a my z panną wracamy.

Pan Kmicic tego tylko chciał, aby oficer wyznał, iż wie, co jest w rozkazie; okazało się bowiem z tego z zupełną pewnością, że cała sprawa jest zgóry ułożonym podstępem.

— Ruszaj z Bogiem! — powtórzył groźnie już oficer.

I w tej chwili rajtarzy powydobywali bez komendy szable z pochew.

— O takie syny! nie do Zamościa chcielibyście dziewczkę wieść, jeno gdzieś nauboczu osadzić, aby pan

starosta swobodnie żądom swym cugle mógł popuszczać. Aleście na mądrzejszego trafili!

To rzekłszy, wypalił w górę z pistoletu.

Na ów odgłos w głębiach lasu rozległ się wrzask straszliwy, jak gdyby wystrzał zbudził całe stada wilków, śpiące w pobliżu. Wycie ozwało się z przodu, z tyłu, z boków, jednocześnie rozległ się tętent koni, chrupot gałęzi łamanych pod kopytami i na trakcie zaczerniały kupy jezdców, które się zbliżały z nieludzkim wyciem i piskiem.

— Jezus! Marya! Józef! — wołały przerażone niewiasty w kolasce.

Tymczasem Tatarzy dopadli chmurą, lecz Kmicie wstrzymał ich trzykrotnym okrzykiem, sam zaś zwrócił się do przerażonego oficera i chełpić się począł:

— Poznaj, na kogoś trafił... Pan starosta na dudka chciał mnie wystrychnąć, ślepe instrumentum ze mnie uczynić... A tobie rajfurską funkcją powierzył, której się dla łaski pańskiej podjąłeś, panie oficerze! Kłaniajże się od Babinicza panu staroście i powiedz mu, że dziewczka dojedzie bezpiecznie do pana Sapiehy!

Oficer potoczył naokoło przelękłym wzrokiem i ujrzał dzikie twarze, patrzące ze straszliwym łakostwem na niego i na rajtarów. Znać było, że czekają tylko jednego wyrazu, ażeby rzucić się na nich i porozrywać w sztuki.

— Wasza miłość uczyni, co zechce, bo z przemocą nie wskóramy, — odrzekł drżącym głosem — ale pan starosta potrafi się pomścić.

Kmicie rozśmiał się.

— Niechże na tobie się mści, bo gdyby nie to, żeś

się zdradził, gdybyś nie okazał, że wiesz zgóry, co jest w rozkazie i nie przeciwiał się dalszej jeździe, tobyś mnie nie przekonał o zasadzce i dziewczkę zarazbym w Krasnostawie oddał. Powiedzże i to panu staroście, by mądrzejszych od cię rajfurami swymi kreował.

Spokojny ton, z jakim pan Kmicic to mówił, upewnił nieco oficera, przynajmniej pod tym względem, iż ani jemu, ani rajtarom śmierć nie grozi, więc odetchnął lżej i rzekł:

— Mamyż z niczem wracać do Zamościa?

A Kmicic:

— Z niczem nie wrócić, bo wrócić z pismem mojem, które każdemu z was na skórze każę wypisać.

— Wasza miłość...

— Bierz ich! — krzyknął Kmicic.

I sam zaraz ucałował za kark oficera.

Rozpoczęła się zawierucha i kotłowanina naokoło kolaski. Wrzask Tatarów stłumił wołanie o pomoc i krzyki przerażenia, wydobywające się z piersi niewiast.

Lecz szamotanie niedługo trwało, gdyż w dwa pacierze później rajtarowie leżeli już na trakcie powiązani jeden obok drugiego.

Teraz Kmicic rozkazał siec ich batożkami z byczego surowca, lecz nie nad miarę, ażeby wrócić mogli piechotą do Zamościa. Otrzymali więc prości żołnierze po sto, a oficer sto pięćdziesiąt plag, pomimo próśb i zaklęć Anusi, która nie rozumiejąc, co się wokoło niej dzieje, sądziła, że w straszliwe jakieś ręce wpadła i składając dłonie, błagała ze łzami w oczach o życie

— Daruj, rycerzu!... Com ja ci winna?...
Daruj! oszczędź!...

— Cicho panna bądź! — huknął Kmicic.

— Com ci zawiniła?

— Możesz i sama w znowie!...

— W jakiej znowie? Boże bądź miłościw mnie grzesznej!...

— To waćpanna nie wiesz, że pan starosta pozornie jeno na wyjazd waćpanny dozwolił, aby cię od księżnej odłączyć, a w drodze porwać i aby w jakimś pustym zameczku na cnotę twoję nastawać?

— Jezusie Nazareński! — krzyknęła Anusia.

I tyle było w tym okrzyku prawdy i szczerości, iż Kmicic rzekł łagodniej:

— Jakże? Toś waćpanna nie w znowie?....
Może to być!

Anusia zakryła twarz rękoma, lecz nie mogła nie mówić, jeno powtarzała raz porazu:

— Jezus, Maryo! Jezus, Maryo!

— Uspokój się panna — rzekł jeszcze łagodniej pan Kmicic. — Pojedziesz bezpiecznie do pana Sapiehy, bo tego pan starosta nie wyliczył, z kim ma sprawę... Ot, ci ludzie, których tam sieką, mieli cię porwać... Daruję ich zdrowiem, aby mogli panu staroście opowiedzieć, jak im gładko poszło.

— To waćpan mnie od hańby obroni?

— Tak jest! chociażem nie wiedział, czy rada będziesz.

Anusia zamiast odpowiadać lub zaprzeczać, chwyciła nagle pana Andrzeja za rękę i przycisnęła ją do swych bledziuchnych ust.

A po nim skry przeszły od nóg do głowy.

— Daj panna spokój, dla Boga! coto znowu!... — krzyknął. — Siadaj panna do kolaski, bo nożyny

przemoczysz... A nie bój się!... U matki nie byłoby ci przepieczniej...

— Pojadę teraz z waćpanem chociażby na koniec świata!

— Waćpanna takich rzeczy nie powiadaj!

— Bóg cię nagrodzi, żeś cnoty bronił!

— Pierwszy raz mi się sposobność trafiła — odrzekł Kmicic.

A ciszej mruknął sam do siebie:

— Tylem jej dotąd bronił, ile kot napłakał!

Lecz tymczasem ordyńcy przestali batożyć rajtarów, kazał ich więc pan Andrzej pognać nagich i pokrwawionych traktem do Zamościa. Poszli, łzy rzewne wylewając. Konie, broń i odzież darował Kmicic swoim Tatarom i ruszyli szybko naprzód, bo niebezpiecznie było zwłóczyć.

Przez drogę nie mógł się młody rycerz powstrzymać od chęci zaglądania do kolaski, a raczej od spoglądania w bystre oczki i cudne lica dziewczyny. Pytał też za każdym razem, czy jej czego nie trzeba, czy kolaska wygodna i czy zbyt szybka jazda nie nuży.

Ona odpowiadała mu zatem wdzięcznie, że jej tak dobrze, jako nigdy nie bywało. Ochłonęła już ze strachu zupełnie. Serce wezbrało jej ufnością dla obrońcy. W duszy zaś myślała:

— Nie tak nieużyty, ani taki grubijan, jakom z początku mniemała!

— Ej, Oleńka, co ja dla ciebie cierpię! — mówił sobie Kmicic — zali mnie niewdzięcznością nakarmisz?... Żeby tak w dawnych czasach... uha!...

Tu kompanionowie przyszli mu na myśl i różne swawole, których się na spółkę z nimi dopuszczał, więc

chcąc odegnać pokusy, począł za ich nieszczęsne dusze odmawiać: „wieczny odpoczynek“.

Przybywszy do Krasnegostawu, uznał pan Kmicic, że lepiej na wieści z Zamościa nie czekać i zaraz ruszył w dalszą drogę. Wszelako na odjezdnem napisał i przesłał panu staroście list następujący:

„Jaśnie wielmożny panie starosto,
a mnie wielce miłościwy łaskawco i dobrodzieju!

„Kogo Bóg wielkim na tym świecie uczynił, temu i dowcipu sporszą miarą namierzył. Poznałem to odrazu, iżeś jw. pan jeno na próbę chciał mnie wystawić, przesyłając mi rozkaz wydania panny Borzobohatej Krasieńskiej, a poznałem to tem lepiej, gdy rajtarowie owi zdradzili, iż tenor rozkazu wiedzą, chociażem im listu nie pokazywał i choć jwm. pan piszesz mi, iż namysł dopiero po naszym wyjeździe przyszedł. Jako więc z jednej strony podziwiam tembardziej przezorność pańską, tak z drugiej, dla zupełnego uspokojenia troskliwego opiekuna, ponownie przyrzekam, iż nic mnie od spełnienia powierzonej mi funkcji odwieść nie zdoła. Ale, że żołdakowie owi, źle widocznie intencją pańską rozumiejąc, wielkimi grubijanami się okazali, a nawet zdrowiu memu grozili, mniemam przeto, iż utrafiłbym w myśl jwpana, gdybym ich był obwiesić kazał. Czego, żem nie uczynił, o przebaczenie jwpana upraszam; wszelako batożkami kazałem ich przystojnie ociąć, którą karę, jeśli jwpan za zbyt małą uznasz, wedle swej pańskiej woli moltiplikować możesz. Przyczem tusząc, iżem na większą ufność i wdzięczność jwpana zarobił, piszę się wiernym i życzliwym w. pańskiej mości sługą. — *Babinicz*“.

Dragoni, dowlokłszy się do Zamościa późną nocą, nie śmieli się na oczy panu staroście kałuskiemu pokazać, dowiedział się więc o całym zajściu dopiero z tego listu, który nazajutrz krasnostawski Kozak przywiózł.

Przeczytawszy go pan starosta, na trzy dni w swojej komnacie się zamknął; nikogo z dworzan, prócz pokojowców, którzy mu jeść nosili, do siebie nie puszczając. Słyszano też, iż kłął pofrancusku, co czynił tylko wówczas, gdy był w najwyższej pasyi.

Powoli jednak uspokoiła się ta burza. Przez czwarty i piąty dzień bardzo był jeszcze pan starosta milczący; żuł coś w sobie i za wąż szarpał; aż dopiero w tydzień, będąc już wcale wesołym i podpisujący trochę przy stole, począł nagle wąż kręcić, nie szarpać i ozwał się do księżnej Gryzeldy:

— Pani siostró, wiesz, że mi nie brak przezorności... Wystawiłem też umyślnie parę dni temu na próbę owego szlachcica, który Anusię zabrał i mogę cię upewnić, że ją wiernie do rąk pana sapieżyńskich dowiezie.

I zdaje się, że już w miesiąc później, zwrócił pan starosta serce gdzieindziej, a prócz tego był całkiem i sam przekonany, że co się stało, stało się z jego wolą i wiedzą.

ROZDZIAŁ XVII.

Województwo lubelskie w znacznej części, a podlaskie niemal zupełnie, było w ręku polskich, to jest konfederacyi i sapieżyńskich. Ponieważ król szwedzki bawił ciągle w Prusach, gdzie z elektorem traktował, Szwedzi więc, nie czując się bardzo na siłach, wobec ogólnego powstania, które wznagało się z każdą chwilą, nie śmieli się wychylać z miast i zamków, a mniej jeszcze przechodzić Wisłę, poza którą siły polskie były największe. Pracowano więc w owych dwóch województwach nad utworzeniem znacznego i porządnego wojska, któreby się z regularnym szwedzkim żołnierzem mierzyć mogło. Po miastach powiatowych ćwiczone piechotę, a ponieważ chłopcy wogóle chwycili za broń, zatem i ludzi nie brakło, trzeba było tylko ująć w kluby i w regularną komendę owe kupy niesforne, często dla własnego kraju niebezpieczne.

Zajmowali się tem rotmistrze powiatowi. Obok tego król wydał mnóstwo listów zapowiednich starym i doświadczonym żołnierzom, zaciągnięci więc we wszystkich ziemiach, a że ludzi wojennych w tych stronach nie brakło, tworzyły się więc chorągwie jazdy bardzo doskonałej. Jedne szły za Wisłę, podsycać

wojnę z tamtej strony, drugie do pana Czarnieckiego, trzecie do pana Sapiehy. Takie mnóstwo rąk schwyciło za broń, że wojsko Jana Kazimierza już było od szwedzkiego liczniejsze.

Kraj, nad którego słabością zdumiewała się niedawno cała Europa, dawał teraz przykład siły, której nie domyślali się w nim nietylko nieprzyjaciele, ale nawet własny król, nawet ci, których wierne serce rozdzierało się przed kilku miesiącami z bólu i desperacji. Znajdowały się pieniądze, zapas, męstwo; najbardziej zrozpaczone dusze ogarniało przekonanie, iż niemasz takiego położenia, takiego upadku, takiej słabości, z którejby nie było ratunku i że tam, gdzie się dzieci rodzą, tam otucha umrzeć nie może.

Kmicie szedł naprzód bez przeszkód, zbierając po drodze niespokojne duchy, które chętnie przystawały do czambułku, w tej nadziei, że na wspólną z Tatary najwięcej zażyją krwi i grabieży. Tych w rządnych i sprawnych żołnierzy łatwo zmieniał, bo miał ten dar, iż strach a posłuch budził w podwładnych. Witano go po drodze radośnie, a to z powodu Tatarów. Widok ich bowiem przekonywał, iż chan naprawdę Rzeczypospolitej idzie z pomocą. Oczywiście gruchnęła wieść, że panu Sapieżu wałą auxilia, złożone z czterdziestu tysięcy wyborowego tatarskiego komuniku. Rozpowiadano cuda o „modestyi“ tych sprzymierzeńców, jako żadnych gwałtów ni zabójstw po drodze nie czynią. Podawano ich własnym żołnierzom za przykład.

Pan Sapieha stał chwilowo w Białej. Siły jego składały się z około dziesięciu tysięcy wojsk regularnych, jazdy i piechoty. Byłyto szczątki wojsk litewskich, podsycone nowym ludem. Jazda, zwłaszcza nie-

które jej chorągwie, przewyższała dzielnością i sprawnością szwedzką rajtaryą, lecz piechota źle była wyćwiczona i brakło jej strzelby, a zwłaszcza prochów. Brakło także armat. Myślał wojewoda witebski, że się zaopatrzy w nie w Tykocinie, tymczasem Szwedzi, wysadziwszy siebie samych prochami, zniszczyli zarazem wszystkie działa zamkowe.

Obok tych sił stało w okolicach Białej do dwunastu tysięcy pospolitaków z całej Litwy, z Mazowsza, z Podlasia, lecz z tych niewiele obiecywał sobie wojewoda pożytku, zwłaszcza, że niezmierną moc wozów ze sobą mając, utrudniali pochody i czynili z obozu ociężałe i nieruchome zbiorowisko.

Kmicie o jednym myślał, wjeżdżając do Białej. Oto pod Sapiahą służyło tylu szlachty z Litwy i tylu oficerów Radziwiłłowskich, dawnych jego znajomych, iż obawiał się, że go poznają, a poznawszy, na szablach rozniosą, zanim zdoła krzyknąć: Jezus Marya! Imię jego było znienawidzone w całej Litwie i w sapieżyńskim obozie, bo świeża jeszcze była pamięć, jako służąc Radziwiłłowi, wycinał te chorągwie, które się przeciw hetmanowi za ojczyznę opowiedziały.

Lecz dodało panu Andrzejowi to otuchy, że się zmienił bardzo. Bo najprzód wychudł, powtóre przybyła mu przez twarz blizna od Bogusławowej kuli; nakoniec nosił teraz brodę, dość długą, na końcu w szwedzki wicher zakręconą, a że wąsy podczesywał do góry, był więc wiele podobniejszy do jakiegoś Eriksona, niż do polskiego szlachcica.

— Byle się odrazu tumult przeciwko mnie nie uczynił, to po pierwszej bitwie już mnie inaczej będą sądzili - myślał sobie Kmicie, wjeżdżając do Białej.

Wjeżdżał też mrokiem, oznajmił się, zkąd jest, że listy królewskie wiezie i zaraz prosił pana wojewodę o osobną audyencyą.

Wojewoda przyjął go łaskawie, a to z powodu gorących poleceń królewskich.

„Posyłamy wam najwierniejszego sługę naszego, — pisał król — który Hektorem częstochowskim, od czasu oblężenia sławnego miejsca, jest nazwany, naszą zaś wolność i nasze zdrowie własnem życiem w czasie przeprawy przez góry ratował. Tego w szczególniejszej opiece miejcie, aby mu krzywda od żołąnierzy się nie stała. Nazwisko jego prawdziwe wiemy, oraz i racye, dla których pod przybranem służy, z powodu którego przybrania nikt nie ma go w podejrzeniu podawać, ani o praktyki posądzać“.

— A dlaczego waść przybrane nazwisko nosisz, nie można wiedzieć? — pytał pan wojewoda.

— Bom jest bannit i pod własnem nie mógłbym zaciągać... Król dał mi zaś listy zapowiednie i jako Babinicz zaciągać mogę.

— Poco ci zaciągi, skoro masz Tatarów?

— By i największa siła nie zawadzi.

— A za co bannit?

— Pod czyją komendę idę i kogo o opiekę proszę, temu wszystko, jako ojcu, wyznać winienem. Prawdziwe moje nazwisko jest: Kmicic!

Wojewoda cofnął się parę kroków.

— Którego króla i pana naszego porwać żywym lub umarłym Bogusławowi obiecywał?

Kmicic opowiedział z całą swą energią, jak i co się zdarzyło, jako Radziwiłłom otumaniony służył, jako usłyszawszy z ust Bogusława o istotnych księżąt za-

miarach, porwał go i z tego powodu nieubłaganą zemstę na się ściągnął.

Wojewoda uwierzył, bo nie mógł nie uwierzyć, zwłaszcza, gdy i królewskie listy prawdę słów Kmiciowych potwierdzały. Wreszcie w wojewodzie dusza była tak rozradowana, iż największego swego wroga byłby w tej chwili do serca przycisnął, największy grzech odpuścił. Radość tę sprawił mu następujący ustęp królewskiego listu:

„Jakkolwiek wakująca po śmierci wojewody wielkiego wielka buława litewska, wedle zwykłego prawa, tylko na sejmie może być następcy oddana, przecie w extraordinaryjnych dzisiejszych okolicznościach, niechając pospolitego trybu, wam, wielce nam miłym, dla dobra Rzeczypospolitej i waszych wiekopomnych zasług, buławę onę oddajemy, słusznie mniemając, że da Bóg uspokojenie, na przyszłym sejmie żaden głos przeciwko tej woli naszej się nie podniesie i uczynek nasz ogólną aprobatę otrzyma“.

Sapieha, jak mówiono wówczas w Rzeczypospolitej, „zastawił kontusz i sprzedał ostatnią srebrną łyżkę“, nie służył więc dla korzyści, ani dla honorów ojczyźnie. Lecz nawet najbezinteresowniejszy człowiek rad widzi, iż zasługi jego cenią, wdzięcznością płacą, cnotę uznają. Dlatego od poważnej jego twarzy blask bił niezwykły.

Akt ten woli królewskiej nowym splendorem przyozdabiał ród sapieżyński, a na to żadne z ówczesnych „królewiat“ nie było obojętne; dobrze, jeśli byli tacy, którzy do wyniesienia *per nefas* nie dążyli. Więc też pan Sapieha gotów był teraz uczynić dla króla wszystko, co było i co nie było w jego mocy.

— Skorom jest hetmanem, — rzekł do pana Kmicica — to pod moją inkwizycją podchodzisz i opiekę znajdziesz. Siła tu jest pospolitego ruszenia, więc i tumult gotowy, dlatego bardzo w oczy nie leż, póki ja żołnierzów nie ostrzegę i tej potwarzy z ciebie nie zdejmę, którą Bogusław rzucił.

Kmicic podziękował z serca i z kolei począł mówić o Anusi, którą ze sobą do Białej przywiózł. Na to pan hetman nuż zrządzić, ale że w humorze był wyśmienitym, więc i zrządził wesoło.

— Owaryował Sobiepan! jak mi Bóg miły! — rzekł. — Siedzą sobie tam z siostrą za zamoyskimi murami, jak u Pana Boga za piecem i myślą, że każdy może, tak jak on, poły od kontusza rozgartywać, do kominia się obracać i plecy grzać. Ja Podbipiętów znałem, bo to krewni Brzostowskich, a Brzostowscy moi. Fortuna pańska, niema co mówić, ale chociaż wojna z septentrionami na czas omdlała, przecie w tamtych stronach jeszcze stoją... Gdzie czego szukać, gdzie jakie sądy, jakie urzędy? Kto będzie fortunę odbierał i dziewczkę installował? Powaryowali na czysto! Mnie Bogusław na karku siedzi, a ja mam wojskiego funkcyą pełnić i babami sobie głowę zaprzętać...

— Nie baba to, ale wiśnia — odrzekł Kmicic. — A co mi tam!... Kazali wieść, wiozłem; kazali oddać, oddaję!

Stary hetman wziął na to pana Kmicica za ucho i rzekł:

— A kto cię tam wie, zbereźniku, jakąś ty ją odwiózł... Broń czego Boże, jeszcze będą ludzie gadali, że ją od sapieżyńskiej opieki kolki sparły i ja stary będę oczyma świecił.... Cóżescieto na popasach czynili?

Gadaj mi jeno zaraz, poganinie, zaliś od swoich Tatarów bisurmańskich obyczajów nie przejął?

— Na popasach — odrzekł wesoło Kmicic. — Na popasach kazałem sobie pachotkom skórę dyscyplinami orać, a to, żeby mniej przystojne chęci wygnać, które pod skórą mają swoje siedlisko, a które, confiteor, nakształt bąków mnie cięły.

— A widzisz... Godnażeto jaka dziewczka?

— At! koza, choć okrutnie gładka, a jeszcze więcej przylepna.

— Już bisurmanin się znalazł!

— Ale cnotliwa, jako mniszka, to jej muszę przyznać. Ale co do kolek, mniemam, żeby ją prędzej od pana zamoyskiej opieki sparty.

Tu Kmicic opowiedział, jak i co było. Dopieroż hetman począł go klepać po ramieniu, a śmiać się.

— No, éwik z ciebie! Nie darmoż tyle o Kmicicu powiadają. Nie bój się! Pan Jan człek nie zawzięty i mój konfident. Przejdzie mu pierwsza pasya, to się jeszcze sam uśmieje i ciebie nagrodzi.

— A nie potrzebuję! — przerwał Kmicic.

— Dobrze i to, że ambicyą masz i ludziom w ręce nie patrzysz. Usłuż mi jeno przeciw Bogusławowi tak sprawnie, to o dawne kondemnaty nie będziesz się potrzebował bać.

Tu zdziwił się Sapieha, spojrzawszy na tę twarz żołnierską, przed chwilą jeszcze tak szczerą i wesołą. Kmicic na wzmiankę o Bogusławie przybladł zaraz i twarz mu się skurczyła, jak paszcza złemu psu, gdy chce kąsać.

— Bogdaj się własną śliną ten 'zdrajca otruł.

byle mi jeszcze przed skonaniem w ręce wpadł! — rzekł ponuro.

— Twojej zawziętości się nie dziwię... Pamiętaj tylko, by gniew w tobie roztropności nie zadławił, bo nie z byle kim to sprawa. Dobrze, że cię król tu przysłał. Będiesz mi Bogusława podchodził, jako dawniej Chowańskiego.

— Będę go lepiej podchodził! — odparł równie ponuro Kmicic.

Na tem skończyła się rozmowa. Kmicic odjechał spać do kwatery, bo był strudzony drogą.

Tymczasem rozbiegła się wieść pomiędzy wojskiem, że król wielką buławę ukochanemu wodzowi przysłał. Radość tedy jak płomień wybuchnęła pomiędzy tysiącami ludzi.

Towarzystwo i oficerowie zpod różnych chorągwi poczęli tłumnie nadbiegać do kwatery hetmańskiej. Uspione miasto ocknęło się ze snu. Porozpalano ogień. Chorążowie nadbiegli z chorągwiami. Zagrały trąby, zahuczały kotły, zagrzmiały wystrzały z dział i muszkietów, a pan Sapieha ucztę wspaniałą wyprawił i przewiawatowano noc całą, pijąc za zdrowie królewskie, hetmańskie i na przyszłe zwycięstwo nad Bogusławem.

Pan Andrzej nie był, jako się rzekło, na uczcie obecny.

Natomiast pan hetman wszczął przy stołach rozmowę o Bogusławie i nie powiadając, kto jest ów oficer, który z Tatarami przyjechał i buławę przywiózł, mówił ogólnie o przewrotności księcia.

— Obaj Radziwiłłowie, — rzekł — kochali się w praktykach, ale książę Bogusław jeszcze nieboszczyka stryjecznego przewyższył... Pamiętajcie waszmościowie

Kmicica, albo przynajmniej słyszeliście o nim. Otóż imanujcieże sobie, iż to, co książę Bogusław rozpuścił: jakoby mu się Kmicic ofiarował rękę na króla i pana naszego podnieść, to nieprawda!

— Januszowi jednakże Kmicic pomagał dobrych kawalerów wycinać.

— Tak jest, Januszowi pomagał, ale wreszcie i on się spostrzegł, a spostrzegłszy się, nietylko służbę porzucił, ale jako wiecie, że człek był zuchwały, jeszcze się na Bogusława porwał. Podobno tam już ciasno było z młodym księciem i ledwie zdrowie z rąk Kmicicowych salwował.

— Kmicic był żołnierz wielki! — odezwały się liczne głosy.

— Książę zaś przez zemstę taką na niego potwarz wymyślił, od której dusza się wzdryga.

— Dyabełby lepszej nie wymyślił!

— Wiedźcie, że dowody mam w rękę, czarno na białem, iż to była zemsta za nawrócenie się Kmicicowe.

— Tak czyje imię pohańbić!... Jeden Bogusław to potrafi!

— Takiego żołnierza pogrążyć!

— Słyszałem, — mówił dalej hetman — iż Kmicic, widząc, że nic mu tu już do roboty nie pozostaje, do Częstochowy umknął i tam znaczne usługi oddał, a potem króla jegomości własną pierśią osłaniał.

Usłyszawszy to, ci sami żołnierze, którzyby byli przed chwilą na szablach Kmicica rozniesli, poczęli coraz życzliwiej się o nim odzywać.

— Kmicic mu tego nie daruje, nie takito człowiek, on się i na Radziwiłła porwie!

— Wszystkich żołnierzów książę koniuszy pohabił, rzuciwszy na jednego taką hańbę!

— Kmicic swawolnik był i okrutnik, ale nie parrycyda!

— Pomści on się, pomści!

— My go pierwiej pomścimy!

— Skoro jw. hetman powagą swą za niego ręczy, to tak musiało być.

— Tak było! — rzekł hetman.

— Zdrowie hetmańskie!

I niewiele brakło, by i Kmicicowego zdrowia nie wypito. Lecz co prawda, odzywały się bardzo gwałtowne głosy i przeciw, zwłaszcza między dawnymi oficerami radziwiłłowskimi. Słyszając je hetman, rzekł:

— A wiecie waszmościowie, zkąd mi ów Kmicic do głowy przyszedł? Oto Babinicz, goniec królewski, wielce jest do niego podobny. Sam się w pierwszej chwili omyliłem.

Tu pan Sapieha począł surowiej nieco spoglądać i mówić z większą powagą:

— Choćby tu sam Kmicic przyjechał, to ponieważ świętego miejsca z niezmierną odwagą bronił, potrafiłbym go moją hetmańską powagą osłonić; proszę zatem waszmościów, by mi tu żadne hałasy z przyczyny owego przybysza nie powstały. Proszę pamiętać, że on tu z ramienia króla i chanowego przyjechał. A zwłaszcza polecam to ichmościom panom rotmistrzom z pospolitego ruszenia, bo tam o dyscyplinę trudniej!

Gdy pan Sapieha mówił w ten sposób, jeden pan Zagłoba ośmielał się, bywało, pomrukiwać pod nosem, wszyscy inni siedzieli jak trusie. Tak też siedzieli i te-

raz, ale gdy twarz hetmańska poweselała znowu, rozradowały się i inne. Kielichy gęsto krążące dopełniały miary wesołości i całe miasto grzmiało do rana, aż ściany domostw dygotały w posadach, a dym wystrzałów wiwatowych przysłonił je całe, jakby po bitwie.

Nazajutrz rankiem wysłał pan Sapieha Anusię do Grodna, z panem Kotzycem. W Grodnie, z którego Chowański był się już dawno usunął, rezydowała wojewodzińska rodzina.

Biedna Anusia, której piękny Babinicz nieco w głowie zawrócił, żegnała się z nim bardzo czule, ale on się trzymał ostro i dopiero na samem odjeździe rzekł jej:

— Żeby nie jedno lichy, które w sercu jako cierń siedzi, tobym się był pewnie w waćpannie na umor rozkochał.

Anusia pomyślała sobie, że niemasz takiej drzazgi, którejby nie można przy cierpliwości igielką wydłubać, lecz że i bała się trochę tego Babinicza, więc nie rzekła nic — westchnęła cicho i odjechała.

ROZDZIAŁ XVIII.

Tydzień jeszcze po odjeździe Anusi z Kotyczem stał obóz sapieżyński w Białej. Kmicic z Tatary, odkomenderowany do pobliskiego Rokitna, odpoczywał także, bo trzeba było konie odpaść po długiej podróży. Przyjechał też do Białej i dziedzic jej, książę krajezy, Michał Kazimierz Radziwiłł, pan potężny, z linii nieświeskiej, o której mówiono, że po samych Kiskach odziedziczyła siedemdziesiąt miast i czterysta wsi. Ten w niczem nie był do swoich birżańskich krewniaków podobny. Niemniej może od nich ambitny, lecz różny wiarą, gorliwy patriota i stronnik prawego króla, całą duszą przystał do konfederacji tyszowieckiej i jak mógł ją podsycać. Olbrzymie jego posiadłości były wprawdzie silnie przez ostatnią z hyperborejczykami wojnę zniszczone, lecz zawsze stał jeszcze na czele sił znacznych i miała ją hetmanowi przywiódł pomoc.

Nietyle jednak liczba jego żołnierzy mogła na szali wojennej zaważyć, jak to, że tu Radziwiłł stawał przeciw Radziwiłłowi; w ten sposób bowiem odjęte były Bogusławowi ostatnie pozory prawości i postęпки jego jawnym charakterem najazdu i zdrady okryte.

Dlatego też pan Sapieha z radością ujrzał w swym obozie księcia krajezego. Był już teraz pewny, że zwy-

cięży Bogusława, bo i potęgą o wiele go przewyższał. Lecz zwyczajem swym, plany obmyślał zwolna, zastanawiał się, rozważał i na narady oficerów wzywał.

Bywał na tych naradach i pan Kmicic. Tak on zmienawidził imię radziwiłłowskie, że na pierwszy widok księcia Michała zatrząsł się ze zgrozy i złości, lecz Michał umiał sobie ludzi jednać samą twarzą, na której piękność szła ze słodyczą w parze, przytem wielkie jego przymioty, ciężkie dni, które niedawno przeżył, broniąc kraju od Żółtareńki i Srebrnego, miłość prawdziwa do ojczyzny i króla, wszystko to czyniło go jednym z najzacieńszych kawalerów swego czasu. Sama obecność jego w obozie Sapiehy, współzawodnika domu radziwiłłowskiego, świadczyła, jak dalece młode książętko umie prywatę dla rzeczy publicznej poświęcić. Kto go znał, pokochać musiał. Temu uczuciu, mimo pierwszego wstretu, nie mógł się oprzeć i zapalczywy pan Andrzej.

Ostatecznie jednak skaptował sobie jego serce książę swemi radami.

Radził bowiem, żeby czasu nie tracąc, nietylko przeciw Bogusławowi ruszać, ale w żadne układy nie wchodząc, natychmiast nań uderzyć, nie dać mu odzyskać zamków, nie dać mu odetchnienia, spoczynku, wojować jego własnym sposobem. W takiej rezolucyi widział książę zwycięstwo szybkie i pewne.

— Nie może być, żeby też i Karol Gustaw się nie ruszył, musimy więc jako najprędzej ręce mieć wolne, aby Czarniekiemu z pomocą śpieszyć.

Tego samego zdania był Kmicic, który już trzeciego dnia musiał walczyć z dawnymi nałogami samowoli, aby bez komendy nie pójść naprzód.

Lecz Sapiaha lubił działać napewno, bał się każdego nierozważnego kroku, więc postanowił czekać na dokładniejsze wiadomości.

I hetman miał również swoje powody. Zapowiedziana wyprawa Bogusława na Podlasie mogła być tylko podstępem i grą wojenną. Może to była wyprawa udana, przedsięwzięta na czele sił lada jakich, w tym celu, aby połączenia wojsk sapieżyńskich z koronnemi nie dopuścić. Będzie się tedy Bogusław przed Sapiahą wymykał, nigdzie bitwy nie przyjmując, byle marudzić, a Karol Gustaw z elektorem uderzą przez ten czas na Czarnieckiego, zgniotą go przeważającą potęgą, ruszą na samego króla i zduszą dzieło poczynającej się obrony, stworzone przez świetny przykład Częstochowy. Sapiaha był nietylko wodzem, ale i statystą. Racye swoje wykładał zaś na naradach potężnie, że sam Kmicic musiał się na nie w duszy zgodzić. Przedewszystkiem należało wiedzieć, czego się trzymać. Gdyby się okazało, że najazd Bogusławowy jest tylko grą, to wystarczyłoby zostawić przeciw niemu kilka chorągwi, z całą zaś siłą ruszać co pary w koniach ku Czarnieckiemu i głównej nieprzyjacielskiej potędze. Kilka zaś lub nawet więcej chorągwi mógł śmiało pan hetman zostawić, bo nie wszystkie jego siły stały w okolicy Białej. Młody pan Krzysztof, czyli tak zwany Krzysztofek Sapiaha, stał z dwoma lekkimi chorągwiami i z regimentem piechoty w Jaworowie; Horotkiewicz kręcił się w pobliżu Tykocina, mając pod sobą pół regimentu dragonii bardzo ćwiczonej i do pięciuset wolentarzy, oprócz petyhorskiej chorągwi imienia samego wojewody. Prócz tego w Białymstoku stały łanowe piechoty.

Sił tych starczyłoby aż nadto do oporu Bogusławowi, jeżeli więcej nad kilkaset koni nie liczył.

Porozsyłał więc przezorny hetman gońców na wszystkie strony i czekał wiadomości.

Aż przyszły wreszcie wieści, lecz do gromów podobne i tem podobniejsze, że przez szczególny zbieg okoliczności uderzyły wszystkie jednego wieczora.

Na zamku bialskim odbywała się właśnie narada, gdy wszedł oficer ordynansowy i oddał jakieś pismo hetmanowi.

Zaledwie wojewoda rzucił na nie okiem, gdy zalterował się na twarzy i rzekł obecnym:

— Krewniak mój zniesion do szczytu w Jaworowie przez samego Bogusława. Ledwie sam zdrowie wyniósł!

Nastała chwila milczenia, którą przerwał dopiero sam hetman.

— List jest pisany z Brańska, w ucieczce i konfuzji, — rzekł — dlatego niemasz w nim ni słowa o potędze Bogusława. Myślę, że musiała być dość znaczną, skoro dwie chorągwie i regiment piechoty doszczytu, jako czytam, zostały zniesione!... Być jednak może, iż książę Bogusław zeszedł ich niespodzianie. Pewności to pismo nie daje...

— Panie hetmanie, — rzekł na to książę Michał — pewien jestem, że Bogusław chce całe Podlasie zagarnąć, by je w udzielne władanie, albo w lenno przy układach dostać... Dlatego niezawodnie naszedł z taką potęgą, jaką tylko mógł zebrać.

— Godzi się supozycye dowodami poprzeć, mości książę.

— Innych dowodów nie mam jeno znajomość

Bogusława. Nie o Szwedów, ani o Brandeburczyków mu chodzi, jeno o siebie samego... Wojownik to jest niepospolity, który dufa w swą szczęśliwą gwiazdę. Prowincją chce pozyskać, Janusza pomścić, sławą się okryć, a do tego potęgę odpowiednią mieć musi i ma. Dlatego nagle trzeba na niego nastąpić, inaczej on na nas nastąpi.

— Do wszystkiego błogosławieństwo Boże niezbędne, — rzekł Oskierka — a błogosławieństwo przy nas!

— Jw. panie hetmanie, — rzekł Kmicic. — Wieści potrzeba. Spuścieże mnie ze smyczy z moimi Tatarzy, a ja wam wieści przywiozę.

Oskierka, który był przypuszczony do tajemnicy i wiedział kto jest Babinicz, zaraz jął zdanie jego mocno popierać:

— Boga mi! To jest arcyprzednia myśl! Takiego tam kawalera i takiego wojska trzeba. Jeżeli tylko konie wypoczęte...

Tu Oskierka przerwał, bo oficer ordynansowy znów wszedł do komnaty.

— Jw. panie hetmanie, — rzekł — jest dwóch żołnierzy z horotkiewiczowej chorągwi, którzy się do osoby waszej wielmożności dobijają.

— Bogu chwała! — rzekł — pan Sapieha, uderzywszy się rękoma po kolanach — będą i wiadomości... Puszczaj!

Po chwili weszło dwóch petyhorców, obdartych i zabłoconych.

— Od Horotkiewicza? — spytał Sapieha.

— Tak jest.

— Gdzie on teraz?

— Zabit, a jeżeli nie zabit, to nie wiemy, gdzie jest...

Wojewoda wstał, lecz usiadł i zaraz począł badać spokojnie:

— Gdzie chorągiew?

— Zniesiona przez księcia Bogusława.

— Siła zginęło?

— W pień nas wycięto, może kilku ostało, których w łyka, jak nas, wzięto. Są tacy, którzy mówią, że i pułkownik uszedł; ale że ranny, to sam widziałem. My z niewoli uciekli.

— Gdzie was napadnięto?

— Pod Tykocinem.

— Czemuście się za mury nie schronili, w sile nie będąc?

— Tykocin wzięty.

Hetman przysłonił dłonią oczy, poczem jał wodzie nią po czole.

— Siła przy Bogusławie ludzi?

— Jest jazdy na cztery tysiące, prócz piechoty i armat. Piechoty bardzo moderowane. Jazda ruszyła najprzód, prowadząc nas ze sobą, aleśmy się wyrwali szczęśliwie.

— Zkądście uciekli?

— Z Drohiczyna.

Sapieha otworzył szeroko oczy.

— Mości towarzyszu, tyś pijany. Jakżeby już do Drohiczyna Bogusław mógł dojść? Kiedy was zniósł?

— Dwa tygodnie temu.

— I jest w Drohiczynie?

— Podjazdy jego są. On sam w tyle ostał, bo tam jakiś konwój ułapion, którego pan Kotczyc prowadził.

— Pannę Borzobohatą prowadził! — zakrzyknął pan Kmicic.

I nastąpiło milczenie dłuższe, niż poprzednio. Nikt nie zabierał głosu. Tak nagłe powodzenia Bogusławowe zmieszały oficerów niepomiernie. Wszyscy też myśleli w duchu, że winien tu pan hetman przez swe kunktatorstwo, lecz nikt nie śmiał odezwać się z tem głośno.

Sapieha zaś czuł, że czynił, co należało i postępował roztropnie. Więc też ochłonął pierwszy z wrażeń, wyprawił skinieniem ręki owych towarzyszków, następnie rzekł:

— Wszystko to są zwykłe przygody wojenne, które nie powinny nikogo konfundować. Mości panowie, nie mniemajcie, abyśmy jakąś klęskę już ponieśli. Szkoda tamtych chorągwi, prawda... Ale stokroć większa mogłaby się stać szkoda ojczyźnie, gdyby Bogusław w dalekie województwo nas odciągnął. Idzie ku nam... Jako gościnni gospodarze wyjedziem mu naprzeciw.

Tu zwrócił się do pułkowników:

— Wedle moich rozkazów, wszyscy powinni być do wyruszenia gotowi.

— Są gotowi, — rzekł Oskierka — jeno konie kielznać i wsiadanego trąbić.

— Dziś jeszcze otrąbić. Ruszamy jutro o zorzy, nie mieszając... Pan Babinicz skoczy naprzód z Tatory i języka jak najspieszniej nam ułowi.

Kmicie ledwie usłyszał, już był za drzwiami, a w chwilę później pędził, co koń wyskoczy, ku Rokitnu.

A pan Sapieha również dłużej nie zwłóczył.

Noc jeszcze była, gdy trąby ozwały się przeciągle, poczem jazda i piechoty zaczęły wysypywać się w pole; za nimi pociągnął się długi szereg wozów

skrzypiących. Pierwsze blaski dzienne odbiły się w rurach muszkietów i na grotach dzid.

I szedł regiment za regimentem, chorągiew za chorągwią bardzo sprawnie. Jazda pośpiewywała godzinki, a konie parskwały rażno w rannym chłodzie, z czego żołnierze zaraz wróżyli sobie pewne zwycięstwo.

Serca pełne były otuchy, bo to już wiedziało z doświadczenia rycerstwo, że pan Sapieha rozmyśla, głową kręci, na obie strony każde przedsięwzięcie waży, ale gdy zaś przed się co weźmie, to dokona, a gdy się ruszy, to bije.

W Rokitnie już i legowiska po Tatarach ostygły; poszli jeszcze wczoraj na noc i musieli być już daleko. Uderzyło to pana Sapiehę, że po drodze trudno się było o nich dopytać, chociaż oddział, liczący z wolentarzami do kilkuset ludzi, nie mógł przejść niedostrzeżony.

Oficerowie, co doświadczeńsi, bardzo podziwiali ten pochód i pana Babinicza, że tak prowadzić umiał.

— Jak wilk łozami idzie i jak wilk ukąsi: — mówiono — praktyk to jakiś zawołany!

A pan Oskierka, który jak się rzekło, wiedział kto jest Babinicz, mówił do pana Sapiehy:

— Nie darmo Chowański cenę na jego głowę nakładał. Bóg da wiktoryą, komu zechce, ale to pewna, że Bogusławowi wkrótce się wojna z nami uprzykrzy.

— Szkoda jeno, że Babinicz jakoby w wodę wpadł — odpowiadał hetman.

Istotnie upłynęło trzy dni bez żadnej wiadomości. Główne siły sapieżyńskie doszły do Drohiczyna, przeszły Bóg i nie znalazły nieprzyjaciela przed sobą. Hetman począł się niepokoić. Wedle zeznań petyhorców,

podjazdy Bogusławowe doszły właśnie już do Drohiczyna, widoczne więc było, że Bogusław postanowił cofać się. Ale co znaczyło to cofanie? Czy Bogusław dowiedział się o przeważnych siłach sapieżyńskich i nie śmiał mierzyć się z nimi, czy też pragnął hetmana odciągnąć daleko na północ, aby ułatwić królowi szwedzkiemu napad na Czarnieckiego i hetmanów koronnych? Babinicz powinien był już zachwycić języka i dać znać hetmanowi. Zeznania petyhorców co do liczby wojsk Bogusławowych mogły być błędne, należało zatem mieć jaknajprędzej dokładną o niej relacyą.

Tymczasem upłynęło jeszcze dni pięć, a Babinicz nie dawał znać o sobie. Przychodziła wiosna. Dnie stawały się coraz cieplejsze, śniegi tajały. Okolica pokrywała się wodą, pod którą drzemały grząskie błota, utrudniające niesłychanie pochód. Większą część armat i wozów musiał hetman zostawić jeszcze w Drohiczynie i iść dalej komunikiem. Ztąd niewygody wielkie i szemrania, zwłaszcza między pospolitem ruszeniem. W Brańsku trafiono na takie roztopy, że i piechota nie mogła postępować dalej. Hetman zgarniał konie po drodze u chłopów i drobnej szlachty i sadzał na nie muszkietników. Innych brała lekka jazda; lecz już za daleko się posunięto i hetman rozumiał, że jedno tylko pozostaje, to jest: iść jaknajprędzej.

Bogusław cofał się ciągle. Po drodze trafiano ustawicznie na jego ślady, na spalone gdzieniegdzie wsie, na trupy ludzkie wiszące po drzewach. Szlachta drobna, miejscowa, przyjeżdżała z wiadomościami co chwila do sapieżyńskiego obozu, lecz prawda ginęła, jako zwykle, w sprzecznych zeznaniach. Ten widział jedną chorągiew i bożył się, że książę nie ma więcej

wojska; ten widział dwie, ów trzy, ów potęgę, która w pochodzie milę zajmowała. Słowem, były to bajki, jakie zwykle opowiadają ludzie, nieznający się na wojsku i wojennem rzemiośle.

Widziano też tu i owdzie Tatarów, lecz właśnie wieści o nich wydawały się najnieprawdopodobniejsze; opowiadano bowiem, że ich widziano nie za wojskiem, ale przed wojskiem księżcem, idących naprzód. Pan Sapieha sapał gniewnie, gdy kto przy nim Babinicza wspominał i mówił do Oskierki:

— Przechwaliliście go. W złą godzinę odesłałem Wołodjowskiego, bo gdyby on tu był, dawnobym miał tyle języków, ilebym sam zechciał, a to jest wicher, albo i gorzej... Kto go wie, może i naprawdę do Bogusława przystał i w przedniej straży idzie!

Oskierka sam nie wiedział, co sądzić. Tymczasem upłynął znów tydzień: wojsko przyszło do Białegostoku.

Było to w południe.

W dwie godziny później przednie straże dały znać, że jakowyś oddział się zbliża.

— Może Babinicz! — zakrzyknął hetman. — Damże mu pater noster!

Lecz nie był to sam Babinicz. W obozie jednak powstał taki ruch za przybyciem owego oddziału, że pan Sapieha wyszedł obaczyć, co się dzieje.

Tymczasem towarzysze zpod różnych chorągwi nadlatywali, krzycząc:

— Od Babinicza! Jeńcy! Cała kupa!... Siła ludzi naszarpał!

Jakoż ujrzał pan hetman kilkudziesięciu ludzi na wychudłych i poszerszeniałych koniach. Otaczali oni blisko trzystu ludzi ze skrepowanemi rękoma, bijąc ich

batogami z surowca. Jeńcy straszliwy przedstawiali widok. Były to raczej cienie ludzkie, niż ludzie. Odarci, półnaczy, wychudzeni tak, że kości sterczały im przez skórę, pokrwawieni, szli nawpół żywi, obojętni na wszystko, nawet na świst surowca, który przecinał im skóry i na dzikie wrzaski tatarskie.

— Coto za ludzie? — spytał hetman.

— Wojsko Bogusławowe! — odrzekł jeden z Kmicicowych wolentarzy, który jeńców wraz z Tatarami odprowadzał.

— A wyście ich zkąd tylu nabrali?

— Blisko połowa jeszcze nam w drodze od fatygi padła.

Wtem zbliżył się starszy Tatar, jakoby wachmistrz ordyński i uderzywszy czołem, oddał panu Sapięze pismo Kmicicowe.

Hetman, nie czekając, złamał pieczęć i począł czytać głośno:

„Jaśnie wielmożny panie hetmanie!

„Iżem wieści ni języków dotąd nie przysyłał, to dlatego, żem w przodku, nie pozadzie wojsk księcia Bogusławowych szedł i chciałem się większą kupą przysłużyć...

Hetman przerwał czytanie.

— To dyabeł! — rzekł — zamiast iść za księciem, to on przed księcia się wysforował!

— Niechże go kule biją!... — dodał półgłosem Oskierka.

Hetman czytał:

„Bo chociaż niebezpieczna to była impreza, gdyż podjazdy szeroko szły, wszelako dwa zniósłszy i nikogo nie żywiąc, w przodek się wyostałem, od czego wielka

księcia napadła konfuzya, albowiem zaraz począł suponować, iż jest otoczony i jako w potrzask lezie...

— To dlatego to niespodziane cofanie się! — zawołał hetman. — Dyabeł, czysty dyabeł!

Lecz czytał coraz ciekawiej:

„Książę nie rozumiejąc, co się stało, jął głowę tracić i podjazd za podjazdem wysyłał, któreśmy też znacznie szarpali, iż żaden w tej samej liczbie nie wracał. Idąc zaś w przodku, wiwendę przejmowałem, groblem rozkopywałem i mosty psu, tak, iż z wielką fatygą postępować przed się mogli, nie śpiąc, nie jedząc, dnia i nocy bezpiecznej nie mając. Z obozu nie mogli się wychylić, bo ordyńcy nieostrożnych chwytały, co się zaś obóz zdrzymnał, to mu z łoży okrutnie wyli, oni zaś, myśląc, iż wielkie wojsko na nich następuje, przez całą nocę w gotowości stać musieli. Czemu książę do znacznej desperacyi przywiedzion, nie wie, co ma począć, gdzie iść i jako się obrócić — dlatego rychło nań następować trzeba, póki terror nie przejdzie. Wojska ma sześć tysięcy, ale blisko tysiąca stradał. Konie mu padają. Rajtarya dobra, piechoty słuszne, Bóg jednak dał, iż to z dnia na dzień topnieje, a byle nasze wojska ich dosięgły, to się rozleca. Karoce książęce, część kredensu i rzeczy zacnych w Białymstoku zachwyciłem, z dwiema armatami, alem co większe potopić musiał. Książę zdrajca od ustawicznej cholery silnie zachorzał i ledwie na koniu usiedzieć może, febris nie opuszcza go dniem i nocą. Panna Borzobohata zagarnięta, ale chorym będąc, na cnotę jej nastawać nie może. Wieści takowe i konfesye o desperacyi od jeńców powziąłem, których moi Tatarzy przypiekali i którzy, byle ich jeszcze raz przypiec, prawdę powtórzyć są gotowi. Zaczem

służby moje pokorne jwpanu i hetmanowi memu polecając, o przebaczenie, jeśli w czem pobłądził, proszę. Ordyńcy dobrzy pachotkowie i widząc siła zdobyczy, okrutnie służą“.

— Jaśnie wielmożny panie! — rzekł Oskierka. — Już wasza wielmożność pewnie mniej żałuje, że Wołodyjowskiego tu niemasz, bo i ten temu wcielonemu dyabłu nie wyrówna.

— To są zdumiewające rzeczy! — rzekł, biorąc się za głowę pan Sapieha. — A nie żłeli on?

— To ambitna sztuka! On i księciu wojewodzie wileńskiemu prawdę w oczy gadał, ani dbając, czy mu miło słuchać, czy nie miło. Ot! ten sam proceder, co z Chowańskim, jeno Chowański miał piętnaście razy więcej wojska.

— Jeśli to prawda, to trzeba następować jako najprędzej — rzekł Sapieha.

— Póki się książę nie opamięta.

— Ruszajmy, na miły Bóg! Tamten mu groble rozkopuje, to i dognamy!

Tymczasem jeńcy, których Tatarzy w kupie przed hetmanem trzymali, poczęli, widząc przed sobą hetmana, jęczeć, płakać, nędzę swoją okazywać i różnemi językami litości wzywać. Byli bowiem między nimi Szwedzi, Niemcy i przyboczni Bogusławowi Szkoci. Pan Sapieha odjął ich Tatarom, jeść dać kazał i konfesaty bez przypiekania prowadzić.

Zeznania potwierdziły prawdę słów Kmicicowych. Więc wszystkie wojska sapieżyńskie ruszyły z wielkim impetem naprzód.

ROZDZIAŁ XIX.

Następna relacya Kmicicowa przysłała z Sokółki i brzmiała krótko:

„Książę, aby wojska nasze omylić, symulował pochód ku Szczuczynowi, dokąd podjazd wysłał. Sam z główną siłą poszedł do Janowa i tam posiłki w piechocie otrzymał, które kapitan Kyritz przyprowadził: ośmset ludzi dobrych. Od nas ognie książęce widać. W Janowie mają tydzień wypocząć. Jeńcy mówią, że i bitwę przyjąć gotów. Febra trzęsie go ciągle“.

Po odebraniu tej relacyi pan Sapieha, zostawiwszy resztę wozów i armat, ruszył komunikem do Sokółki i nakoniec dwa wojska stanęły sobie oko w oko. Przewidywano też, że bitwa jest nieuchronną, gdyż jedni nie mogli już dłużej uciekać, drudzy gonić. Tymczasem jako zapaśnicy, którzy po długiej gonitwie mają się schwycić za bary, leżeli naprzeciw siebie, łapiąc powietrze w zadyszane gardziele i odpoczywali.

Pan hetman, gdy ujrzał Kmicica, chwycił go w ramiona i rzekł:

— Już mi i gniewno było na ciebie, żeś tak długo znać o sobie nie dawał, ale widzę, żeś więcej sprawił, niż się spodziewać mogłem i da Bóg wiktoryą, twoja, nie

moja będzie zasługa. Szedłeś jako anioł stróż za Bogusławem!

Kmicicowi złowrogie światła zabłyśły w oczach:

— Jeślim mu aniołem stróżem, to i przy skonan
niu jego być muszę.

— Bóg tem rozrządzi, — rzekł poważnie hetman —
ale chcesz, by cię błogosławił, to ścigaj nieprzyja
ciela ojczyzny, nie prywatnego.

Kmicic skłonił się w milczeniu, ale nie znać było,
aby piękne słowa hetmańskie wywarły nań jakiegokolwiek
wrażenie. Twarz jego wyrażała nieubłaganą nienawiść
i tem była groźniejsza, że trudy pościgu za Bogusławem
wychudziły ją jeszcze więcej. Dawniej w tem obliczu
malowała się jeno odwaga i zuchwała płochość, teraz
stało się surowem i zarazem zawziętem. Łatwo zgadłeś,
że komu ten człowiek zapisał w duszy zemstę, ten wi
nien się strzec, choćby był Radziwiłłem.

Jakoż mścił się już straszliwie. Usługi w tej wojnie
oddał istotnie olbrzymie. Wysforowawszy się przed Bo
gusławem, zbił go z tropu, pomylił jego rachuby, wpoił
weń przekonanie, iż jest otoczony i do cofania się
przymusił. Dalej szedł przed nim dzień i noc. Podja
zdy znosił, dla jeńców był bez miłosierdzia. W Sie
miatyczach, w Bockach, w Orlej i około Bielska na
padł głuchą nocą na cały obóz.

W Wojszkach, niedaleko Zabłudowa, w szczyrych
radziwiłłowskich ziemiach, wpadł jak ślepy huragan na
samą kwaterę książęcą, tak iż Bogusław, który właśnie
był do obiadu zasiadł, omal żywcem nie wpadł w jego
ręce i tylko dzięki panu Sakowiczowi, podkomorzemu
oszmiańskiemu, wyniósł zdrową głowę. Pod Białym
stokiem Kmicic porwał karoce i kredensy Bogusławowe.

Wojsko jego znużył, rozprzegł, ogłodził. Wyborne piechoty niemieckie i rajtarye szwedzkie, które Bogusław z sobą przywiódł, wracały do idących kościotrupów podobne, w obłądnie, w przerażeniu, w bezsenności. Wściekłe wycie Tatarów i wolentarzy kmicicowych rozlegało się przed nimi, z boków, z przodu, z tyłu. Zaledwie strudzony żołnierz oczy przymknął, gdy musiał chwycić za broń. Im dalej, tem było gorzej.

Drobna szlachta, zamieszkująca owe okolice, łączyła się z Tatary, potrosze z nienawiści do birzańskich Radziwiłłów, potrosze ze strachu przed Kmicicem, bo opornych karał bez miary. Więc siły jego rosły, Bogusławowe topniały.

Do tego sam Bogusław istotnie był chory, a chociaż w sercu tego człowieka nigdy troska nie zagnieżdżyła się na długo i choć astrologowie, którym wierzył ślepo, przepowiedzieli mu w Prusach, iż osoby jego nic złego w tej wyprawie nie spotka, przecie ambicya jego, jako wodza, cierpiała nieraz srodze. On, którego imię, jako wodza, powtarzano z podziwem w Niderlandach, nad Renem i we Francyi, bity był w tych zapadłych lasach przez niewidzialnego nieprzyjaciela codziennie i bez bitwy zwyciężany.

Była przytem w tym pościgu taka niezwykła zawziętość i przechodząca zwykłą wojenną miarę natarczywość, że Bogusław, z wrodzoną sobie bystrością, odgadł po kilku dniach, że ściga go jakiś nieubłagany wróg osobisty. Dowiedział się łatwo nazwiska: Babinicz, bo powtarzała je cała okolica, ale nazwisko owo było mu obce. Niemniej rad był poznać osobę i przez drogę w czasie pościgu urządzał dziesiątki i setki zasadzek. Zawsze napróżno! Babinicz umiał ominąć po-

trzask i zadawał klęskę tam, gdzie go się najmniej spodziewano.

Aż wreszcie oba wojska stoczyły się w okolice Sokółki. Bogusław znalazł tam istotne posiłki, pod wodzą v. Kyritza, który nie wiedząc poprzednio, gdzie książę się obraca, zaszedł do Janowa. Tam też miał się rozstrzygnąć los Bogusławowej wyprawy.

Kmicie pozamykał szczelnie wszystkie drogi, wiodące z Janowa do Sokółki, Koryczyna, Kuźnicy i Suchowola. Okoliczne lasy, łązy i chaszcze zajmowali Tatarzy. List nie mógł przejść, żaden wóz z żywnością dojść — samemu więc Bogusławowi pilno było do bitwy, póki jego wojska ostatniego janowskiego suchara nie zjedzą.

Lecz jako człek bystry i wszelakich intryg świadomy, postanowił próbować wpierw układów. Nie wiedział jeszcze, że pan Sapieha w tego rodzaju praktykach o wiele go rozumem i biegłością przerosił. Przyjechał więc do Sokółki od inienia Bogusława pan Sakowicz, podkomorzy i starosta oszmiański, dworzanin jego i przyjaciel osobisty. Przywiózł on ze sobą listy i moc zawarcia pokoju.

Ów pan Sakowicz, człek możny, który później do senatorskich godności doszedł, bo został wojewodą smoleńskim i podskarbis wielkiego księstwa, był tymczasem jednym ze słynniejszych kawalerów na Litwie, a słynął zarówno z męstwa, jak i z urody. Wzrostu średniego, włos na głowie i brwiach miał czarny, jak skrzydło krucze, oczy zaś miał bładoniebieskie, patrzące z dziwną i niewypowiedzianą zuchwałością, tak, że Bogusław mawiał o nim, iż oczyma jakoby obuszkciem uderza. Nosił się z cudzoziemską, który strój

z podróży odbywanych wraz z Bogusławem przywiózł, mówił on prawie wszystkimi językami; w bitwie zaś rzucał się w największy wir tak szalenie, iż go pomiędzy przyjaciółmi „straceńcem“ nazywano.

Lecz dzięki olbrzymiej sile i przytomności, wychodził zawsze cało. Opowiadano o nim, że karocę w biegu, chwyciwszy za tylne koła, zatrzymywał; pić mógł bez miary. Połykał kwartę śliwek na wódce, poczem był tak trzeźwy, jakby nic w usta nie brał. Z ludźmi nieużyty, dumny, zaczepny, w Bogusławowem ręku miękł jak wosk. Obyczajnie miał polerowne i choćby na pokojach królewskich umiał się znaleźć, ale przytem i jakowąś dzikość w duszy, która wybuchała od czasu do czasu, jak płomień.

Był to raczej kompanion, niż sługa księcia.

Bogusław, który naprawdę nikogo nigdy w życiu nie kochał, miał niezwalczoną słabość dla tego człowieka. Z natury skąpy wielce, dla jednego Sakowicza był hojny. Wpływaniami swemi wyniósł go na podkomorstwo i uदारował starostwem oszmiańskim.

Po każdej bitwie pierwszym jego pytaniem było: „Gdzie Sakowicz i czyli jakiego szwanku nie poniósł?“ Na radach jego siła polegał, a używał go zarówno w wojnie, jak i do układów, w których śmiałość, a nawet bezczelność pana starosty oszmiańskiego wielce bywała skuteczna.

Teraz wysłał go do Sapiehy. Lecz misya była trudna, najprzód, że łatwo mogło paść na starostę posądzenie, iż tylko na przespiegi i tylko dla obejżenia sapieżyńskich wojsk przyjechał; powtóre, że poseł wiele miał do żądania, nic do ofiarowania.

Na szczęście, pan Sakowicz nie byle czem się tro-

pił. Wszedł więc jak zwycięzca, który przyjeżdża dyktować warunki zwyciężonemu i zaraz uderzył swemi blademi oczyma w pana Sapiehę.

Pan Sapieha, widząc owę butę, uśmiechnął się jeno nawpół z politowaniem. Każdy człowiek śmiałością i zuchwalstwem wielce może imponować, lecz ludziom pewnej miary; hetman zaś wyższy był nad miarę pana Sakowicza.

— Pan mój, książę na Birżach i Dubinkach, koniuszy wielkiego księstwa i wódz naczelny wojsk jego książęcej wysokości elektora, — rzekł Sakowicz — przysłała mnie z pokłonem i zapytaniem o zdrowie waszej dostojności.

— Podziękuj waszmość księciu i powiedz, iżes mnie zdrowym widział.

— Mam tu i pismo do waszej dostojności.

Sapieha wziął list, otworzył dość niedbale, przeczytał i rzekł:

— Szkoda czasu.... Nie mogę wymiarkować, o co księciu chodzi... Poddajecie się li, czy też chcecie szczęścia popróbować?

Sakowicz udał zdumienie.

— Czy my się poddajemy? Mniemam, że książę to właśnie w liście owym proponuje waszej dostojności, abyś się wasza dostojność poddał; przynajmniej moje instrukcje...

Sapieha przerwał:

— O waścinyh instrukcyach pomówimy później. Mój panie Sakowicz! Gonimy za wami blisko trzydzieści mil, jako ogary za zającem.... Czy waśc słyssał kledy, żeby zając poddanie się ogarom proponował?

— Odebraliśmy posiłki.

— Von Kyritz z ośmiuset ludzi. Resztą tak fatigati, że się przed bitwą pokładą. Powiem wam, co powtarzał Chmielnicki: szkoda howoryty!

— Elektor z całą potęgą stanie za nas.

— To dobrze... Nie będę go potrzebował daleko szukać, bo właśnie chcę go spytać, jakimto prawem posyła wojsko w granice Rzeczypospolitej, której jest lennikiem, do wierności zobowiązanym?

— Prawem mocniejszego.

— Może w Prusiech takie prawa egzystują, u nas nie... Wreszcie, jeśliście mocniejsi, dawajcie pole!

— Dawnoby książę na waszą dostojność nastąpił, gdyby nie to, że mu krwi swojackiej szkoda.

— Bodaj mu pierwej było szkoda!

— Dziwi się też książę zawziętości Sapiehów na dom Radziwiłłowski i że wasza dostojność dla prywatnej zemsty nie wahasz się ojczyzny krwią oblewać.

— Tfu! — zakrzyknął Kmicic, słuchający za krzesłem hetmańskim rozmowy.

Pan Sakowicz wstał, podszedł ku niemu i uderzył go oczyma.

Lecz trafił swój na swego, albo na lepszego i w oczach pana Kmicica znalazł starosta taką odpowiedź, że wzrok spuścił ku ziemi.

Hetman brwi zmarszczył.

— Siadaj, panie Sakowicz, a waść tam cicho!

Poczem rzekł:

— Sumienie jeno prawdę mówi, a gęba ją pozuje i kłamstwo na świat wypłunie. Ten, który z obcemi wojskami napada kraj, krzywdę zarzuca temu, który go broni. Bóg to słyszy, a niebieski kronikarz zapisuje.

— Przez nienawiść sapieżyńską do Radziwiłłów zgorzał książę wojewoda wileński.

— Zdrajców, nie Radziwiłłów nienawidzę, a najlepszy dowód, że książę krajczy Radziwiłł jest w moim obozie... Mów waść, czego chcesz?

— Wasza dostojność, powiem, co mam w sercu: nienawidzi ten, który skrytych zbójców nasyła...

Zkolei zdumiał się pan Sapieha.

— Ja zbójców na księcia Bogusława nasyłałam? Sakowicz utkwiał straszne oczy w hetmanie i rzekł dobitnie:

— Tak jest!

— Waść oszalałeś!

— Onegdaj złapano za Janowem człeka, zbója, który już raz do zamachu na życie książęce należał. Tortury sprawią, iż powie, kto go wysłał...

Nastała chwila ciszy, lecz w tej ciszy usłyszał pan Sapieha, jak Kmicic, stojący za nim, powtórzył dwakroć przez zaciśnięte wargi:

— Gorze! gorze!

— Bóg mnie sędzi, — odparł z prawdziwie senatorską powagą hetman — waćpanu, ani twojemu księciu nie będę się usprawiedliwiał, boście mi na sędziów nie stworzeni. A wać, zamiast marudzić, gadaj poprostu, z czemeś przyjechał i jakie książę kondycye podaje?

— Książę pan mój zniósł Horotkiewicza, poraził pana Krzysztofa Sapiehę, odebrał Tykocin, dlatego słusznie za zwyciężcę podawać się może i korzyści znacznych żądać. Żałując jednak rozlewu krwi chrześcijańskiej, pragnie w spokoju do Prus odejść, nic więcej nie wymagając, jak, żeby mu po zamkach prezydya swoje wolno było zostawić. Wzięliśmy też i jeńców niemało,

między którymi są znaczni oficyjerowie, nie licząc panny Borzobohatej Krasieńskiej, która już do Taurogów została odesłana. Ci mogą być w rumel wymienieni.

— Wać się zwycięstwami nie chełp, bo oto moja przednia straż, której tu obecny pan Babinicz przewodził, przez trzydzieści mil was parła... przed którą uciekając, straciliście dwa razy tyle jeńców, ileście ich poprzednio wzięli; straciliście wozy, armaty, kredensy. Wojsko znużone z głodu wam pada, nie macie co jeść, nie wiecie gdzie się obrócić. Wać widziałeś moje wojsko. Nie kazałem ci umyślnie oczu wiązać, abyś mógł rozpoznać, jeżeli mierzyć się z nami możecie. Co się owej panny tyczy, nie pod moją ona opieką, ale pana Zamoyskiego i księżnej Gryzeldy Wiśniowieckiej. Z nimito policzy się książę, krzywdę jej czyniąc. Wać zaś gadaj, co jeszcze masz do powiedzenia, a mów mądrze, bo inaczej każę zaraz panu Babini-czowi następować.

Sakowicz zamiast odpowiedzieć, zwrócił się do Kmicica:

— To tedy wać nas tak dojeżdżał w drodze? Musiałeś u Kmicica zbójecki proceder praktykować...

— Miarkujcie po własnej skórze, czylim dobrze praktykował!

Hetman znów brwi zmarszczył.

— Nic tu po tobie! — rzekł do Sakowicza — możesz jechać.

— Wasza dostojność daj mi przynajmniej pismo do księcia pana.

— Niech i tak będzie. Poczekasz wać na pismo u pana Oskierki.

Usłyszawszy to pan Oskierka, wyprowadził zaraz

Sakowicza. Hetman na pożegnanie ręką mu kiwnął, poczem zwrócił się zaraz do pana Andrzeja:

— Czemuś to mówił: „gorze!“ gdy o tym schwytanym człeku była mowa? — rzekł, patrząc surowo i bystro w oczy rycerza — zali nienawiść tak w tobie sumienie zgłuszyła, żeś istotnie nasadził zbója na księcia?

— Na Najświętszą Pannę, której broniłem, nie! — odrzekł Kmicic. — Nie przez cudze ręce chciałbym się do jego gardła dobrać!

— Czemuś mówił: „gorze!“ Znasz tego człowieka?

— Znam — odrzekł blednąc ze wzruszenia i wściekłości Kmicic. — Wyprawiłem go jeszcze ze Lwowa do Taurogów... Książę Bogusław porwał do Taurogów pannę Billewiczównę... Miłuję tę pannę!... Mieliliśmy się pobrać... Wysłałem tego człeka, aby mi o piej dał wiadomość... W takim ręku była...

— Uspokój się, — rzekł hetman — dałeś mu jakowe listy?

— Nie... Onaby czytać nie chciała.

— Dlaczego?

— Bo jej Bogusław powiedział, iżem mu się króla porwać ofiarował...

— Wielkie są powody twojej ku niemu nienawiści. Przyznaję...

— Tak, wasza dostojność, tak!

— Czyli książę zna tego człowieka?

— Zna. To wachmistrz, Soroka... Onże mi pomagał do porwania Bogusława...

— Rozumiem — rzekł hetman. — Czeka go pomsta książęca.

Nastała chwila milczenia.

— Książę w matni, — rzekł po chwili hetman — może się zgodzić go oddać.

— Wasza dostojność! — rzekł Kmicic — niech wasza dostojność zatrzyma Sakowicza, a mnie do księcia wyszle. Może go wydobęde.

— Także ci chodzi o niego?

— Stary żołnierz, stary sługa... Na rękę mnie nosił. Siła razy życie mi ratował... Bógby mnie skarał, gdybym go w takich terminach zaniechał.

I Kmicic drzeć począł z żalu i niepokoju, a hetman rzekł:

— Nie dziwno mi, że cię żołnierze miłują, bo i ty ich miłujesz. Uczynię, co mogę. Napiszę do księcia, że mu kogo chce za tego żołnierza puszcze, który zresztą z rozkazu twego, jako niewinne instrumentum działał.

Kmicic porwał się za głowę.

— Co on tam dba o jeńców, nie puści go, by i za trzydziestu.

— To i tobie go nie odda, jeszcze na twoje gardło nastąpi.

— Wasza dostojność... za jednegoby go oddał: za Sakowicza.

— Sakowicza więzić nie mogę, to poseł!

— Niech go wasza dostojność zatrzyma, a ja z listem do księcia pojedę. Może wskóram... Bóg z nim! Zemsty zaniecham, byle mi tego żołnierza puścić!...

— Czekał, — rzekł hetman — Sakowicza zatrzymać mogę. Prócz tego napiszę księciu, aby przysłał glejt bezimienny.

To rzekłszy, hetman zaraz pisać zaczął. W kwadrans później kozak skoczył z listem do Janowa, a pod wieczór wrócił z odpowiedzią Bogusława.

„Glejt na żądanie posyłam, — pisał Bogusław — z którym każdy wysłaniec bezpiecznie powróci, lubo dziwno mi to, że wasza dostojność glejtu żądasz, mając u siebie jako zakładnika sługę i przyjaciela mego, pana starostę oszmiańskiego, dla którego tyle mam afektu, iżbym za niego wszystkich oficerów waszej dostojności wypuścił. Wiadomo też, że posłów nie biją i że nawet dzicy Tatarowie, którymi wasza dostojność moje chrześcijańskie wojsko wojujesz, szanować ich zwykli. Zaczem bezpieczeństwo wysłańca mojem osobistem książęcem słowem poręczając, piszę się etc.“

Tegoż jeszcze wieczora Kmicic wziął glejt, dwóch Kiemliczów i pojechał. Pan Sakowicz został jako zakładnik w Sokółce.

ROZDZIAŁ XX.

Była blisko północ, gdy pan Andrzej opowiedział się pierwszym strażom książęcym, ale w całym obozie Bogusława nikt nie spał. Bitwa mogła nastąpić lada chwila, więc przygotowywano się do niej gorliwie. Wojska książęce zajmowały sam Janów, panowały nad gościńcem z Sokółki, którego pilnowała artylerya, przez biegłych elektorskich obsługiwana. Armat tam było trzy tylko, ale prochów i kul dostatek. Z obu stron Janowa, między brzeźniakami, kazał Bogusław usypać szańczyki, na nich zaś ustawić organki i piechotę. Jazda zajmowała sam Janów, gościniec za armatami, oraz przerwy między szańcami. Pozycja dość była obronna i ze świeżym ludem, można się było długo i krwawo w niej bronić, lecz nowego żołnierza było tylko ośmset piechoty pod Kyritzem, reszta tak znużona, iż ledwie na nogach stała. Prócz tego, wycie tatarskie słyszano w Suchowolu na północ, zatem z tyłu Bogusławowych szyków, skutkiem czego szerzył się pewien postrach między żołnierstwem. Bogusław musiał wysłać w tę stronę wszystką lekką jazdę, która uszedłszy pół mili, nie śmiała ani wracać nazad, ani iść dalej, z obawy jakowej zasadzki w lasach.

Bogusław, jakkolwiek febra w połączeniu z silną gorączką dokuczała mu więcej, niż kiedykolwiek, sam wszystkim zawiadywał, że zaś na koniu z trudnością mógł usiedzieć, kazał się więc czterem drabantom nosić w otwartej lektyce. Tak zwiedził gościniec, brzeźniaki i wracał właśnie do Janowa, gdy dano mu znać, iż wysłaniec książęcy się zbliża.

Było to już w ulicy. Bogusław nie mógł poznać Kmicica z powodu ciemnej nocy i dlatego, że pan Andrzej przez zbytek ostrożności ze strony oficerów przedniej straży, miał głowę zasłoniętą workiem, w którym tylko otwór na usta był przecięty.

Jednakże dostrzegł książę worek, gdyż Kmicic zląszy z konia, stał tuż obok, więc kazał go zdjąć natychmiast.

— Tu już Janów — rzekł — i niema z czego czynić tajemnicy.

Poczem zwrócił się w ciemności do pana Andrzeja:

— Od pana Sapiehy?

— Tak jest.

— A co tam pan Sakowicz porabia?

— Pan Oskierka go podejmuje.

— Czemużeście glejtu zażądali, skoro Sakowicza macie? Zbyt ostrożny pan Sapieha i niech patrzy, aby nie przemądrał.

— To nie moja rzecz! — odparł Kmicic.

— Ale widzę, że pan poseł niezbyt mowny.

— Pismo przywiozłem, a w mojej prywatnej sprawie w kwaterze przemówię.

— To jest i prywatka?

— Znajdzie się prośba do waszej ks. mości.

— Rad będę nie odmówić. Teraz proszę za sobą. Siadaj waść na koń. Prosiłbym do lektyki, ale za-ciasno.

Ruszyli. Książę w lektyce, a Kmicic obok konno. I w ciemnościach spoglądali jeden na drugiego, nie mogąc twarzy swych wzajemnie dojrzeć. Po chwili książę, mimo futer, trząść się zaczął, tak, że aż zębami klapał. Wreszcie rzekł:

— Licho mnie napadło... żeby nie to... brr!... inneby kondycye postawił...

Kmicic nie odrzekł nic i tylko oczami chciał prze-bić ciemność, wśród której głowa i twarz książęca rysowały się w niewyraźnych szarych i białawych zarysach. Na dźwięk Bogusławowego głosu i na widok jego postaci, wszystkie dawne urazy, stara nienawiść i paląca chęć zemsty, wezbrały tak w jego sercu, iż zmieniły się prawie w szal... Ręka mimowoli szukała miecza, który mu odjęto, ale za pasem miał buławę o żelaznej głowie, swój znak pułkownikowski, więc dyabeł począł mu zaraz wichrzyć w mózgu i szeptać:

— Krzyknij mu w ucho, ktoś jest i rozbij łeb w drzazgi... Noc ciemna... wydostaniesz się... Kiemlicze z tobą. Zdrajcę zgładzisz, za krzywdy zapłacisz... Uratujesz Oleńkę, Sorokę... Bij! bij!...

Kmicic zbliżył się jeszcze bliżej do lektyki i drżącą ręką począł wyciągać z zapasa buzdygan.

— Bij!... — szeptał dyabeł. — Ojczyźnie się przysłużysz...

Kmicic wyciągnął już buławę i ścisnął za rękę-jeść, jakby ją chciał roznieść w dłoni.

— Raz, dwa, trzy!... — szepnął dyabeł.

Lecz w tej chwili koń jego, czy to, że uderzył no-

zdrzami w hełm drabanta, czy przestraszył się, dość, że zarył nagle kopytami w ziemię, potem potknął się silnie; Kmicie poderwał go cugłami. Przez ten czas lektyka oddaliła się o kilkanaście kroków.

A junakowi włos stanął dębem na głowie.

— Matko Najświętsza, trzymaj mi rękę! — szepnął przez zaciśnięte zęby. — Matko Najświętsza, ratuj! Jam tu poseł, ja od hetmana przyjeżdżam, a chcę jako zbój nocny mordować... Jam szlachcic, jam sługa twój... Nie wódźże na pokuszenie!

— A czego to waś marudzisz? — ozwał się przerywany przez febrę głos Bogusława

— Jestem już!

— Słyszysz waś... kury po zapłociach pieją... Trzeba się śpieszyć, bom też chory i odpocznienia potrzebuję.

Kmicie zasadził buzdygan za pas i jechał dalej wpobliżu lektyki. Jednakże nie mógł odzyskać spokoju. Rozumiał, że tylko zimną krwią i panowaniem nad sobą zdoła uwolnić Sorokę; dlatego układał sobie z góry, jakimi słowy ma przemówić do księcia, aby go skłonić i przekonać. Przysięgał więc sobie, że tylko Sorokę mieć będzie na uwadze, że o niczem innem ani wspomni, a zwłaszcza o Oleńce.

I czuł, jak w ciemności gorące rumieńce oblewają mu twarz, na myśl, że może sam książę wspomni o niej, a może wspomni coś takiego, czego nie będzie mógł pan Andrzej przetrzymać, ani wysłuchać.

— Niechże jej nie tyka, — mówił sobie w duszy — niech jej nie tyka, bo w tem jego śmierć i moja... Niech nad sobą samym ma miłosierdzie, jeżeli mu sromu nie starczy...

I cierpiał okrutnie pan Andrzej; w piersiach nie stawało mu powietrza, a gardło tak miał ściśnięte, iż bał się, że gdy przyjdzie mówić, słowa nie zdoła z siebie wydobyć.

W tym ucisku dusznym począł litanią odmawiać.

Po chwili przysłała nań ulga, uspokoił się znacznie i owa niby obręcz żelazna, która gniotła mu krtań, sfolzała.

Tymczasem przyjechali do książecej kwatery. Drabanci postawili lektykę; dwóch rękodajnych dworzan wzięło księcia pod ramiona; on zaś zwrócił się do Kmicica i szcękając ciągle zębami, rzekł:

— Proszę za sobą.... Paroksyzm zaraz minie.... Będziem się mogli rozmówić.

Jakoż po chwili znaleźli się obaj w osobnej komnacie, w której na kominie żarzyły się kupy węgla i gorąco było nieznośne. Tam ułożono księcia Bogusława na długim polowym krześle, okryto futrami i przyniesiono światło. Zaczem dworzanie oddalili się, książę zaś przechylił w tył głowę, przymknął oczy i tak pozostał czas jakiś nieruchomy.

Wreszcie rzekł:

— Zaraz... niech odpocznę...

Kmicie patrzył na niego. Książę nie zmienił się wiele, jeno febra ściągnęła mu twarz. Ubielony był, jak zwykle i na jagodach pomalowany barwiczką, ale właśnie dlatego, gdy leżał tak z zamkniętymi oczyma i z głową przechyloną, podobny był trochę do trupa, albo woskowej figury.

Pan Andrzej stał przed nim w świetle świecznika. Książęce powieki poczęły się otwierać leniwie, nagle otworzyły się zupełnie i jakoby płomień przeleciał mu

przez twarz. Lecz trwało to przez oka mgnienie, poczem znów zamknął oczy.

— Jeśliś jest duch, nie boję się ciebie, — rzekł — ale przypadnij!

— Przyjechałem z pismem od hetmana — odpowiedział Kmicic.

Bogusław wzdrygnął się nieznacznie, jakoby się chciał z mar otrząsnąć; następnie popatrzył na Kmicica i ozwał się:

— Chybiłem waćpana?...

— Nie ze wszystkiem — odpowiedział ponuro pan Andrzej, ukazując palcem na bliźnę.

— To już drugi!... — mruknął nawpół do siebie książę.

I głośno dodał:

— Gdzie jest pismo?

— Jest — odrzekł Kmicic, podając list.

Bogusław począł czytać, a gdy skończył, dziwne światła błysnęły mu w oczach.

— Dobrze! — wyrzekł — dość marudztwa!... Jutro bitwa... I rad jestem, bo jutro febry nie mam.

— I u nas porówno radzi — odparł Kmicic.

Nastąpiła chwila milczenia, w czasie której dwóch tych nieubłaganych wrogów mierzyło się oczyma z pewną straszliwą ciekawością.

Książę pierwszy począł rozmowę:

— Zgaduję, że to waść mnie tak dojeżdżał z Tary?...

— Ja...

— A żeś to nie bał się tu przyjechać?....

Kmicic nie odrzekł nic.

— Chybaś na pokrewieństwo przez Kisków

liczył... Bo to mamy ze sobą rachunki... **Mogę cię, panie kawalerze, kazać ze skóry obedrzeć.**

— **Możesz, wasza ks. mość.**

— **Przyjechałeś z glejtem, prawda... Rozumiem teraz, dlaczego pan Sapieha go żądał!... Aleś na życie moje nastawał... Tam Sakowicz zatrzymany; wszelako... pan wojewoda nie ma prawa do Sakowicza, a ja do ciebie mam... kuzynie...**

— **Przyjechałem z prośbą do waszej książęcej mości....**

— **Proszę! Możesz liczyć, że dla ciebie wszystko uczynię... Jakażto prośba?**

— **Jest tu schwytyany żołnierz, jeden z tych, którzy mi pomagali waszę książęcą mość porwać. Ja dawałem rozkazy, on działał jako ślepe instrumentum. Tego żołnierza zechciej wasza ks. mość na wolność wypuścić.**

Bogusław pomyślał chwilę.

— **Panie kawalerze. — rzekł — namyślałam się, czyś lepszy żołnierz, czy też bezczelniejszy suplikant...**

— **Ja tego człowieka darmo od waszej ks. mości nie chcę.**

— **A co mi za niego dajesz?**

— **Samego siebie.**

— **Proszę, takizto miles praeciosus?... Hojnie płacisz, ale bacz, by ci stárczyło, boć jeszcze pewnie kogoś chciałbyś ode mnie wykupić...**

Kmicie posunął się o krok bliżej i pobladł tak straszliwie, iż książę mimowoli spojrział na drzwi i mimo całej swej odwagi zmienił przedmiot rozmowy.

— **Pan Sapieha na takowy układ nie przystanie —**

rzekł. — Radbym cię miał, alem słowem książęceni za bezpieczeństwo twoje zaręczył.

— Przez tego żołnierza odpiszę panu hetmanowi, żem dobrowolnie został.

— A on zażąda, bym cię wbrew twej woli odesłał. Zbyt znaczne oddałeś mu posługi... I Sakowicza mi nie puści, a Sakowicza więcej cenię, niż ciebie....

— To uwolnij wasza ks. mość i tak tego żołnierza, a ja się na parol stawię, gdzie rozkażesz.

— Jutro może mi legnąć przyjdzie. Nic mi po układach na pojutrze...

— Błagam waszę książęcą mość! Za tego człowieka ja...

— Co ty?

— Zemsty poniecham.

— Widzisz, panie Kmicie, siła razy chodziłem na niedźwiedzia z oszczepem, nie dlatego, żem musiał, ale z ochoty. Lubię, gdy mi jakowe niebezpieczeństwo grozi, bo mi się życie mniej kuczy. Owóz i twoję zemstę jako uciechę sobie zostawuję, ile że ci przyznać muszę, żeś z takowych niedźwiedzi, coto same strzelca szukają.

— Wasza ks. mość, — rzekł Kmicie — za małe miłosierdzie często Bóg wielkie grzechy odpuszcza. Nikt z nas nie wie, kiedy mu przed sądem Chrystusowym stanąć przyjdzie...

— Dosyć! — przerwał książe. — Ja też sobie psalmy mimo febry komponuję, żeby jakowąś zasługę mieć przed Panem, a potrzebowałbymli predykanta, tobym swego zawołał... Waś nie umiesz prosić dość pokornie i na manowce leziesz.... Ja ci sam podam sposób: uderz jutro w bitwie na pana Sapiehę, a ja po-

jutrze tego gemajna wypuszczę i tobie winy przebaczę....
Zdradziłeś Radziwiłłów, zdradźże Sapiechę...

— Ostatnieli to słowo waszej ks. mości?... Na
wszystko święte zaklinam waszę ks. mość...

— Nie! Dyabli cię biorą, dobrze!... I na twa-
rzy się mienisz.... Nie przychodź jeno zablisko, bo,
choć ludzi mi wstyd wołać... ale patrz tu! Zbytniś
rezolut!

To rzekłszy Bogusław, ukazał zpod futra, któ-
rem był okryty, lufę pistoletu i począł patrzeć iskrzą-
cemi oczyma w oczy Kmicica.

— Wasza ks. mość! — zakrzyknął Kmicic, skła-
dając wprawdzie ręce jak do prośby, ale z twarzą
przez gniew zmienioną.

— To prosisz, a grozisz?... — rzekł Bogusław —
kark zginasz, a dyabeł ci zza kołnierza zęby do mnie
szczyrzy?... To pycha ci z ocz błyska, a w gębie grzmi
jak w chmurze? Czołem do radziwiłłowskich nóg przy
prośbie, mopanku!... Łbem o podłogę bić! wówczas
ci odpowiem!...

Twarz pana Andrzeja blada była jak chusta, ręką
pociągnął po mokrem czole, po oczach, po twarzy i od-
rzekł tak przerywanym głosem, jak gdyby febra, na
którą cierpiał książę, nagle rzuciła się na niego.

— Jeżeli wasza książęca mość tego starego żoł-
nierza mi wypuści... to... ja... waszej ks. mości...
paść do... nóg... gotów...

Zadowolenie błysnęło w Bogusławowych oczach.
Wroga upokorzył, dumny kark zgiął. Lepszego pokar-
mu nie mógł dać zemście i nienawiści.

Kmicic stał zaś przed nim z włosem zjeżonym
w czuprynie, dygocący na całym ciele. Twarz jego, na-

wet w spokoju do głowy jastrzębiej podobna, przypominała tem bardziej drapieżnego i rozwścieczonego ptaka. Nie zgadłeś, czy za chwilę rzuci się do nóg, czy do piersi książęcej...

A Bogusław, nie spuszczać go z oka, rzekł:

— Przy świadkach! przy ludziach!

I zwrócił się ku drzwiom:

— Bywaj!

Przez otwarte drzwi weszło kilkunastu dworzan, Polaków i cudzoziemców. Za nimi poczęli wchodzić oficerowie.

— Mości panowie! — rzekł książę — oto pan Kmicic, chorąży orszański i poseł od pana Sapiehy, ma mnie o łaskę prosić i chce wszystkich waszmościów mieć za świadków!...

Kmicic zatoczył się jak pijany, jęknął i padł do nóg Bogusławowych.

A książę wyciągnął je umyślnie, tak, że koniec jego rajtarskiego buta dotykał czoła rycerza.

Wszyscy patrzeli w milczeniu zdumieni słynnem nazwiskiem, jak i tem, że ów, który je nosił, był teraz posełem od pana Sapiehy. Wszyscy rozumieli też, że dzieje się coś nadzwyczajnego.

Tymczasem książę wstał i nie rzekłszy ni słowa, przeszedł do przyległej komnaty, kiwnął tylko na dwóch dworzan, żeby szli za nim.

Kmicic podniósł się. W twarzy jego nie było już gniewu ni drapieżności, tylko nieczułość i obojętność. Zdawało się, iż nie zeznaje wcale. co się z nim dzieje i że energia jego złamała się zupełnie.

Uplłynęło pół godziny, godzina. Za oknem sły-

chać było tętent kopyt końskich i miarowe kroki żołnierzy, on siedział ciągle, jakby kamienny.

Nagle otworzyły się drzwi do przysionka. Wszedł oficer, dawny znajomy Kmicica z Birż i ośmiu żołnierzy, czterech z muszkietami, czterech bez strzelb, tylko przy szablach.

— Mości pułkowniku, powstań waszmość! — rzekł grzecznie oficer.

Kmicic popatrzył na niego błędnie.

— Głowbicz... — rzekł, poznając oficera.

— Mam rozkaz — odparł Głowbicz — związać waszej mości ręce i wyprowadzić za Janów. Na czas to wiązanie, później odjedziesz wasza mość wolno... Dlatego proszę waszej mości nie stawiać oporu...

— Wiąż! — odrzekł Kmicic.

I pozwolił się bez oporu skrępować. Ale nóg mu nie wiązano. Oficer wyprowadził go z komnaty i wiódł piechotą przez Janów. Zaczem szli jeszcze z godzinę. Po drodze przyłączyło się kilku jezdnych. Kmicic słyszał, że rozmawiają popolsku, Polacy bowiem, którzy jeszcze służyli u Bogusława, znali wszyscy nazwisko Kmicica i dlatego najciekawszy byli, co się z nim stanie. Orszak minął brzeźniak i znalazł się w pustym polu, na którym ujrzał pan Andrzej oddział lekkiej polskiej chorągwi Bogusławowej.

Żołnierze stali szeregiem w kwadrat, w środku był majdan, na nim dwóch tylko piechurów, trzymających konie, ubrane w szleje i kilkunastu ludzi z pochodniami.

Przy ich blasku, ujrzał pan Andrzej pał świeżo zaostrzony, leżący poziomo i przymocowany drugim końcem do grubego pnia drzewa.

Kmicica mimowoli dreszcze przeszły.

— To dla mnie, — pomyślał — końmi mnie każe na pal nawlec... Dla zemsty — Sakowicza poświęca!

Lecz mylił się, pal przeznaczony był przede wszystkim dla Soroki.

Przy migocących płomykach dojrzał pan Andrzej samego Sorokę; stary żołnierz siedział tuż obok pnia na zydłu, bez czapki i ze skrzępowanemi rękoma, pilnowany przez czterech żołnierzy. Jakiś człek ubrany w półkożuszek bez rękawów, podawał mu w tej chwili gorzałkę w płaskim kubku, którą Soroka pił dość chciwie. Wypiwszy, splunął, a że w tej właśnie chwili postawiono Kmicica między dwoma konnymi w pierwszym szeregu, więc żołnierzsko dojrzał go, zerwał się z zydła i wyprostował się, jakby na paradzie wojskowej.

Przez chwilę patrzyli na się obaj. Soroka twarz miał dość spokojną i zrezygnowaną, poruszał tylko szczękami, jak gdyby żuł.

— Soroka!... — jęknął wreszcie Kmicic.

— Wedle rozkazu! — odpowiedział żołnierz.

I znowu nastąpiło milczenie. Cóż mieli mówić w takiej chwili? Wtem oprawca, który podawał poprzednio Soroce wódkę, zbliżył się do niego.

— No, stary, — rzekł — czas na cię!

— A prosto nawłóćcie!

— Nie bój się.

Soroka nie bał się, ale gdy uczuł na sobie ramię oprawcy, począł sapać szybko i głośno, nareszcie rzekł:

— Gorzałki jeszcze...

— Niema!

Nagle jeden z żołnierzy wysunął się z szeregu i podał blaszankę.

— Jest. Dajcie mu!

— Do ordynku! — zakomenderował Głowbicz.

Jednakże człek w kozuszkę przechylił manierkę do ust Soroki, on zaś pił obficie, a wypiwszy odechnął głęboko.

— Ot! — rzekł — żołnierski los, za trzydzieści lat służby... Nu, czas, to czas!

Drugi oprawca zbliżył się i poczęto go rozbierać. Nastąpiła chwila ciszy.

Pochodnie drżały w rękach trzymających je ludzi. Wszystkim uczyniło się straszno.

Wtem pomruk zerwał się wśród otaczających majdan szeregów i stawał się coraz głośniejszy. Żołnierz nie kat. Sam zadaje śmierć, lecz widoku męki nie lubi.

— Milczeć! — krzyknął Głowbicz.

Pomruk zmienił się w gwar głośny, w którym brzmiały pojedyncze słowa: „dyabli!“ „pioruny!“ „pogańska służba!...“.

Nagle Kmiciec krzyknął tak, jakby jego samego na pal nawłóczono:

— Stój!!

Oprawcy wstrzymali się mimowoli. Wszystkie oczy zwróciły się na Kmicica.

— Żołnierze! — krzyknął pan Andrzej. — Książę Bogusław zdrajca przeciw królowi i Rzeczypospolitej! Was otoczono i jutro w pień wycięci będziecie! Zdrajcy służycie! Przeciw ojczyźnie służycie! Ale kto służbę porzuci, zdrajcę porzuci, temu przebaczenie królewskie, przebaczenie hetmańskie!... Wybierajcie! Śmierć i hańba, albo nagroda jutro! Lafę wypłacę i dukat na głowę, dwa na głowę!... Wybierać!! Nie wam, go-

dnym żołnierzom, zdrajcy służyć! Niech żyje król!
Niech żyje hetman wielki litewski!

Gwar przeszedł w huk. Szeregi złamały się.

Kilkanaście głosów krzyknęło:

— Niech żyje król!

— Dość służby!

— Na pohibel zdrajcy!

— Stać! stać! — wrzeszczały inne głosy.

— Jutro wam w hańbie umierać! — ryczał Kmicic.

— Tatarzy w Suchowolu!

— Książę zdrajca!

— Przeciw królowi wojujem!

— Bij!

— Do księcia!

— Stój!

W zamieszaniu jakaś szabla przecięła powrozy, krępujące ręce Kmicica. Ten zaś skoczył w tej chwili na jednego z owych koni, które Sorokę na pal naciągnąć miały i krzyknął już z konia:

— Za mną do hetmana!

— Idę! — wrzasnął Głowbicz. — Niech żyje król!

— Niech żyje! — odpowiedziało pięćdziesiąt głosów i pięćdziesiąt szabel błysnęło jednocześnie.

— Na koń Sorokę! — zakomenderował znowu Kmicic.

Byli tacy, którzy opierać się chcieli, lecz na widok gołych szabel umilkli. Jeden wszelako zawrócił konia i znikł po chwili z oczu. Pochodnie zgasły. Ciemność ogarnęła wszystkich.

— Za mną! — rozległ się głos Kmicica.

I kłęb ludzi bezładny ruszył z miejsca, potem wyciągnął się w długiego węża.

Ujechawszy dwie lub trzy staje, trafili na straże piechurów, których większe masy zajmowały brzeźniak, leżący z lewej strony.

— Kto idzie? — ozwały się głosy.

— Głowbicz z podjazdem!

— Hasło?

— Trąby!

— Przechodź!

I przejechali, nie śpiesząc się zbyt; następnie puścili się rysią.

— Soroka! — rzekł Kmicic.

— Wedle rozkazu! — ozwał się obok głos wachmistrza.

Kmicic nie mówił nic więcej, tylko wyciągnawszy rękę, wsparł dłoń na głowie wachmistrza — jakby się chciał przekonać, czy jedzie obok.

Żołnierz przycisnął w milczeniu tę dłoń do ust.

Wtem ozwał się Głowbicz z drugiego boku.

— Wasza miłość! dawnom to chciał uczynić, co teraz czynię.

— Nie pożałujecie!

— Całe życie będę waszej miłości wdzięczny!

— Słuchaj Głowbicz, czemuż książe was wysłał, nie cudzoziemski regiment, na egzekucyą?

— Bo chciał waszą miłość przy Polakach pohać. Obcy żołnierz nie zna waszej miłości.

— A mnie nie miało się stać?

— Waszej miłości miałem rozkaz powrozy rozciąć. Gdyby zaś wasza miłość porwała się do obrony Soroki, mieliśmy ją przed księciem dostawić po ukaranie.

— Więc i Sakowicza chciał poświęcić — mruknął Kmicic.

Tymczasem w Janowie, książę Bogusław, zmorzony febrą i dziennym trudem, spać już poszedł. Ze snu głębokiego rozbudził go rejwach przed kwaterą i pukanie do drzwi.

— Wasza ks. mość! wasza ks. mość! — wołało kilka głosów.

— Śpi! nie budzić! — odpowiadali paziowie.

Lecz książę siadł na łożu i krzyknął:

— Światła!

Wniesiono światło, jednocześnie z niem wszedł oficer służbowy.

— Wasza ks. mość! — rzekł — poseł sapieżyński pobuntował głowbiczową chorągiew i odprowadził ją do hetmana.

Nastała chwila ciszy.

— Bić w kotły i w bębny, — ozwał się wreszcie Bogusław — niech wojsko w szyku staje!

Oficer wyszedł, książę pozostał sam.

— To straszny człęk! — rzekł po chwili do siebie.

I uczył, że chwyta go nowy paroksyzm febry.

ROZDZIAŁ XXI.

Łatwo sobie wyobrazić zdziwienie pana Sapichy, gdy Kmicic nie tylko wrócił sam bezpiecznie, lecz przywiódł ze sobą kilkadziesiąt koni i starego sługę. Kmicic po dwakroć musiał opowiadać hetmanowi i panu Oskierce, jak i co się stało, oni zaś słuchali z ciekawością, bijąc często w dłonie i za głowę się biorąc.

— Uważ z tego, — rzekł hetman — że kto w zemście przesadzi, temu się ona częstokroć jako ptak z palmów wychynie. Książę Bogusław Polaków jako świadków twej hańby i męki mieć chciał, aby cię gorzej sponiewierać i przesadził. Ale się z tego nie chełp, bo to zrządzenie Boskie dało ci wiktoryą, chociaż swoją drogą to jedno ci powiem: on dyabeł, aleś i ty dyabeł! Źle książę uczynił, że cię spostonował.

— Ja go nie spostonuję i w zemście, da Bóg, nie przesadzę!

— Niechaj jej całkiem, jako Chrystus niechał, chociaż Bogiem będąc, mógł jednym słowem żydowinów pograć.

Kmicic nie odrzekł nic, bo też i nie było czasu na rozprawę; nie było nawet i na wypoczynek. Rycerz był znużon śmiertelnie, a jednak tej nocy jeszcze postanowił

jechać do swoich Tatarów, którzy za Janowem stali w lasach i na gościńcach z tyłu wojsk Bogusławowych. Ale ówczesni ludzie dobrze sypiali na kulbakach. Kazał więc tylko pan Andrzej konia świeżego siodłać, obiecując sobie, że się przez drogę smaczno wydrzemie.

Na samem wsiadanem przyszedł do niego Soroka i wyprostował się po służbie.

— Wasza miłość! — rzekł.

— A co powiesz stary?

— Przyszedłem spytać, kiedy mi jechać?

— Dokąd?

— Do Taurogów.

Kmicic rozśmiał się:

— Nie pojedziesz wcale do Taurogów, pojedziesz ze mną.

— Wedle rozkazu! — odpowiedział wachmistrz, starając się nie pokazać po sobie ukontentowania.

Jakoż pojechali razem. Droga była długa, bo należało okładać lasami, aby nie wpaść na Bogusława, zato Kmicic i Soroka wyspali się setnie i bez żadnej przygody przybyli do Tatarów.

Akbah-Ułan stawił się zaraz przed Babiniczem i zdał mu relacyą ze swych czynności. Pan Andrzej kontent z nich był: wszystkie mosty zostały popalone, groble poniszczone; nie dość na tem: wody z wiosną rozlały, zmieniwszy pola, łąki i niższe drogi w grząskie błoto.

Bogusław nie miał innego wyboru, jak bić się, zwyciężyć lub zginąć. O odwrocie niepodobna mu było myśleć.

— Dobrze, — rzekł Kmicic — zaczął ma rajtaryą, ale ciężką. Nie będzie z niej na dzisiejsze błota użytku.

Poczem zwrócił się do Akbaha-Ułana.

— Schudłeś! — rzekł, uderzając go w brzuch pięścią — ale po bitwie dukatami książęcemi sobie kałdun napelnisz.

— Bóg stworzył nieprzyjaciół, aby mężowie wojenni łup z kogo brać mieli — odrzekł poważnie Tatar.

— A jazda bogusławowa stoi przeciw wam?

— Jest ich kilkaset koni dobrych, a wczoraj nadesłano im regiment piechoty i okopali się.

— Zaśby ich nie można w pole wywabić?

— Nie wychodzą.

— A obejść i zostawić, aby się do Janowa dostać?

— Na drodze leżą.

— Trzeba będzie coś obmyślić!

To rzekłszy Kmicic, począł się ręką gładzić po czuprynie.

— Próbowaliście podchodzić? Jak daleko wypadają za wami?

— Na staje, dwa... dalej nie chcą.

— Trzeba będzie coś obmyślić! — powtórzył Kmicic.

Lecz tej nocy nic już nie obmyślił. Zato nazajutrz podjechał z Tatary pod obóz, leżący między Suchowolem a Janowem i rozpoznał, że Akbah-Ułan przesadzał, mówiąc, że piechota okopała się z tej strony; były tam bowiem tylko szańczyki, nic więcej. Można się było z nich długo bronić, zwłaszcza przeciw Tatarom, którzy nie skoro szli wprost na ogień do ataku, ale nie można było myśleć o wytrzymaniu jakiegokolwiek oblężenia.

— Gdybym miał piechotę, — pomyślał Kmicic — poszedłbym na dym.

Lecz o sprowadzeniu piechoty trudno było i marzyć, bo najprzód pan Sapieha sam nie miał jej do zbytku, powtóre czasu na ściągnięcie jej brakło.

Kmicie podjechał tak blisko, iż piechurowie Bogusławowi poczeli do niego ognia dawać, lecz on nie zważał na to, jeździł między kulami, rozpatrywał się, oglądał, a Tatarowie, choć na ogień mniej wytrzymali, musieli mu dotrzymywać kroku. Potem zasie wypadła jazda i zajechała go z boku. On umknął się, poszedł trzy tysiące kroków i wraz ku nim zawrócił.

Lecz oni zwrócili także z miejsca ku szanńczykom. Naprózno Tatarowie wypuścili za nimi chmurę strzał. Spadł tylko jeden człęk z konia, a i to zabrali go i ponieśli.

Kmicie w powrocie, zamiast jechać wprost do Suchowola, rzucił się ku zachodowi i dotarł do Kamionki.

Bagnista rzeka rozlała szeroko, bo wiosna była nad podziw w wody obfita. Kmicie popatrzył na rzekę, rzucił w wodę kilkanaście pokruszonych gałązek, aby bystrość prądu wymiarkować i rzekł do Ułana:

— Tędy ich bokiem obejdziemy i z tyłu na nich uderzym.

— Pod wodę konie nie popłyną.

— Leniwo idzie. Popłyną! Ta woda prawie stoi.

— Konie skostnieją i ludzi nie utrzymają. Zimno jeszcze.

— Ludzie popłyną za ogonami. To wasz tatarski proceder.

— Ludzie skostnieją.

— Rozgrzeją się w ogniu.

— Kiszmet!

Nim zmoczyło się na świecie, Kmicie kazał na-

ciąć pęki łożyny, zwiędłego sitowia, trzciny i poprzywiązywać koniom do boków.

Przy pierwszej gwieździe rzucił w wodę około ośmiuset koni i poczęli płynąć. On sam płynął na czele, lecz wkrótce zmiarkował, że tak wolno posuwają się naprzód, iż za dwa dni nie przepłyną poza szzańce.

Wówczas kazał się przeprowadzić na drugi brzeg.

Niebezpieczne to było przedsięwzięcie. Drugi brzeg był prosty i bagnisty. Konie, choć lekkie, lgnęły po brzuchy. Lecz posuwali się naprzód lubo wolno i ratując jeden drugiego.

Tak szli parę staj.

Gwiazdy pokazywały północ. Wtem od południa doszły ich echa dalekiej palby.

— Bitwa poczęta! — krzyknął Kmicic.

— Potoniem! — odpowiedział Akbah-Ułan.

— Za mną!

Tatarzy nie wiedzieli, co czynić, gdy nagle spostrzegli, iż koń kmicicowy wynurzył się z błota, trafwszy widocznie na twardy grunt.

Jakoż poczęła się ława piasku. Po wierzchu było wody do piersi końskich, lecz grunt pod spodem twardy. Szli zatem żwawiej. Na lewo mignęły im dalekie ognie!

— To szzańce! — rzekł cicho Kmicic. — Mijamy! obejdziemy!

Po chwili minęli szzańce istotnie. Wówczas zwrócili na lewo i wparli znów bachmaty w rzekę, aby wylądować za szaniami.

Przeszło sto koni ulgnęło tuż przy brzegu. Lecz ludzie wydostali się na brzeg prawie wszyscy. Kmicic kazał spieszonym siadać za jezdnyimi i ruszył ku szancom. Poprzednio zostawił był dwustu wolentarzy

z rozkazem, by niepokoiłi szańce z przodu przez ten czas, gdy im będzie tył zachodził. Jakoż zbliżywszy się, usłyszał strzały, zrazu rzadkie, potem coraz gęstsze.

— Dobrze! — rzekł — tamci atakują!

I ruszyli.

W ciemności widać było tylko gromadę głów podskakujących pod miarę końskiego chodu; szabla nie zabrzękała, zbroja nie zadzwoniła, Tatarzy i wolentarze umieli iść tak cicho, jak wilcy.

Od strony Janowa palba stawała się coraz potężniejsza, widocznie było, że pan Sapieha nastąpił na całej linii.

Lecz na szanckach, ku którym dążył Kmicic, brzmiały także okrzyki. Kilka stosów drzewa paliło się na nich, rozrzucając blask silny. Przy onym blasku dojrzał pan Andrzej piechurów, strzelających rzadka, więcej patrzących przed się, w pole, na którym jazda ucierała się z wolentarzami.

Dojrzano i jego ze szancków, lecz zamiast strzałami, przywitano nadciągający oddział gromkim okrzykiem. Żołnierze sądzili, że to Bogusław przysyła im pomoc.

Lecz gdy zaledwie sto kroków dzieliło nadjeżdżającą gromadę od szancków, piechota poczęła ruszać się w nich niespokojnie; coraz więcej żołnierzy, przykrywając rękoma czoła, patrzyło, co za lud nadjeżdża.

Wtem na kroków pięćdziesiąt straszliwe wycie targnęło powietrzem i oddział rzucił się jak burza, ogarnął piechotę, otoczył ją pierścieniem i cała ta masa ludzi poczęła się poruszać konwulsyjnie. Rzekłbyś olbrzymi wąż dusi upatrzoną ofiarę.

W kupie owej brzmiały rozzdzierające wrzaski:
Ałła! Herr Jesus! Mein Gott!

Za szanćami brzmiały nowe okrzyki, bo wolentarze, choć w słabszej liczbie, poznawszy, iż pan Babinicz już w szanćach, natarli z wściekłością na jazdę. Tymczasem niebo, które chmurzyło się już od niejakiego czasu, jako zwyczajnie na wiosnę, lunęło gęstym, niespodzianym dżdżem. Stosy płonące zagasty i walka trwała w ciemnościach.

Lecz nie trwała już długo. Napadnięci znienacka Bogusławowi piechurowie poszli pod nóż. Jazda, w której dużo było swoich ludzi, złożyła broń. Obcych, mianowicie sto dragonii, w pień wycięto.

Gdy księżyc wychynął się znów zza chmur, oświecił tylko gromady Tatarów, docinających rannych i biorących łup.

Lecz nie trwało to długo. Rozległ się przeraźliwy głos piszczałki: Tatarzy i wolentarze jak jeden człowiek skoczyli na koń.

— Za mną! — krzyknął Kmicic.

I poprowadził ich jak wicher do Janowa.

W kwadrans później, podpalono niefortunną osadę w czterech rogach, a w godzinę jedno morze płomieni rozlało się tak szeroko, jak starczyło Janowa. Nad pożogą wylatywały ku czerwonemu niebu słupy skier ognistych.

Tak pan Kmicic dawał znać hetmanowi, iż wziął tył Bogusławowemu wojsku.

Sam zaś, jak kat od krwi ludzkiej czerwony, szykował wśród płomieni swych Tatarów, aby powieść ich dalej.

Już stanęli w ordynku i wyciągnęli się w ławę,

gdy nagle, na polu oświeconem jak w dzień pożarem, ujrzeli przed sobą oddział olbrzymiej rajtaryi elektorskiej.

Wiódł ją rycerz, widny zdaleka, bo w srebrne blachy ubrany i siedzący na białym koniu.

— Bogusław! — ryknął nieludzkim głosem Kmicic i runął z całą tatarską ławą naprzód.

Szli więc ku sobie, jako dwie fale dwoma wierzchami gnane. Przestrzeń dzieliła ich znaczna, więc konie po obu stronach wzięły pęd największy i szły ze stulonemi uszami wyciągnięte jak charty, ziemię niemal brzuchami szorując. Z jednej strony lud olbrzymi, w błyszczących kirysach, z prostemi szablami wyniesionemi w prawicach ku górze, z drugiej szara ćma tatarska.

Wreszcie uderzyli się długą ławą na widnem polu, lecz wówczas stało się coś straszego. Tatarska ćma padła jak łan położony wichrem; olbrzymi lud zaś przejechał po niej i leciał dalej, jakoby ludzie i konie mieli siłę gromów, a skrzydła burzy.

Po niejakiem czasie zerwało się kilkudziesięciu Tatarów i poczęło ich ścigać. Po dzieczo można przejechać, lecz zgnieść jej jednym przejazdem niepodobna. To też coraz więcej ludzi dążyło za uciekającą rajtaryą. Arkany poczęły świstać w powietrzu.

Lecz na czele uciekających jeździec na białym koniu biegł ciągle w pierwszym szeregu, a między ścigającymi nie było Kmicica.

Szarym rankiem poczęli dopiero powracać Tatarowie i każdy niemal wiódł na arkanie rajtara. Wnet znaleźli Kmicica i bezprzytomnego odwieźli do pana Sapiehy.

Hetman sam siedział nad jego łóżem. O południu otworzył pan Andrzej oczy.

— Gdzie Bogusław? — były jego pierwsze słowa.

— Zniesion ze szczętem... Bóg pofortunił mu z początku, więc wyszedł z brzeźniaków i w gołym polu wpadł na piechoty pana Oskierki, tam utracił ludzi i wiktoryą... Nie wiem, czy pięćset ludzi nawet uszło, bo siła jeszcze twoi Tatarzy wyłapali.

— A onże sam?

— Uszedł.

Kmicie pomilczał chwilę i rzekł:

— Jeszcze mi się z nim nie mierzyć. Ciął mnie koncerzem w głowę i obalił razem z koniem... Szczęściem misiurka z cnotliwej stali nie puściła, alem zemdłał.

— Tę misiurkę powinienes w kościele powiesić.

— Będziem go ścigali, choćby na kraj świata! — rzekł Kmicie.

Na to hetman:

— Patrzaj, jaką wiadomość dziś odebrałem po bitwie.

I podał mu list.

Kmicie przeczytał w głos następujące słowa:

„Król szwedzki ruszył z Elbląga, idzie na Zamość, ztamtąd na Lwów, na króla. Przybywaj wasza dostojność z wszystką potęgą na ratunek Panu i Ojczyźnie, bo sam nie wytrzymam. — *Czarniecki*“.

Nastała chwila milczenia.

— A ty ruszysz z nami, czy pójdiesz z Tatarzy do Taurogów? — spytał hetman.

Kmicie zamknął oczy. Wspomniał na słowa księ-

dza Kordeckiego, na to, co mu Wołodyjowski o Skrzetuskim powiadał i odrzekł:

— Na potem prywaty! Przy ojczyźnie chcę się nieprzyjacielowi oponować!

Hetman ścisnął go za głowę.

— Toś mi brat! — rzekł — a żem stary, przyjm moje błogosławieństwo...

KONIEC TOMU CZWARTEGO.

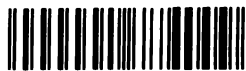
PG7158

.54

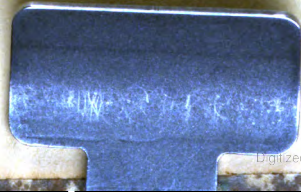
PL6

1888

t.4



A000001774009





A000001774009